

KONTYNUACJA „MANUSKRYPTU CHOPINA”
SZESNASTU AUTORÓW, JEDEN ZNAKOMITY THRILLER...

Miedziana BRANSOLETA

AUTORZY POWIEŚCI

JEFFERY DEAVER

GAYLE LYNDS

DAVID HEWSON

JIM FUSILLI

JOHN GILSTRAP

JOSEPH FINDER

LISA SCOTTOLINE

DAVID CORBETT

LINDA BARNES

JENNY SILER

DAVID LISS

P.J. PARRISH

BRETT BATTLES

LEE CHILD

JON LAND

JAMES PHELAN

Prószyński i S-ka

MIEDZIANA BRANSOLETA

AUTORZY POWIEŚCI

JEFFERY DEAVER

GAYLE LYNDS

DAVID HEWSON

JIM FUSILLI

JOHN GILSTRAP

JOSEPH FINDER

LISA SCOTTOLINE

DAVID CORBETT

LINDA BARNES

JENNY SILER

DAVID LISS

P.J. PARRISH

BRETT BATTLES

LEE CHILD

JON LAND

JAMES PHELAN

ROZDZIAŁ 1

JEFFERY DEAVER

Nareszcie dwie rodziny zostały same. Od początku swoich wakacji, czyli od dwóch dni, ludzie ci przebywali wyłącznie w miejscach publicznych, oglądając turystyczne atrakcje na wybrzeżu w okolicach Nicei. Zwiedzili muzea w Antibes Juan

- les - Pins, pachnące Grasse, słynące z produkcji perfum, fiołkowe pola w średniowiecznym Tourettes sur Loup i pobliskie Cannes - które bez filmowców, aktorów i paparazzich było nudnym, prowincjonalnym miasteczkiem.

Wszędzie, dokąd pojechali, otaczało ich za dużo osób, aby mógł się do nich zbliżyć i zabić.

W końcu Amerykanie urządzili sobie piknik na pustej plaży - biały piasek i czerwone skały niedaleko les Plages des Ondes na Cap d'Antibes wyglądały jak pocztówka z południa Francji. Prawie wszędzie zagościła już ponura jesień i wszyscy wrócili z urlopów. Pochmurna i wietrzna pogoda nie odstraszyła jednak małżeństwa w średnim wieku i nieco młodszej pary z małym dzieckiem. Widocznie postanowili odpocząć od zwiedzania i spędzić dzień sami, z dala od trafik, kawiarni i sklepików z pamiątkami.

Dziękuję, pomyślał Kavi Balan. Chciał wykonać zadanie i wyjechać. Miał jeszcze wiele do zrobienia.

Śniady mężczyzna urodzony w Nowym Delhi, a dziś, jak lubił o sobie myśleć, mieszkaniec świata, przez drogą lornetkę obserwował rodziny z odległości stu metrów, ukryty na wzgórzach nad plażą. Siedział w wypożyczonym fiacie, słuchając ckliwego francuskiego popu. Patrzył na szarą wodę i szare niebo, szukając żandarmów i wszechobecnych funkcjonariuszy rządowych, którzy materializowali się nie

wiadomo skąd, pytali o paszport lub inny dowód tożsamości i z drwiącym uśmiechem indagowali o cel pobytu.

Ale w pobliżu nie było nikogo. Z wyjątkiem dwóch amerykańskich rodzin.

Przyglądając się im, Balan zadawał sobie w duchu pytanie, które dręczyło go od kilku dni: jak to będzie, zabić całą rodzinę. Dorośli nie stanowili żadnego problemu, nawet kobiety. Zabijał już kobiety bez cienia skrupułów. Ale dziecko młodszego małżeństwa... tak, to może być trudne.

Nie spał w nocy, roztrząsając ten dylemat. Teraz, przyglądając się młodej matce, która z roztargnieniem kołysała wózkiem, podjął ostateczną decyzję. Balan otrzymał instrukcje, aby nikt nie pozostał przy życiu, ale chodziło o konieczność wyeliminowania osób posiadających pewne informacje. Nie widział dziecka, lecz nie mogło mieć więcej niż rok. Nie potrafiłoby go zidentyfikować ani zachować w pamięci rozmów prowadzonych przez dorosłych. Postanowił oszczędzić dziecko.

Balan zamierzał powiedzieć swojemu guru, że kiedy miał zabić dziecko, zaniepokoił się, że ktoś zbliża się do plaży, i szybko się wycofał, aby nie zostać przyłapanym. Wyjaśnienie brzmiało całkiem sensownie i nie było pełnym kłamstwem. Przecież stały tu domy, w pobliżu przejeżdżały samochody. Choć plaże były puste, obok mieszkali ludzie.

I już. Podjął decyzję. Od razu poczuł się lepiej.

Skupił się na czekającym go zadaniu.

Śmiech świadczył, że świetnie się bawią. Jego

najważniejszy cel - pięćdziesięciokilkuletni Amerykanin -

żartował ze swoją nieco młodszą żoną. Kobieta, o długich,

ciemnych włosach, nie była klasycznie piękna, lecz miała

egzotyczną urodę, przypominającą Balanowi starszą Kareenę

Kapoor, gwiazdę filmową z Bollywood. Myśląc o tym, poczuł

falę pogardy dla tych ludzi. Amerykanie... nie mają pojęcia o

bogactwie indyjskiego kina (żaden znany mu Amerykanin nie

wiedział, że „B” w Bollywood pochodzi od Bombaju, gdzie, o

czym również nie wiedzieli, działa jedynie część krajowego

przemysłu filmowego). Na ogół nie rozumieli indyjskiej

kultury, głębi jej historii i duchowości. Dla Amerykanów

Indie to były telefoniczne biura obsługi klientów, curry i

Slumdog. Milioner z ulicy.

Dwaj mężczyźni na plaży zerwali się na nogi i wyciągnęli

piłkę do amerykańskiego futbolu. Balan, czując kolejną falę

pogardy, patrzył, jak rzucają sobie jajowaty przedmiot. Żeby

coś takiego nazywać sportem. Nedorzeczne. Banda drągali

zderza się ze sobą na boisku. Gra w niczym nie przypominała

prawdziwej piłki nożnej. Ani najbardziej finezyjnego sportu

na świecie: krykieta.

Spojrzał na zegarek. Już niedługo, pomyślał. Jeszcze tylko

jeden telefon. Zerknął na swoją nokię, upewniając się, czy działa. Działała. Balan był znany z fanatycznego przywiązywania wagi do szczegółów.

Znów skierował lornetkę w stronę swych przyszłych ofiar, zastanawiając się, jakie zajmują miejsce w duchowej hierarchii. Balan jako hindus wierzył w koncepcję reinkarnacji, zgodnie z którą każdy po śmierci wraca na ziemię w formie odzwierciedlającej duchowy wymiar swojego poprzedniego życia. Jego filozofia kłóciła się jednak z tradycyjnymi poglądami hinduizmu, ponieważ Balan był przekonany, że choć poświęcił życie torturowaniu i zadawaniu śmierci, jego działania na ziemi mają wyższy cel. Być może, przyspieszając śmierć tych Amerykanów - zanim będą mieli okazję dopuścić się w życiu większych nieczystości - przyspieszał ich duchowy rozwój.

Oczywiście nie potrzebował usprawiedliwień tego, co miało nastąpić. Liczyło się tylko to, że jego guru, Devras Sikari, wybrał właśnie jego, aby uprowadził starszego z mężczyzn i - po zabiciu wszystkich, którzy mu towarzyszyli - torturami zmusił go do wyjawienia, czego dowiedział się podczas swojego niedawnego wyjazdu do Paryża.

Hinduizm czci ponad trzysta tysięcy bóstw, lecz Sikari, choć był człowiekiem z krwi i ciała, w oczach Balana stał ponad nimi. Społeczny i ekonomiczny system kast w Indiach

jest niewiarygodnie skomplikowany i rozbudowany na tysiące

sekt i podsekt. Ale święta księga Bhagawadgita wymienia

tylko cztery warny: najwyższą stanowią bramini, czyli

przywódcy duchowi, a najniższą śudrowie, robotnicy.

Devras Sikari należał do kszatrijów, warny wojowników i

władców. Była to kasta, nad którą stali tylko bramini.

Bhagawadgita mówi, że kszatrijowie to warna, którą cechuje

„heroizm umysłu, wewnętrzny ogień, stałość, pomysłowość,

męstwo w walce, wielkoduszność i szlachetne przywództwo”.

Opis doskonale pasował do Sikariego. Jego imię, Devras,

oznaczało sługę boga. Nazwisko znaczyło „myśliwy”.

Przyjął to imię i nazwisko, kiedy uzyskał status

„podwójnie narodzonego”, co nie ma nic wspólnego z

reinkarnacją, lecz dotyczy obrzędu inicjacji hinduskich

chłopców. Balan wierzył, że imiona są ważne. Na przykład

jego imię oznaczało poetę i rzeczywiście był wrażliwy na

piękno i słowa. Nazwisko Mahatmy Gandhiego oznaczało

„handlarz warzyw” - i doskonale opisywało prostego,

dobrodusznego człowieka, który zmienił historię swojego

kraju bez uciekania się do przemocy, stosując bierny opór.

Devras Sikari, myśliwy wybrany przez boga, też zamierzał

zmienić świat, choć w zupełnie inny sposób niż Gandhi.

Chciał się wsławić stosownie do swojego nazwiska.

Balan przypomniał sobie dzień, w którym wyruszył na tę

misję. Smagły, drobny Sikari - w nieodgadnionym wieku -
zjawił się w kryjówce Balana w północnych Indiach. Miał na
sobie wygniecione białe spodnie i obszerną koszulę. Z
kieszeni na piersi wystawała czerwona jak płomień chustka.
(Barwą kszatrijów jest czerwień i Sikari zawsze wkładał lub
miał przy sobie coś czerwonego). Przywódca powitał go
cichym głosem i łagodnym uśmiechem - nigdy nie krzyczał i
nie okazywał gniewu - po czym wyjaśnił mu, że musi znaleźć
pewnego Amerykanina, geologa, który wypytywał się o
Sikariego w Paryżu.

- Chcę wiedzieć, czego się o mnie dowiedział. I dlaczego
o mnie pytał.

- Tak, Devras. Oczywiście. - Sikari domagał się, żeby
jego ludzie zwracali się do niego po imieniu.

- Znajdź go. Zabij wszystkich, którzy z nim będą, potem
będziesz go torturować - powiedział tak lekkim tonem, jakby
zamawiał filiżankę shir chai - kaszmirskiej różowej słonej
herbaty.

- Oczywiście.

Jego guru uśmiechnął się, ujął dłoń Balana i dał mu
prezent: grubą miedzianą bransoletę, chyba zabytkową. Była
piękna, pokryta zielonymi żyłkami patyny. Zdobiły ją
starodawne litery i wygrawerowany słoń. Wsunął bransoletę
na przegub Balana i odsunął się.

- Och, dziękuję, Deveras.

Człowiek, który niektórym dawał nadzieję, a innym niósł śmierć, jeszcze raz się uśmiechnął i wyszeptał swoje ulubione powiedzonko:

- Idź i spraw się dobrze.

Po tych słowach Deveras Sikari przekroczył próg i zniknął w wiejskim krajobrazie Kaszmiru.

Schowany przed wzrokiem ludzi, którzy mieli wkrótce umrzeć, Balan spojrzął na bransoletę. Wiedział, że to coś znacznie więcej niż dowód wdzięczności: dar oznaczał, że Balanowi była pisana wspaniała kariera w organizacji Sikariego.

Miał mu także przypominać, by go nie zawiódł.

Spraw się dobrze...

Zadzwonił telefon Balana.

- Tak?

Jana, bez żadnego powitania, spytała:

- Jesteś na pozycji? - Tak.

- Jestem na drodze przy plaży, sto metrów dalej. - Jana miała niski, zmysłowy głos. Balan uwielbiał go słuchać.

Wyobraził sobie jej ponętne kształty. W ciągu kilku ostatnich dni, gdy przygotowywali atak i prowadzili obserwację, ubierała się w luźne, za duże rzeczy, maskujące jej figurę.

Dopiero poprzedniego wieczoru, kiedy spotkali się w

kawiarni, żeby obejrzeć drogę ucieczki, włożyła coś bardziej skąpego: cienki T - shirt i obcisłą spódnicę. Rzucając okiem na swój strój, od niechcienia wyjaśniła, że to tylko kolejny kostium.

- Po prostu gram turystkę.

Co oznaczało - nie wysyłam ci żadnych sygnałów.

Jana zdawała sobie oczywiście sprawę, że pochodził z kraju, gdzie najpiękniejsze kobiety często chodzą szczelnie owinięte w sari, nawet na plażę, i że Balan nie mógł nie zwrócić uwagi na jej ciało. Może więc jednak był to jakiś sygnał.

Ale morderca oparł się pokusie i nawet nie zerkał na jej ciało. Był zawodowcem, który nauczył się tłumić w sobie pożądanie. Na pierwszym miejscu znajdował się zawsze Sikari.

- Przygotowałam mu zastrzyk - ciągnęła Jana przez swoją niewykrywalną komórkę.

Zgodnie z planem Balan miał obezwładnić Amerykanina paralizatorem i zabić pozostałych. Jana miała podjechać furgonetką. Zamierzali wrzucić nieprzytomnego mężczyznę do środka i wstrzyknąć mu środek uspokajający. Następnie Jana miała go zawieźć na przesłuchanie do opuszczonego magazynu za Niceą. Balan miał do niej wkrótce dołączyć.

- Zabijesz rodzinę - powiedziała takim tonem, jakby się o

to kłócili.

- Tak.

- Wszystkich.

- Oczywiście. - Postanowił nie wycofywać się ze swojej decyzji oszczędzenia dziecka. Przemknęło mu przez myśl: jak kobieta może tak lekko traktować morderstwo niemowlęcia?

- Bierz się do roboty - rzuciła ostro Jana.

Była piękna, więc nie odciął się żadną złośliwą uwagą, choć w pierwszej chwili miał na to ochotę. Po prostu się rozłączył.

Balan rozejrzał się po nieosłoniętej przed wiatrem drodze przy plaży. Żywego ducha. Wysiadł z samochodu, zarzucając na ramię płócienną torbę. Miał w niej broń automatyczną i tłumik. Strzelała z prędkością sześciuset pocisków na minutę, ale ustawił pistolet na trzystrzałowe serie. Ogień był znacznie skuteczniejszy niż w trybie automatycznym i bardziej zabójczy niż w wypadku pojedynczych strzałów.

Pociski nie były duże - kaliber .22 - ale nie potrzebował większej amunicji. Sikari uczył swoich ludzi, aby traktowali pistolety i karabiny jak przedłużenie prymitywniejszej broni w rodzaju włóczni i noży.

- Macie jeden cel - mówił Sikari. - Otworzyć ciało, żeby wypłynęło z niego życie. Niech samo się unicestwi.

Co za geniusz, pomyślał z uwielbieniem i podziwem

Balan, pocierając miedzianą bransoletę i wolno podchodząc do ludzi, których los miał się tak dramatycznie odmienić..

Przeciął zapiaszczoną drogę i podkraść się do wyblakłego billboardu reklamującego papierosy Gitane. Zerknął zza niego. Rodzina rozlewała wino i piwo, przygotowując jedzenie.

Ich ostatni posiłek.

Balan przyjrzał się starszemu z mężczyzn, który był w całkiem niezłej formie, jak na swój wiek. Z odległości pięćdziesięciu metrów wydawał się przystojny, choć w typowy dla Amerykanów nijaki sposób; Balan zawsze uważał, że wszyscy wyglądają tak samo. Żona starszego Amerykanina z bliska robiła jeszcze większe wrażenie. Balan doszedł do wniosku, że drugi mężczyzna nie może być ich synem. Nie był od nich wiele młodszy, poza tym nie był do nich podobny.

Może to ich współpracownik albo sąsiad. Jego żona, matka dziecka, miała blond włosy i wysportowaną sylwetkę.

Wracając do swoich rozważań o sporcie, uznał, że wygląda na cheerleaderkę.

Balan sięgnął do torby, wyciągnął broń i jeszcze raz sprawdził, czy jest gotowa do strzału. Następnie włożył jasnoniebieską kurtkę z napisem „Inspecteur des Plages” i przypiętym fałszywym identyfikatorem, przerzucił pas pistoletu przez ramię i zawiesił broń na plecach, żeby nikt,

patrząc z przodu, jej nie zauważył.

Pomyślał o Sikarim.

Pomyślał o Janie, zimnej i pięknej kobiecie, która czekała w furgonetce.

Czy będzie na niego czekać dzisiejszej nocy? W swoim łóżku? Może to tylko fantazja. Ale, jak powtarzał swoim uczniom Sikari, fantazje są po to, abyśmy mogli dążyć do ich urzeczywistnienia.

Balan wyprostował się i swobodnym krokiem ruszył w kierunku rodziny.

Sto metrów.

Po chwili siedemdziesiąt pięć.

Wolno sunął po drobnym białym piasku.

Amerykanin, słuchając z uśmiechem żony, spojrział w jego stronę, ale Balan nie wzbudził w nim większego zainteresowania. Pewnie pomyślał: Inspektor plaż? Ci stuknięci Francuzi. W najgorszym razie będę musiał zapłacić pięć euro za pozwolenie zjedzenia lunchu nad brzegiem morza.

Pięćdziesiąt metrów.

Czterdzieści.

Chciał otworzyć ogień, gdy znajdzie się w odległości piętnastu metrów. Balan był niezłym strzelcem. Nabrał wprawy, zabijając Pakistańczyków, muzułmanów i innych

intruzów w swoim domu w Kaszmirze. Strzelał celnie, nawet gdy stał na otwartej przestrzeni, a wróg odpowiadał ogniem.

Młodsza z kobiet zerknęła obojętnie w stronę Balana, po czym wróciła do słuchania muzyki, sączącej się przez słuchawki iPoda. Nie wstając z leżaka, pochyliła się nad wózkiem, uśmiechnęła się i szepnęła coś do dziecka. To będzie ostatni widok, jaki zobaczy przed śmiercią.

Trzydzieści metrów.

Dwadzieścia pięć.

Balan miał na twarzy powściągliwy uśmiech. Ludzie na plaży wciąż niczego nie podejrzewali. Może widząc jego brązową skórę, wzięli go za Algierczyka albo Marokańczyka.

Mieszkało tu wielu przybyszy z północnej Afryki.

Dwadzieścia metrów.

Otarł dłonie o niebieską kurtkę.

Piętnaście.

Dobra... Teraz!

Ale patrząc na rodzinę, Balan zamarł. Chwileczkę... co jest?

Dwaj mężczyźni i starsza z kobiet rozplaszczyli się na piasku.

Kobieta ze słuchawkami iPoda w uszach zerwała się z leżaka i sięgnęła do wózka. Wyciągnęła stamtąd pistolet maszynowy heckler & koch MP - 5, który wycelowała w pierś

Balana.

Zdumiony Hindus spojrział w prawo i lewo, ponieważ w tym samym momencie z pustych, jak się zdawało, przebieralni wypadli dwaj mężczyźni w uniformach NATO w kolorze khaki i dwaj francuscy żołnierze w ciemnogrnatowych mundurach. Musieli się tam ukrywać od rana; po przybyciu Amerykanów uważnie obserwował plażę.

Wpadł w pułapkę!

Jeden z żołnierzy NATO, blondyn o chłopięcej twarzy z nazwiskiem „Wetherby” na plakietce - warknął w nienagannym hindi "Atakana!". Potem nastąpił okrzyk "Arretez maintenant!". Następnie „Stać!". Balan nie potrzebował tłumacza, by zrozumieć, że jeżeli nie posłucha rozkazu, zginie.

Wetherby zbliżył się i wymachując wielkim pistoletem, powtórzył ostrzeżenie.

Balan nie ruszał się z miejsca, patrząc to na żołnierzy po lewej, to na Amerykanów, to na żołnierzy po prawej.

Zatrzymał wzrok na starszym z mężczyzn, który wstawał z piasku, przyglądając się Balanowi - z zaciekawieniem, ale bez zdziwienia. A więc to on był odpowiedzialny za tę pułapkę.

W tej samej chwili zrozumiał też, że tak przebiegły człowiek rzeczywiście stanowi poważne zagrożenie dla

Devrasa Sikariego.

Powiedział sobie: rozczarowałeś go. Nie wykonałeś zadania. Twoje życie nie ma już sensu. Postaraj się wykorzystać swoją śmierć.

Zabij tego Amerykanina. Jego plany zginą razem z nim i przynajmniej zlikwidujesz niebezpieczeństwo grożące Sikariemu.

Balan błyskawicznie przyjął postawę strzelecką i sięgnął po broń.

I w tym momencie jego świat oszalał. Przed oczami zatańczyły mu żółte światełka. Mięśnie sparaliżował skurcz, a ciało od zębów do pachwin przeszył potworny ból.

Nogi odmówiły mu posłuszeństwa i osunął się na kolana.

Spojrzawszy na swój bok, zobaczył wbite w ciało elektrody tasera. Takiej samej broni, jaką wziął ze sobą, żeby obezwładnić Amerykanina.

Oczy Balana zaszyły łzami.

Płakał z bólu i z rozpacz, że nie zdołał „dobrze się sprawić” i zawiódł swojego ukochanego mistrza.

Padł na twarz, nie widząc już nic więcej.

- Nazywa się Kavi Balan - powiedział Petey Wetherby,

młodszy z żołnierzy NATO asystujących przy akcji. Mówił z

akcentem z północnego Bostonu. Pełen zapału, krótko ostrzyżony chłopak, pełniący funkcję tłumacza, wskazał ruchem głowy więźnia, który wolno odzyskiwał przytomność, siedząc ze skutymi rękami i nogami obok jednej z zamkniętych po sezonie budek. Szyld nad jego głową głosił:

„Creme glatee! Pommes frites! Hot dogs!”.

- Balan. Nigdy o nim nie słyszałem - pokiwał głową

Harold Middleton, starszy mężczyzna z plaży.

- Znaleźliśmy jego samochód - ciągnął Wetherby. -

Wypożyczył go, podając fałszywe nazwisko i adres, na przedpłaconą kartę kredytową. Ale mamy jego prawdziwy paszport i laptop.

- Laptop? Wspaniale. - Middleton rozejrzał się po pustej plaży, a następnie zwrócił się do jednego z francuskich żołnierzy. - Jest jakiś ślad Sikariego? - spytał po francusku.

- Nie, pułkowniku Middleton. Ale strefa... - Szczupły Francuz wzruszył ramionami, krzywiąc się w typowym dla swojej nacji grymasie.

Middleton odgadł, że mają do dyspozycji za mało ludzi, by prowadzić poszukiwania na większą skalę. Francuzi chętnie współpracowali, lecz nie byli skłonni mobilizować wszystkich sił do operacji, którą prowadzili głównie Amerykanie i NATO, a podejrzany miał zostać doprowadzony

nie

do

paryskiego

Palais

de

Justice,

ale

przed

Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, sądzący
zbrodniarzy wojennych i przestępców łamiących prawa
człowieka.

Middleton wątpił, by Devras Sikari pojawił się tu
osobiście. Źródła wywiadowcze podały wprawdzie, że na
południe Francji przyjechał ktoś z Kaszmiru, żeby zabić lub
porwać „amerykańskiego geologa”, ale wydawało się mało
prawdopodobne, by Sikari ryzykował wyjście z ukrycia dla
tak prozaicznego przestępstwa.

Liczył jedynie na to, że złapią kogoś, kto ich doprowadzi
do Sikariego.

I chyba im się udało.

- Na pewno miał współnika - powiedział do Francuza

Middleton. - Znaleźliście w pobliżu inne samochody?

Prowadziliście nasłuch radiowy?

- Nie - odrzekł żołnierz.

- A wy? - spytał Middleton Wetherby'ego. Wojska NATO

miały własny system monitorowania łączności radiowej.

- Nie, pułkowniku. - Używał jego stopnia wojskowego, choć Middleton od lat był w stanie spoczynku.

Middleton wolał, by zwracano się do niego „Harry”, ale skoro już musiał do niego przylgnąć jakiś przydomek, „pułkownik” był najlepszy spośród wielu, jakimi go obdarzano.

W tym momencie podeszła do nich „żona” Middletona.

Była to Leonora Tesla, jego współpracownica. Poważna kobieta z gęstą, ciemną grzywą charakterystyczną dla urody śródziemnomorskiej, pokazała nokię.

- Telefon na kartę. W ciągu ostatniej pół godziny kilka połączeń lokalnych, ale z zastrzeżonym numerem.

Middleton zwrócił uwagę na białą plamę w oddali. Była to tylko jakaś furgonetka zmierzająca w stronę wzgórz.

- JM siedzi nad komputerem - dodała Tesla. - Mówił, że jest chroniony hasłem, ale próbuje je złamać.

Middleton spojrział we wskazanym przez nią kierunku. Z tyłu nieoznakowanej furgonetki NATO siedział Jean - Marc Lespasse, młodszy „mąż”, i zapamiętanie stukał w klawisze laptopa. Wysportowany JM o ciemnych, nastroszonych włosach, głęboko wczuł się w swoją rolę i od dwóch dni zwracał się do swojego szefa „tato”, pytając go, czy pokroić mu kotlecik, choć był tylko piętnaście lat młodszy od

Middletona.

- Co o nim wiemy? - Middleton wskazał głową więźnia, który półprzytomny bezwładnie siedział na ziemi.

- Właśnie wysłałam e - maila do Interpolu - poinformowała go Tesla. - Niedługo dadzą nam znać.

Zbliżył się czwarty członek fałszywej rodziny:

dwudziestodwuletnia Constance „Connie” Carson, która tak jak Middleton i Lespasse dawniej służyła w wojsku.

Złożyła już w wozie NATO „dziecko”, czyli pistolet maszynowy MP - 5. Mimo że nie mogli nosić broni bez pozwolenia - którego Francuzi im nie udzielili - Connie, atletycznie zbudowana kowbojka o przenikliwych niebieskich oczach, nie zamierzała przyjąć do wiadomości tej odmowy.

Poszła do żołnierzy NATO, wzięła pistolet z furgonetki i wrzuciła go do wózka. Nie zważając na ich protesty, powiedziała z akcentem wskazującym na pochodzenie z zachodniego Teksasu: „Zabieram maleństwo na spacer”.

Wyciągnęła z uszu słuchawki walkie - talkie, udające słuchawki iPoda, po czym rozejrzała się po drodze.

- Założę się, że nie był sam.

- Też tak myślę - zgodził się Middleton. - Ale nikogo nie możemy znaleźć.

Connie wciąż lustrowała okolicę, szukając potencjalnych zagrożeń. Middleton zdążył się przekonać, że to po prostu leży

w jej naturze.

- Odzyskuje przytomność, pułkowniku - zawołał drugi z żołnierzy NATO, stojący obok Balana. Napis „Pommes frites!” nad głową więźnia wyglądał jak dymek ze słowami postaci z komiksu.

- Ile to potrwa? - zapytał Middleton.

- Pięć minut.

- Co mam robić, pułkowniku? - spytał Wetherby.

- Bądź pod ręką. Może będziesz mi potrzebny jako tłumacz. - Tak jest.

Harold Middleton przeciągnął się i spojrzał na morze, myśląc, jak stąd daleko do domu w okręgu Fairfax w Wirginii, niedaleko Waszyngtonu, gdzie był jeszcze w zeszłym tygodniu.

Wyglądał nieco szczuplej niż przed kilku laty, kiedy żył w wygodzie i dostatku - mówił swojej córce Charley, że czuł się "jak pączek w maśle" - i miał ciekawą pracę: ustalał autentyczność muzycznych rękopisów i wykladał historię muzyki. Jego poprzednie zajęcie było znacznie trudniejsze.

Jako oficer wywiadu wojskowego Middleton oglądał skutki zbrodni wojennych, czystek etnicznych i okropności w wielu rejonach świata. Postanowiwszy pomóc w postawieniu sprawców tych przestępstw przed sądem, wystąpił ze służby i założył organizację non profit - nazwał ją „Zespołem Ścigania

Zbrodniarzy Wojennych" - zajmującą się tropieniem osób poszukiwanych przez Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze i inne sądy na całym świecie.

Ponieważ grupa nie była związana z żadnym organami ścigania ani organizacją pozarządową i nie otrzymywała za swoją pracę prawie nic, nazywano ich Ochotnikami. Dzięki znakomitej robocie detektywistycznej odnajdywali nieuchwytnych przestępców, zdobywając sobie sławę w wolnym świecie.

Kilka lat temu z różnych powodów zespół został rozwiązany, Middleton zajął się swoją ukochaną muzyką, Leonora Tesla pomocą humanitarną w Afryce, a pozostali Ochotnicy wrócili do swoich spraw.

Niedawno jednak wyszedł z ukrycia szczególnie groźny zbrodniarz wojenny, który przez parę lat skutecznie przed nimi uciekał. Ochotnicy musieli powrócić z emerytury, by uniemożliwić mu realizację planów strasznej masakry. Udało im się go złapać - choć była żona Middletona przyplaciła to życiem, a jego córka omal nie została zamordowana przez własnego męża, który, jak się okazało, był związany z przestępcą.

Middleton uświadomił sobie, że wobec szalejącego zła nie może dłużej zamykać się w światku akademickim, postanowił więc ponownie skrzyknąć Ochotników. W grupie znalazło się troje członków z pierwszego składu: sam Middleton, Leonora Tesla i Jean - Marc Lespasse. Do zespołu weszli także Connie Carson i Jimmy Chang, który został w siedzibie organizacji pod Waszyngtonem. Drobny Tajwańczyk miał niewiarygodny talent do języków, wysokie stopnie naukowe z informatyki i nauk ścisłych oraz uwielbiał rozmaite eksperymenty - Lespasse nazywał go „Wiki” Chang, nawiązując do internetowej encyklopedii. Pomagała im również córka Middletona.

Spoglądając na Balana, który usiłował utrzymać się w pozycji siedzącej po wstrząsie wywołanym taserem, Middleton miał nadzieję, że przesłuchanie będzie skuteczne. Bardzo im zależało na schwytaniu jego szefa. Devras Sikari był zagadkową postacią. Urodził się w biednej rodzinie w Kaszmirze, spornym terytorium w północnych Indiach, ale dokonał czegoś niemożliwego: trafił do elitarnej szkoły w Anglii. Potem studiował inżynierię i informatykę i okazał się świetnym studentem, górując bystrością umysłu nad wieloma profesorami.

Krążyły pogłoski, że sfinansowano mu całą edukację i utrzymanie, ale nikt nie wiedział, kto mógł być jego

sponsorem; dobroczyńca pozostał anonimowy. Po ukończeniu uniwersytetu Sikari odrzucił kilkadziesiąt propozycji od dużych firm brytyjskich i wrócił do Indii, gdzie w jakiś sposób - nikt nie wiedział jak - zgromadził pokaźny kapitał początkowy. Zaczął zakładać firmy komputerowe i elektroniczne i zarabiał miliony na rozkwitającym indyjskim rynku nowych technologii.

Potem, kiedy już zbił fortunę, zniknął z Mumbaju i Nowego Delhi, gdzie miały siedzibę jego firmy.

- Krótco potem pokazał się w Kaszmirze - opowiadał Jimmy Chang - jako watażka, buntownik i kultowa postać w jednym.

Chang

przedstawił

Middletonowi

i

pozostałym

Ochotnikom istotę konfliktu kaszmirskiego. Dawny „książęcy stan” od ponad półwiecza był przedmiotem zażartego i krwawego sporu. Indie i Pakistan rządzą w swoich częściach regionu, a mniejszy obszar na północnym wschodzie pozostaje pod kontrolą Chin. Ale podział jest jedynie tolerowany; zarówno Indie, jak i Pakistan roszczą sobie prawa do Kaszmiru i toczyły liczne boje o przejęcie tego terytorium.

Konflikt o ten rozległy, żyzny region doprowadził do najpoważniejszej konfrontacji od kryzysu kubańskiego w latach sześćdziesiątych, która o mały włos nie zakończyła się wojną jądrową między tymi państwami.

Devras Sikari osiedlił się w Dżammu, w kontrolowanej przez Indie części Kaszmiru, zamieszkaney głównie przez hindusów, i działał przede wszystkim w podziemiu, otoczony przez setki wyznawców, choć było wiadomo, że często wyjeżdżał z kraju, w przebraniu, korzystając z fałszywych dokumentów i papierów dyplomatycznych.

Przez kilka ostatnich lat organizował zabójstwa, porwania i tortury muzułmanów, Pakistańczyków, buddystów i chrześcijan w Kaszmirze - każdego, kto nie był Hindusem ani hindusem, oraz każdego, kto w jego przekonaniu nie miał prawa przebywać w jego rodzinnym regionie lub stanowił zagrożenie dla niepodległości Kaszmiru. Podejrzewano go o wymordowanie całych wiosek i obozów uchodźców, dokonywał nawet wypadów na terytorium kontrolowane przez Pakistan.

Prokuratorzy z Międzynarodowego Trybunału Karnego chcieli postawić go przed sądem, ale na przeszkodzie stanął im fakt, że Indie nie podpisały statutu powołującego Trybunał, więc MTK nie mógł sądzić Sikariego, mimo że dopuścił się on okrutnych zbrodni. Middletonowi udało się jednak znaleźć

lukę prawną: Ochotnicy odkryli, że Sikari jest odpowiedzialny za morderstwa w państwach - sygnatariuszach statutu, czyli podlega jurysdykcji MTK.

Jedyna trudność polegała na tym, aby odnaleźć nieuchwytnego człowieka. W końcu trafili jednak na trop: ze źródła w Interpolu dowiedzieli się, że Sikariego widziano w Paryżu,

gdzie

wypytywał

o

możliwość

kupna

skomplikowanego sprzętu i oprogramowania używanego do poszukiwania podziemnych źródeł wody. Dziwne. Kaszmir należał do niewielu miejsc na świecie, gdzie wody było pod dostatkiem, choć nazwa regionu pochodziła od słów „ka shimir”, co oznaczało „wysychająca woda”, i miała związek z dawnym jeziorem, które kiedyś pokrywało prawie cały ten obszar. W Kaszmirze były źródła wielu najważniejszych rzek Indii i Pakistanu, a inne państwa w tej części świata - jak stale nękanie suszami Chiny - szanowały każdą kroplę wody z dopływów, które brały tam początek.

Middleton skorzystał z okazji, aby wykurzyć Sikariego z nory. Poleciał do Paryża, podając się za amerykańskiego

geologa i próbując umówić się na spotkanie z Sikarim lub jego przedstawicielami.

Ale nikt nie połknął haczyka. Dlatego Middleton wyjechał na południe Francji, pozostawiając za sobą wyraźne ślady, udając, że zamierza spędzić wakacje z żoną i przyjaciółmi.

Miał nadzieję, że Sikari lub jego wspólnicy będą próbowali ich odnaleźć. Gdy spędzili tu zaledwie jeden dzień, NATO i francuski wywiad wojskowy poinformowali ich, że są śledzeni - przez mężczyznę o ciemnej karnacji, prawdopodobnie Hindusa.

Doskonale, pomyślał Middleton. I wspólnie z Leonorą Teslą przygotowali zasadzkę.

Były pułkownik podszedł do Balana i kucnął.

- Chcesz wody, jeść? - zapytał. Uważał, że zatrzymanych należy przesłuchiwać spokojnie i z szacunkiem. Nie ma sensu używać wobec nich przemocy psychicznej - a tym bardziej fizyczną. Przekonał się, że przynosi to skutki przeciwne do zamierzonych.

- Niczego od was nie chcę. - Więzień posłał mu szydrczy uśmiezek.

Middleton ponownie zerknął w stronę wzgórz nad plażą.

Znowu dostrzegł tę białą furgonetkę. A może to był zupełnie inny samochód. Stała w odległości niecałego kilometra. Od przedniej szyby odbijały się promienie słońca. Middleton nie

wiedział, czy wewnątrz ktoś jest. Być może wóz nie miał
żadnego związku z Balanem, ale pułkownik był podejrzliwy.

Zawołał do jednego z francuskich żołnierzy:

- Moglibyście sprawdzić tę furgonetkę? Zagadnięty

spojrzał we wskazaną stronę, mrużąc oczy.

- Dużo tu widziałem takich furgonetek. Są tu bardzo
popularne.

- Mimo to byłbym wdzięczny.

- Czy to rozsądne rozdzielać nasz oddział?

- Bardzo proszę - rzekł cierpliwie Middleton.

Francuz wzruszył ramionami, wsiadł na motocykl i z
warkotem ruszył drogą wzdłuż plaży.

Zadzwonił telefon Leonory. Tesla odebrała, po czym
oznajmiła:

- Interpol. Z informacjami o Balanie. Odwróciła się i
słuchając, zaczęła notować.

- Kavi - powiedział do zatrzymanego Middleton - wiemy,
że wysłano cię, żebyś mnie porwał albo zabił. Wiemy też, że
dostałeś rozkaz od Devrasa Sikariego. To fakty, które nie
podlegają dyskusji. Trafisz za kratki na bardzo długo. Nic tego
nie zmieni. Ale ode mnie może zależeć, czy to będzie znośne
więzienie, czy piekło na ziemi.

- Może mi pan zrobić, co pan chce. Wszyscy jesteście...

- Cii - przerwał mu uprzejmie Middleton. - Przemówienia

mnie nie interesują. Denerwują mnie, poza tym to strata czasu.

Chcę wiedzieć, jak możemy znaleźć Sikariego.

- Nie wiem, gdzie on jest. - Hindus parsknął śmiechem. -

Gdybym nawet wiedział, nigdy nie wyciągnęlibyście ze mnie

tej informacji. - Spojrzał na swoje ręce, skute kajdankami z

przodu i przytroczone łańcuchem do pasa, który starannie

zapiął mu Wetherby. Middleton przypuszczał, że będzie się

skarżył na kajdanki, ale nie, po prostu patrzył z lubością na

szeroką miedzianą bransoletę na przegubie.

- Nie wiecie, z kim macie do czynienia - ciągnął Balan z

wściekłym błyskiem w oczach. - Nie jesteście warci nawet

tego, żeby stać w jego cieniu. Ale sami jeszcze zobaczycie.

Zobaczycie.

Czyżby chodziło mu o coś konkretnego? A może po

prostu wygłaszał groźby bez pokrycia? - Middleton analizował

każde słowo Balana.

Zadał mu jeszcze kilka pytań, ale zatrzymany nie wykazał

najmniejszej chęci współpracy.

Zatrzeszczało radio Middletona. Zgłosił się francuski

żołnierz i zawiadomił go, że w furgonetce nie znalazł nikogo.

Dodał, że sprawdza numery rejestracyjne i rozłączył się.

Może to rzeczywiście nic takiego. Pomyślał o pytaniu

Francuza o sens rozdzielania sił. Rozejrzał się, ale nie

zauważył na plaży nikogo.

Zadzwońiła komórka Balana, spoczywająca w kieszeni

Middletona. Pułkownik wyciągnął ją. Na ekranie widniała informacja: NUMERO INCONNU.

- Odbierz - rozkazał Balanowi. - Jeżeli to Sikari, powiesz, że jesteś więźniem i że chcę negocjować. - Podał telefon

Peteyowi Wetherby'emu. - Niech mówi. Przetłumacz dokładnie, co powie.

- Oczywiście, pułkowniku. - Wetherby spełnił polecenie.

Zatrzymany powiedział coś w hindi.

- Wita się - rzekł Wetherby do Middletona, który cofnął

się o kilka kroków. - Zwykła rzecz, kiedy odbiera się telefon

w...

W tym momencie przy uchu Balana wybuchła wielka

pomarańczowa kula ognia. Rozległ się ogłuszający huk eksplozji.

Middleton, którego siła podmuchu rzuciła na ziemię,

spojrzał przez gryzący kurz i dym. Zobaczył, że więzień nie

ma większej części szyi i ramienia, a na piasek chlusta krew,

tworząc na nim nieregularne wzory. Petey Wetherby też nie

miał ręki, która roztrzaskała się na maleńkie kawałki. Żołnierz

z szeroko otwartymi oczami osunął się na kolana, przyciskając

dłoń do rany, z której tryskała krew, mieszając się na ziemi z

krwią Balana.

- Nie! - krzyknęła Tesla, biegnąc w ich stronę i zdzierając

z siebie pas, żeby zrobić opaskę uciskową dla Wetherby'ego.

Middleton wrzasnął do drugiego Francuza:

- Wezwij pomoc. I ratowników!

Connie Carson nie zwracała uwagi na zmasakrowane ciała. Znow chwyciła MP - 5 i zrobiła dokładnie to, co należało - przyjęła klasyczną pozycję obronną, kierując broń w stronę, z której mogli nadejść napastnicy. Lespasse złapał pistolet i zaczął ubezpieczać południową stronę plaży. Drugi żołnierz NATO, uzbrojony w czterdziestkępiątkę, ubezpieczał północ.

Od strony wzgórz dobiegł odgłos strzałów.

Middleton natychmiast domyślił się, co zaszło. Wspólnik wymknął się z furgonetki, żeby ich obserwować, następnie zadzwonił, a gdy komórka znalazła się przy uchu Balana, zdetonował bombę ukrytą w telefonie, po czym wrócił do samochodu i zastrzelił francuskiego żołnierza.

Koszmar.

Middleton w szoku patrzył na masakrę. Wetherby był błądy jak płótno i nieprzytomny. Balan jakimś cudem przeżył, choć szybko tracił krew i zostało mu już niewiele życia.

Pułkownik kucnął przy nim.

- Gadaj! Gdzie Sikari? Chyba nie chcesz, żeby zginęło przez ciebie więcej niewinnych ludzi?

Więzień uniósł na niego gasnący wzrok, po czym zrobił

coś dziwnego. Uniósł rękę tak wysoko, jak pozwalały mu przymocowane do pasa kajdanki, i pochylił głowę. Ucałował miedzianą bransoletę. Mruknął pod nosem parę słów. Chwilę później jego ciało zwiotczało. Przestał oddychać.

Middleton przyglądał mu się przez moment, po czym spojrzał w dół i u swoich stóp dostrzegł kawałeczek telefonu komórkowego.

Głowę przeszła mu nagła myśl. Błyskawicznie odwrócił się do Lespasse'a, który stał przy drukarce obok komputera Balana.

- JM, laptop! - krzyknął. - Na ziemię!

Były żołnierz, zaprogramowany na natychmiastowe wykonywanie rozkazów, zarył nosem w piasek.

Wybuchła druga bomba pułapka - ukryta w laptopie - rozbłyskując jeszcze większą kulą ognia i bombardując najbliższą okolicę gradem odłamków metalu i plastiku.

Connie Carson podbiegła do niego i pomogła mu wstać, rozglądając się czujnie, czy nikt ich nie atakuje.

- Nic ci nie jest? - spytał Middleton.

- Chyba nie. - Lespasse skrzywił się, masując sobie ramię i szyję. Podszedł do pozostałych.

Tesla ruchem głowy wskazała Wetherby'ego.

- Nie żyje - powiedziała zduszonym głosem.

Middleton był wściekły na siebie. Powinien przewidzieć,

że to pułapka. Przez jego niedbalstwo zginął młody, wesoły
żołnierz...

Nie miał jednak czasu rozpamiętywać tragedii. Patrzył na
zbocze wzgórza. Biała furgonetka szybko się oddalała.

Spojrzał na Carlson, która wycelowwała w samochód MP - 5.

Ale kobieta opuściła broń i z rezygnacją pokręciła głową.

- Za daleko.

Zawiadomią Francuzów, lecz wiedział, że kierowca
niebawem porzuci samochód i ucieknie.

Kim był ten wspólnik?

W powietrzu unosił się cierpki chemiczny zapach
materiałów wybuchowych, który drapał w nos i gardło.

Middleton zwrócił uwagę na Tesłę, która przyglądała się
martwemu ciału Balana. Widział, że nad czymś się
zastanawia.

- O co chodzi?

- Coś mi tu nie pasuje. - Pokazała notes z zapiskami z
rozmowy z funkcjonariuszem Interpolu. - Kavi Balan od lat
pracował dla Sikariego. Był jego cynglem numer jeden,
wykonywał setki zleceń. Sikari był jego mentorem, szykował
go na ważną figurę w swojej organizacji.

Kiwając głową, Middleton rzekł:

- Sikari bał się, żebyśmy się czegoś nie dowiedzieli, i
zabił swojego ulubionego protegowanego, żeby niczego nie

wygadał?

- Właśnie.

- Jak myślisz, dlaczego?

- Chyba mam jakiś trop - odezwał się Lespasse. - Zebrał

kilka arkuszy z wydrukami, które sfrunęły na ziemię po

eksplozji komputera. - Udało mi się obejść hasło i zdążyłem

wydrukować trzy e - maile. W dwóch są adresy. W Londynie i

na Florydzie. W Tampa.

Middleton spojrział na adresy. Mieszkania? Biura?

- A trzeci e - mail?

Młody człowiek przeczytał:

- „Kavi, cieszę się, że spodobał ci się prezent. Noś go

zawsze na szczęście. Gdy zakończymy nasz projekt na

południu Francji i prześlesz mi informacje o tym

Amerykaninie, musisz natychmiast wyjechać. Mamy mało

czasu. Pamiętaj, co zaplanowałem dla »Wioski«. To się musi

stać niedługo - zanim zajmujemy się resztą. Zostało nam

najwyżej kilka tygodni. I uważaj na Skorpiona".

Lespasse uniósł wzrok.

- Podpisano „D.S.". Devras Sikari.

- Chce zniszczyć całą wioskę? - szepnęła Tesla. - Czystki

etniczne? Gdzie? W Kaszmirze?

Middleton wzruszył ramionami.

- To może być gdziekolwiek. Poza tym użył cudzysłowu.

Jak gdyby to był kryptonim czegoś zupełnie innego.

- Co to może znaczyć „zanim zajmiemy się resztą”? -

spytał Lespasse.

- Lepiej będzie, jeżeli się szybko dowiemy - odparła

Carson. - A Skorpion? Zdaje się, że to jakiś człowiek. Ale

kto?

Mnóstwo pytań, żadnej odpowiedzi.

- Powinniśmy zawiadomić górę? - zapytała Tesla.

Ochotnicy nie podlegali żadnemu rządowi. Ich działalność

koordynował Międzynarodowy Trybunał Karny, Sztab

Wojskowy Unii Europejskiej, NATO, ONZ i miejscowe

rządy. Czasami wszystkie te instytucje naraz, co wymagało

mnóstwa czasu i biurokratycznych przepraw.

Middleton wpatrywał się w ciało Peteya Wetherby'ego -

młodego człowieka, którego znali od kilku dni. Przypomni

sobie, jak się śmiali i popijali wino, rozmawiając o sporcie i

polityce w Stanach.

- Zawiadomimy, kiedy już wsadzimy Sikariego w

kajdankach na pokład samolotu do Hagi - mruknął pułkownik.

Stuknął palcem w przysypane kurzem kartki, które trzymał w

ręku Lespasse. - Kto chce Florydę, a kto Londyn?

Na chwilę zapadło milczenie. Wreszcie Carson wycedziła

swoim seksownym teksańskim akcentem:

- Nie wiem, czybym pasowała do Piccadilly Circus, no

nie? Cholera, wygląda na to, że zostaje mi Tampa.

- Dobra. JM, pojedziesz z nią. Nora, my w takim razie pakujemy się do Londynu.

Choć zupełnie nie wiedzieli, czego lub kogo mają szukać w tych dwóch miejscach.

Lespasse przebiegał wzrokiem tekst trzeciego e - maila.

- Ciekawe, co Sikari dał mu w prezencie.

- Chyba wiem. - Middleton myślał o dziwnym ostatnim gościu Balana - ucałowaniu miedzianej bransolety. Przez serwetkę ostrożnie zdjął ozdobę z przegubu denata. Obejrzał ją dokładnie, uważając, by nie usunąć żadnego dowodu fizycznego, który mógł się ukrywać w kunsztownym grawerunku. Na miedzi poprzecinanej zielonymi żyłkami patyny wyryto drobny napis, prawdopodobnie w sanskrycie albo hindi. Z jednej strony, gdzie bransoleta rozszerzała się w owal, był misternie wygrawerowany słoń. Zwierzę unosiło trąbę, tryskając strumieniem wody w niebo, w stronę sierpa księżyca.

- Zdaje się, że jednak nie przyniosła mu szczęścia - zauważyła Carson, przeciągając samogłoski.

- Jemu nie - odrzekł Harry Middleton. - Ale być może nam.

ROZDZIAŁ 2

GAYLE LYNDIS

Pierre Crane pracował wiele miesięcy, by doczekać tej chwili. Dziwne tylko, że wszystko miało się zakończyć na peryferiach Paryża, ale śledztwo od początku było trudne i niezwykle.

Dochodziła dziesiąta wieczorem, na czarnym niebie mrgały gwiazdy. Crane rozglądał się czujnie, jadąc taksówką przez Boulevard Barge w Montfermeil. Mówiono, że spotykają się tu dwie Francje: po lewej ciągnął się rząd przedwojennych domów, otoczonych zadbanymi ogrodami i starannie pomalowanymi na czarno stalowymi ogrodzeniami, a z prawej znajdował się cel jego podróży - osiedle dziesięcioletnich czynszowych bloków, gdzie gnieździły się tysiące imigrantów oraz ich urodzonych we Francji dzieci, wnuków i prawnuków.

Nazwa dzielnicy - Les Bosquets, czyli Zagajniki - przywodziła na myśl bujną zieleń i naturalne piękno. Ale Crane widział przez okno taksówki tonącą w graffiti asfaltowo - betonową dżunglę, wyschnięte chwasty i ciemne zaułki.

Ostatni przystanek przed bezdomnością dla tych, których nie było stać na inne mieszkanie, co wyjaśniało, dlaczego wskaźnik bezrobocia stale oscyluje tu wokół pięćdziesięciu procent.

Obecność Crane'a w tak ponurej okolicy wydawała się szczególnie niezwykła. Człowiek, z którym miał się spotkać,

wpływowy i zamożny, pasował do Les Bosquets jak

zakonnica do burdelu w Las Vegas.

- Nous sommes ici - powiedział do kierowcy Crane

nienaganną francuszczyzną. Jego matka była Francuzką i w dzieciństwie wiele razy spędzał cudowne lato u jej rodziny na wsi w Szampanii niedaleko Reims.

Taksówkarz zareagował natychmiast, zatrzymując się przy chodniku i podając mu wysokość opłaty. Wyciągnął do niego rękę.

- S'il vous plait. - Niepokój malujący się na jego twarzy mówił wszystko - chciał stąd jak najszybciej odjechać.

Pierre Crane wręczył mu zwitek euro i wysiadł w

ciemność. Wysoki i tykowaty trzydziestoosmiolatek miał ziemistą cerę, ciemnobrązowe włosy, duży nos i długą szyję.

Gdy był dzieckiem, dokuczano mu z powodu wyglądu, a

koledzy za jego plecami przezywali go „Żurawiem”

(Nazwisko „Crane” oznacza żurawia (przyp. tłum.)) (wiedział

o tym, co dawało mu pewną satysfakcję). Z wiekiem

rozwinęło się w nim poczucie humoru i świadomość, że jest

niedoceniany. Przez wzgląd na jedno i drugie zdobył też

czarny pas w karate, o czym przez dwadzieścia lat

dowiedziało się niewiele osób.

Ubrany w spodnie khaki i nylonową kurtkę, którą zapiął

po szyję, by osłonić się przed chłodnym jesiennym wiatrem,

Crane odwrócił się, a taksówka z piskiem opon odjechała.

Obojętnym wzrokiem przyglądał się, jak grupka nastolatków zmienia kierunek i rozkołysanym krokiem rusza w jego stronę przez plamę światła latarni, pstrykając palcami i podrygując w takt algierskiego hip - hopu, buchającego z wielkiego radioodtworacza, który jeden z nich dźwigał na muskularnym ramieniu.

Kiedy się zbliżyli, Crane lekko ugiął kolana i swobodnie opuścił ręce, rozprostowując palce.

Młodzieńcy otaksowali go ciężkimi spojrzeniami, wciąż kołysząc się i podskakując.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się szeroko i dotknął daszka czapki.

Na ich śniadych twarzach odbiło się zdumienie. Po kilku sekundach ochłonęli. Ale gdy go mijali, dobiegło go ostrzeżenie: „Wracaj do domu, Francais de souche!”.

Dosłownie oznaczało to „Francuz z korzeniami”, jak w slangu nazywano rodowitych Francuzów.

Patrząc za nimi w zamyśleniu, zauważył wybrzuszenia tylnych kieszeni ich luźnych dżinsów, potwierdzające jego podejrzenia - mieli przy sobie noże.

Przeszedł go dreszcz, lecz Crane zaraz sobie powiedział, że bywał już w gorszych opałach. Reporter śledczy Agencji Reutera rzadko mówił o swoich sukcesach, ale w latach

dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku dotarł do kluczowych informacji, które pomogły postawić zarzut zbrodni wojennych Radovanowi Karadžićowi, domniemanemu architektowi zagłady w Bośni. Potem odkrył krwawą mafijną przeszłość jednego z głównych kandydatów na prezydenta Włoch, który trafił przez to na czołówki gazet w całej Europie, a później za kratki. W zeszłym roku, pracując nad mało istotnym tematem, odkopał cenny skarb - jeden z tajnych składów złota Saddama Husajna, mimo że cały czas deptali mu po piętach trzej najemnicy.

Pamiętając o tym wszystkim, dziennikarz zdecydowanie wkroczył w głąb w Les Bosquets, przemierzając długimi krokami betonowy labirynt rozpadających się wieżowców. Paliły się latarnie, które jeszcze działały. Przyglądał się kobietom w hidżabach i workowatych strojach, leniwie wchodzącym i wychodzącym z budynków. Wiele z nich trzymało na rękach dzieci. Z otwartego okna dochodził skrzek radia nadającego wiadomości po arabsku. W górze widział balkony obwieszane kolorowymi strojami pustynnymi, które miały wyschnąć w porannym słońcu.

Choć nie wyczuwał żadnego niebezpieczeństwa, zwolnił kroku i rozejrzał się uważnie. Na pewno nie zabłądził, ale na żadnym z budynków nie dostrzegł numeru, który wskazywałby, że jest blisko celu.

Ruszył dalej, kierując się do następnego rogu. Kiedy skręcił, zobaczył dwóch wyrostków, którzy nie zważając na nic, targowali się o cenę działki narkotyku. Z wiatrołapu przyglądał się im mężczyzna z gęstą czarną brodą, czyszcząc berettę kaliber 9 milimetrów, której w ogóle nie próbował ukrywać. Brodacz szybko skierował na Crane'a czujne brązowe oczy, patrząc na niego jak jastrząb na potencjalną ofiarę.

Nagle otworzyły się odrapane drzwi sąsiedniego budynku i wyskoczyło przez nie trzech ludzi w dzinsach i koszulach z krótkim rękawem, ściskając półautomaty - krótkie, niewielkie pistolety Ingram M - 10, z nakręconymi na lufy tłumikami MAC, które zmniejszały prędkość gazów prochowych do poziomu poddźwiękowego.

Pierre Crane zastygł w bezruchu.

Chłopcy negocjujący cenę narkotyku rozbiegli się w przeciwnych kierunkach. Mężczyzna z berettą wycofał się do klatki schodowej. Pozostała tylko uzbrojona trójka - i Crane.

Patrzyli na niego z groźnymi minami i poczuł, jak pot spływa mu po krzyżu. Mając nadzieję, że to ludzie, których miał spotkać, powiedział po arabsku słowa, które kazano mu powiedzieć:

- aDetni a 'rabba. Ukąsił mnie skorpion. Mężczyzna stojący po prawej skinął głową.

- Skorpion zaraz pana przyjmie. - Odpowiedział po angielsku, cichym głosem. Podał właściwy odzew, i tylko to się liczyło.

Ochroniarze otoczyli go i wprowadzili po schodach do środka. Drzwi zamknęły się z głuchym hukiem, po którym rozległ się szcęk baterii zamków. Najwyraźniej nie był to zwykły blok i upór Skorpiona, by spotkanie odbyło się w Les Bosquets, stał się zrozumiały: uprzedzono Crane'a, żeby przyjechał sam, a gdy błąkał się po labiryncie osiedla, szukając

nieistniejącego

adresu,

ludzie

Skorpiona

obserwowali go wystarczająco długo, aby się upewnić, że nie tylko jest sam, ale i nikt go nie śledzi.

Zrobił głęboki wdech i rozejrzał się. Korytarz z niskim sufitem był stary, ale czysty. Na środku stał czwarty mężczyzna, nieuzbrojony i zupełnie niepodobny do tamtych trzech.

- Monsieur Crane, spóźnił się pan. Mam nadzieję, że nie wpadł pan w żadne kłopoty. - Mężczyzna był starszy, pięćdziesięciokilkuletni, miał kanciastą twarz, opaloną jak u żeglarza, i aureolę szpakowatych, nienagannie uczesanych

włosów. Crane przyjrzał się krojowi i gatunkowi jego

garnituru

-

z grafitowego jedwabiu w prążki z

dwudziestoczerokaratowego złota, wart na oko dziesięć

tysięcy dolarów. Buty - od Berlutiego, ze skóry aligatora,

szyte ręcznie - co najmniej tysiąc pięćset. Krawat Hermes,

wart pięć tysięcy. Ale uwagę Crane'a przykuł przede

wszystkim zegarek - Patek Philippe, za dwieście tysięcy, ani

centa mniej.

Crane uniósł wzrok.

- A więc nareszcie mogę poznać Skorpiona. Ujrzał błysk

jasnoniebieskich oczu.

- Bystry z pana chłopak. - W jego głosie pobrzmiwał

brytyjski akcent, a sposób bycia zdradzał świadomość

zajmowanej przez siebie pozycji. Popatrzył na swoich ludzi

ponad ramieniem Crane'a.

- Przeszukać go.

Crane dobrze znał procedurę. Uniósł ręce i rozstawił

szeroko nogi. Nikt się nie odzywał, podczas gdy jeden z

ochroniarzy go rewidował, a potem drugi sprawdzał go

ręcznym wykrywaczem metalu, takim jakich używa się na

lotniskach. Szukali nie tylko broni, ale jakichkolwiek urządzeń

rejestrujących, których Crane i tak nie potrzebował. W ciągu

lat pracy nauczył się doskonale zapamiętywać nie tylko treść dokumentów, ale także rozmów. O tym talencie też wiedziało niewiele osób.

- Czysty - zameldował człowiek z wykrywaczem.

W trakcie rewizji Skorpion patrzył w inną stronę. Teraz ponownie skierował wzrok na Crane'a.

- Zapraszam do windy.

Idąc za dwoma ochroniarzami, wsiedli do kabiny, a trzeci wszedł jako ostatni, wciskając przycisk, który skierował ich nie do mieszkań, ale w dół.

Crane spytał:

- Kiedy zaangażował się pan w... Skorpion uciszył go, unosząc rękę.

- O poważnych sprawach porozmawiamy w limuzynie.

Nie ma w niej żadnych pluskiew, a szyby zostały zabezpieczone, żeby naszych głosów nie mógł odczytać żaden demodulator. Wygląda pan na zaskoczonego, że wiem o takich rzeczach. - Wzruszył ramionami. - W takim świecie dziś żyjemy, chłopcze. Szkoda, prawda? - Nagle twarz mu się rozjaśniła. - Ale to służy dobrym interesom.

- Na pewno pańskim interesom, jak się domyślam. -

Crane starał się zachować obojętny ton.

Mężczyzna skłonił głowę.

- Istotnie.

Drzwi windy rozsunęły się, ukazując zwykłą piwnicę z cementową posadzką, gdzie były kotłownie, pralnia i kubły na śmieci. Z prawej ciągnął się rząd boksów oddzielonych od siebie przegrodami z drucianej siatki. Wszystkie były zamknięte, a na każdej bramce wisiała kłódka z zamkiem szyfrowym. Pewnie jakiś magazyn. Gdy Crane starał się zobaczyć coś więcej poza kartonowymi pudłami, w głębi pomieszczenia zamruczał basem potężny silnik samochodu. Z półmroku wyłonił się długi mercedes limuzyna. Sunął w ich stronę, a czarny błyszczący lakier lśnił w blasku jarzeniówek jak świeżo rozlany atrament.

- Nasz rydwan - wyjaśnił Skorpion.

Szofer pozostał za kierownicą - tylne drzwi otworzyli dwaj ochroniarze, po czym cofnęli się i wyprężyli na baczność. Crane podszedł do drzwi po drugiej stronie i wsiadł, zajmując miejsce obok gospodarza.

Wnętrze pachniało nową skórą i cytrynowym woskiem.

Kierowca miał na sobie tradycyjny brązowy uniform i czapkę ze sztywnym daszkiem. Crane zauważył, że to starszy człowiek - miał rzadkie, siwe włosy i bladą, pokrytą zmarszczkami skórę na karku. Nosił krótkie rękawiczki dla kierowców z cielecej skóry, spod których połyskiwała miedziana bransoleta na przegubie prawej ręki.

Bransoleta przykuła uwagę Crane'a. Na brzegu wryto

jakieś słowa. Nawet z tej odległości litery wyglądały egzotycznie, co samo w sobie było intrygujące. Widząc jej głęboką barwę, Crane uznał, że bransoleta jest bardzo stara. Zdawało się nawet, że migocze jakimś wewnętrznym płomieniem. Bransoleta była tylko bardzo piękną błyskotką - dlatego przyciągnęła jego wzrok.

Crane zapiął pas. Drzwi zamknęły się i zostali sami.

- Zaczynajmy.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne i skinął głową, przyjmując polecenie do wiadomości. Następnie skierował limuzynę na podjazd i wyjechał na ulicę pod usiane gwiazdami niebo.

Crane spojrzał na gospodarza, który usadowił się na skórzanym fotelu i rzekł:

- Zanim odpowiem na pańskie pytania, najpierw musi pan odpowiedzieć na moje. Proszę mi powiedzieć, jak do tego doszło, że zainteresował się pan moją osobą. Niech pan zacznie od początku.

Dziwne pytanie, ale możliwe, że Skorpion nie znał całej historii.

- Zbierałem materiały do artykułu i natknąłem się na coś, co nie miało nic wspólnego z tematem, ale mnie zaintrygowało. Pewna ciekawa anomalia.

- Proszę mówić dalej.

- Anomalia była związana z trzema świętymi zagranicznymi studentami w Cambridge - Hindusem, Pakistańczykiem i Kaszmirczykiem - którzy w 1988 roku skończyli studia z wyróżnieniem. Przyjaźnili się. Wszyscy urodzili się w biednych rodzinach, ale ktoś pokrywał wszystkie wydatki związane z ich edukacją, odkąd skończyli dziesięć lat. Kiedy wyjechali z Cambridge, założyli swoje firmy, których kapitał też został w stu procentach sfinansowany. Każdy z nich szybko osiągnął sukces. Ale po pięciu latach Hindus utonął podczas powodzi w Nowym Delhi, a Pakistańczyk zmarł dziesięć lat później, kiedy zatruł się wodą ze skażonej studni. Trzeci, z Kaszmiru - Devras Sikari - żyje, ale sprzedał firmę i mieszka w buszu jako watażka i potencjalny święty. Sytuacja aż się prosiła, żeby ją zbadać. No więc to zrobiłem. Odkryłem, że ci trzej nie znali się przed przyjazdem do Anglii, wszyscy byli wyznawcami hinduizmu i żaden nigdy nie wymienił nazwiska ich sponsora. Znalazłem tylko jedną wskazówkę w mało znanym indyjskim czasopiśmie. Cytowano tam Sikariego, który miał powiedzieć, że jego dobroczyńca to „święty, ale z tego świata”.

- Tak, coś o tym słyszałem. Niech pan kontynuuje. Crane pozwolił sobie na przelotny uśmiech.

- Wypowiedź Sikariego zachęcała, żeby się bliżej przyjrzeć tajemniczemu dobroczyńcy. Dlaczego miałby

ukrywać swoją hojność? Przecież wykształcił troje ubogich dzieci i jego przykład mógłby zainspirować innych do podobnej hojności. - Chyba że nie zrobił tego z altruistycznych pobudek, dokończył w myśli. Chyba że kierował się zupełnie innym, znacznie mniej szlachetnym motywem. - W końcu udało mi się odnaleźć nazwę firmy, która pokrywała wszystkie koszty. Okazało się, że to przykrywka, prowadząca do kolejnych przykrywek. Był jednak jeden stały element. Wszystkie korzystały z usług ochroniarskich BlueWatch Global Services.

BlueWatch, z siedzibą w Dubaju, był bezkonkurencyjną prywatną agencją ochrony i usług detektywistycznych, ze specjalnym działem obsługującym klientów z wypchanymi po brzegi kieszeniami.

- Naturalnie poprosiłem o rozmowę z prezesem zarządu, Francisem Xavierem Kimballem.

Z jego ustaleń wynikało, że Kimball nie istniał. Mimo to Crane nie zamierzał o tym wspominać, przynajmniej na razie, ponieważ właśnie jego dochodzenie w sprawie tożsamości Kimballa skłoniło Skorpiona do nawiązania z nim korespondencji, która zakończyła się propozycją spotkania.

Crane nigdy nie słyszał o Skorpionie, ale według jednego z jego źródeł, powiązanego z międzynarodowym światem przestępczym, był to człowiek bogaty, niebezpieczny,

nieznanego pochodzenia i o nieznanym nazwisku, którego nikt nigdy nie widział. Niedługo potem zespół bezpieczeństwa informatycznego w Agencji Reutera zawiadomił Crane'a, że e - maile Skorpiona były przesyłane przez wiele krajów, między innymi Chiny i Rosję, i nie sposób ustalić ich źródła.

Skończywszy mówić, Pierre Crane spojrział przez okno mercedesa i zorientował się, że są już daleko za Les Bosquets.

Znaleźli się w jakiejś uroczej mieszkalnej części obrzeży Paryża, gdzie po obu stronach limuzyny przesuwały się rozkołysane drzewa, jesienne kwiaty i bujne trawniki zalane księżycowym blaskiem. Wzdłuż ulicy biegły wysokie żywopłoty i pomalowane na pastelowo mury. Mijane z rzadka podjazdy zamykały bogato zdobione bramy, stanowiące dobrze zabezpieczone barykady.

- Gdzie jesteśmy? - spytał Crane.

- W żadnym konkretnym miejscu. To chyba i tak nie ma znaczenia, prawda? Zresztą sam nie wiem. Po prostu jedziemy. Chodziło o to, żebyśmy spokojnie porozmawiali i żeby nikt nam nie przeszkadzał. No więc korzystajmy z tej możliwości. Właśnie opowiedział pan szalenie zajmującą historię, panie Crane. - Strzepnął niewidoczny pyłek z rękawa swojego doskonałego garnituru. - Co pan zamierza z nią zrobić?

-

Chciałbym

napisać

artykuł

o

błyskotliwym

Kaszmirczyku, który odwrócił się plecami do Zachodu i został

bojownikiem o niepodległość. Pojawi się tam postać jego

dobroczyńcy, który sfinansował mu edukację, a potem został

zdradzony, gdy Sikari wrócił do Kaszmiru. W kilku

rozmowach padł pseudonim „Skorpion”. Potwierdza pan, że to

pan

jest

tajemniczym

sponsorem?

Zdradzonym

samarytaninem?

- W pewnych sytuacjach znacznie lepiej dla wszystkich

jest pozostać anonimowym - odparł Skorpion. - Poza tym, jak

pan powiedział, skoro dwaj z nich nie żyją, a trzeci

prawdopodobnie oszalał, nie sądzę, by ktoś chciał się

przyznać do autorstwa tego eksperymentu.

- „Eksperymentu”? To brzmi jeszcze bardziej intrygująco.

Co pan chciał osiągnąć?

_ Nie, nie. To nie ja. Gdyby to było moje dzieło i nie

chciałbym, żeby pan o tym wiedział, po prostu uchyliłbym się od odpowiedzi na pańskie pytania. Nie miałem z tym absolutnie nic wspólnego. - Uniósł wypielęgnowaną dłoń. - Proszę pozwolić mi skończyć. Też chciałbym wiedzieć więcej.

- Dlaczego?

- Wiedzy nigdy dość. Jeżeli podam panu adres, pod którym prawdopodobnie zdobędzie pan nowe informacje, obieca mi pan szczegółowo zrelacjonować swoje odkrycia?

Crane zdumiał się. Przypuszczał, że będzie musiał długo nakłaniać Skorpiona do pomocy lub uciec się do podstępu, a tajemniczy bogacz będzie go próbował powstrzymać.

- Dlaczego sam pan nie może tam pojechać? - spytał ostrym tonem Crane.

W niebieskich oczach mężczyzny znów pojawił się błysk.

- Pan pojedzie za mnie. Powiedzmy, że tak będzie dyskretniej. Z tego, co mówią moi ludzie, potrafi pan dotrzymać słowa. Jak brzmi pańska odpowiedź?

- Zgoda, zdam panu relację. Ale nie obiecuję, co będzie potem.

- Kiedy pan tam pojedzie, proszę zachować ostrożność.

Sikariego poszukuje pewien człowiek. Były żołnierz amerykański, ściślej mówiąc, były oficer wywiadu wojskowego. Świetnie wyszkolony i bezwzględny. - Wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyciągnął kolorową fotografię. -

To on. Nazywa się Harold Middleton. Proszę na niego bardzo uważać.

Crane zerknął na zdjęcie, lecz gdy uniósł wzrok, przestał słuchać. Skupił się na scenie rozgrywającej się za oknem mercedesa - pojawiła się tam druga czarna limuzyna, która zrównała się z nimi na ciasnej, jednopasmowej uliczce.

Samochód sunął obok nich z taką samą, niebezpieczną prędkością, błotnik w błotnik. Od przyciemnianych bocznych szyb odbijało się zimne światło księżyca. Crane nie widział nikogo w środku. Poczul ucisk w płucach.

- Obserwowałem go - odezwał się szofer. Crane'owi spodobał się jego głos - pełen autorytetu, należący do człowieka, który zna się na rzeczy.

Kierowca wcisnął gaz do dechy. Koła zakreśliły się z piskiem, a przyspieszenie wdusiło ich głęboko w siedzenia.

Gdy zostawili za sobą drugą limuzynę w obłoku spalin, szofer zakomenderował:

- Wyciągnij broń.

Crane zobaczył, jak gospodarz wciska guzik umieszczony w miękkim, eleganckim podłokietniku. Otworzyły się drzwiczki za fotelem kierowcy. Mężczyzna wyciągnął półautomat MP - 5 i szybko podał górą szoferowi. Następnie chwycił drugi pistolet i ostrożnie położył sobie na kolanach.

- To Jana - powiedział ze złością kierowca. - Widziałem

ją przez przednią szybę. Jak nas znalazła?

- Skąd mam wiedzieć?

- To twój obowiązek, do cholery! Spieprzyłeś sprawę!

Crane osłupiał. Szofer odpytywał Skorpiona. Wydawał Skorpionowi rozkazy. Wytykał mu niedbalstwo. A Skorpion nie robił nic, aby odzyskać kontrolę nad sytuacją.

Limuzyna pędziła dalej. Crane zauważył, że okno między przednimi a tylnymi siedzeniami cały czas było otwarte.

Szofer wszystko słyszał. Crane szybko przeanalizował w myślach rozmowę w korytarzu, gdy zapytał mężczyznę, czy jest Skorpionem. Odpowiedział wtedy tylko „Bystry z pana chłopak”, co nic nie znaczyło. Uchylił się od odpowiedzi.

Crane poczuł, jak serce mu wali. Kostium szofera był dla Skorpiona doskonałym sposobem, aby prowadzić interesy, nie ujawniając swojej legendarnej tożsamości. Odpowiedź była tylko jedna - szefem był szofer. Czyżby to on był prawdziwym Skorpionem?

Druga limuzyna dogoniła ich i znów się z nimi zrównała.

Otworzyło się okno po stronie pasażera. Crane dojrzał przez nie zarys profilu kierowcy - pięknej kobiety o długich, lśniących włosach, rozwianych przez pęd powietrza. Kobieta trzymała lewą dłoń na kierownicy. Prawa była niewidoczna.

Kiedy zerknęła na Crane'a, przeszył go dreszcz zachwyty i przerażenia jednocześnie - na widok jej zniewalającej urody i

fanatycznego blasku w oczach. Po chwili kobieta straciła zainteresowanie jego osobą i skupiła wzrok na dwóch pozostałych osobach w mercedesie. Gdy spojrzała na kierowcę, na jej twarzy odmalował się cień rozczarowania. Po ułamku sekundy wahania uniosła pistolet maszynowy. Może uzi, może mac - 10. Crane skulił się, tłumiąc okrzyk, i w tym momencie lufa bluznęła ogniem, a pociski zabębniły w okna ze zwielokrotnioną siłą gradu, odbijając się głośno, lecz bezskutecznie od pancernych blach i kuloodpornych szyb. Skonsternowana tym faktem Jana ostro skręciła kierownicę w prawo, zmuszając ich do zjechania na pobocze, gdzie limuzyna zaryła się w trawie i stanęła.

Samochód Jany zniknął w chmurze kurzu.

- Jak ona nas znalazła? - warknął kierowca.

- Śledziła go? - Mężczyzna siedzący z tyłu zerknął na Crane'a, który zauważył wymierzony w siebie pistolet, trzymany pewną ręką. Przemknęło mu przez myśl, że może zaraz zginąć.

Szofer odwrócił się do nich i rzucił wściekle:

- W tym biznesie nigdy nie można nikogo lekceważyć.

Nigdy.

- Co z nim zrobimy? - spytał człowiek siedzący obok

Crane'a. Kierowca zastanowił się.

- Panie Crane, na końcu tej drogi jest stacja kolejki. Widzi

pan?

- Tak.

- Może pan stamtąd wrócić do Paryża. My, niestety, mamy do załatwienia coś innego.

- Tak, oczywiście.

- Niech pan sprawdzi londyński trop. Ale proszę uważać.

Cokolwiek będzie pan robił, proszę uważać.

Crane wysiadł z limuzyny, która wyjechała z miękkiego pobocza i zawróciła, ruszając w kierunku przeciwnym niż samochód Jany.

Dziennikarz, dygocząc i z trudem łapiąc oddech po zdarzeniu, zaczął iść w stronę drogi. Instynkt reporterski podpowiedział mu ważną wiadomość: kobieta zamierzała zabić Skorpiona, ale wyraz zawodu na jej twarzy na widok mężczyzn w limuzynie świadczył o tym, że żaden z nich nie jest tajemniczym samotnikiem.

Każdy obdarzony rozsądkiem człowiek dałby sobie spokój z tą sprawą. Była skrajnie niebezpieczna, ale właśnie dlatego go pociągała i Crane, Żuraw, w głębi serca gorąco pragnął rozwiązać tę zagadkę. Był brzydki, ale miał piękny umysł i duszę. Palił się z ciekawości i jak zakochany, widząc pierwszy ognisty rumieniec wzajemności, dałby się raczej obdrzeć ze skóry i poćwiartować, niż wypuścić z rąk tak niesamowitą i obiecującą historię.

Wyciągnął komórkę i ruszył biegiem. W oddali odezwały się policyjne syreny. Nie zważał na nie. Myślał tylko o Londynie i o tym, co tam znajdzie.

ROZDZIAŁ 3

DAVID HEWSON

Felicja Kamińska grała Bacha - ciacconę z drugiej partity d - moll, jeden z najtrudniejszych utworów na skrzypce, jakie kiedykolwiek napisano - gdy do domu wpadł człowiek z bronią w ręku.

Za mężczyzną o rozgorączkowanej twarzy do pokoju w szeregowcu przy londyńskiej Lamb's Conduit Street wbiegła piękna, elegancka kobieta. Miała długie, ciemne włosy, a w prawej dłoni trzymała chyba pistolet maszynowy - Felicja nie znała się zbyt dobrze na broni.

Młoda skrzypaczka z Polski położyła instrument Beli Szepessyego i smyczek na orzechowym stoliku pod oknem i powiedziała:

- Harold, Leonora, miło was znowu widzieć. Jak ostatnio wygląda rynek muzyczny? Źle czy dobrze? Patrząc na was, naprawdę trudno mi ocenić. Przyjechaliście na mój debiut w Wigmore Hall? Jeżeli tak... - Położyła na brodzie szczupły palec o paznokciu przyciętym do żywego mięsa. - To muszę przyznać, że będzie problem z waszą garderobą.

- Niech to szlag. - Middleton schował broń, a Leonora

Tesla zrobiła to samo, choć nieco wolniej. Teatralnym gestem uderzył się w czoło. - Przepraszam, Felicjo. Zobaczyliśmy, że ktoś jest w środku. Zapomniałem, że masz klucze.

- W Londynie strzela się do włamywaczy, Haroldzie?

Taki ładny dom. Nie pamiętasz, komu go pożyczyłeś?

Middleton zerknął na swoją towarzyszkę.

- Mówiłem, że Felicja może swobodnie korzystać z domu, kiedy będzie miała swój... - Zająknął się przy szczegółach.

- ...swój debiut w Wigmore Hall - powtórzyła Felicja, pokazując im skrzypce. - Sądziłam, że będziesz chciał usłyszeć, jak na nich gram. Kosztowały cię mnóstwo pieniędzy.

Harold Middleton - Felicja nie chciała zdrabniać jego imienia, skoro nie była (taką miała nadzieję) jego współpracowniczką - okazał się w pewnym sensie dobrym przyjacielem. Nieraz ratował jej życie, gdy została wplątana w śmiertelną grę zbrodniarzy i terrorystów, która miała doprowadzić do masakry w sali koncertowej Jamesa Madisona w Waszyngtonie, gdzie występowała jako solistka w premierze odnalezionego utworu Chopina.

W ciągu dwóch lat, jakie upłynęły od tamtych wydarzeń, oddał jej wiele przysług. Z ubogiej emigrantki z Polski, sieroty, która na początku nie знаła nikogo, stała się zawodową wiolinistką i powoli pięła się po szczeblach kariery

w orkiestrach, od czasu do czasu i tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne, korzystając z koneksji Harolda Middletona. Była mu wdzięczna. Miała równocześnie świadomość, że jego szlachetność po części bierze się z osobistego poczucia winy za to, że przez niego poznała mroczny świat przemocy, do którego właśnie powrócił - świat oddalony o lata świetlne od muzyki, którą naprawdę kochał.

- Posłucham, jak grasz - oświadczył stanowczo

Middleton.

- Oboje posłuchamy, Felicjo - dodała Leonora Tesla.

Middleton skrzywił się, nie mogąc sobie przypomnieć daty koncertu.

- Dziś - powiedziała z pochmurną miną. - O siódmej.

Wysłałam ci SMS. I e - maila...

- Przepraszam. Proszę, daj mi trochę czasu. Ostatnio

żyjemy... - wymienił spojrzenie ze swoją towarzyszką - ...w szalonym tempie.

Middleton podszedł do dużej szafy w salonie, ciężkiego, niezgrabnego mebla, jedyne, który nie pasował do pokoju i stał w cieniu, aby nie można go było zobaczyć przez wysokie podwójne okno wychodzące na ulicę. Domek stał na wąskiej georgiańskiej uliczce w cichym zakątku Bloomsbury, skąd pieszo można było dojść na West End i do sali koncertowej, gdzie Felicja miała się zjawić po południu na ostatnią próbę.

Była to spokojna jak wieś część centralnego Londynu, wolna od tłumów i turystów, emanująca dyskretnym bogactwem.

Gdy Middleton otworzył szafę, Felicja zobaczyła to, co znalazła przed dwoma dniami, myszkując po domu po przyjeździe z Nowego Jorku - czarną, metalową szafkę pancerną, zaopatrzoną w zamek szyfrowy z tarczą, jaki widywało się na staromodnych sejfach. Middleton ustawił kod, po czym pociągnął uchwyt drzwiczek. Felicja wstrzymała oddech, choć w gruncie rzeczy wiedziała, że nie powinna być zaskoczona. Wewnątrz znajdował się podręczny arsenał - równiutko ustawione pistolety, strzelby, pudełka amunicji i inne przedmioty, których nie rozpoznała.

Leonora Tesla odłożyła torbę, podeszła do niego i zaczęła przebierać w broni. Middleton przyniósł na łup dwie duże szare torby podróżne. Oboje wyglądali jak para w sklepie z wykwintnymi słodyczami, która nie potrafi się zdecydować, które czekoladki wybrać.

- A więc Ochotnicy wracają do gry - powiedziała Felicja.

- Prawo podaży i popytu, dziecko - odparła Tesla,

wyjmując z szafki paczkę jakichś metalowych kul. Może to były jakieś granaty. - Ciesz się, że działasz w przyjemniejszej branży.

Middleton i Tesla byli tak pochłonięci penetrowaniem arsenału, że Felicja bez żadnych skrupułów zajęła się

przeoglądaniem innych rzeczy.

Po chwili powiedziała:

- Cieszę się. Ale widzę, że mimo nawału pracy

znaleźliście chwilę, żeby kupić gustowną biżuterię. Nora, to dla ciebie?

Przerwali pakowanie broni do szarych toreb i odwrócili się, by popatrzeć. Felicja trzymała w białych, delikatnych palcach błyszczący przedmiot, który przyciągnął jej wzrok, gdy Leonora Tesla postawiła otwartą torbę na krześle przy stole. Spoczywał w przezroczystej plastikowej torebce na dowody z przywieszką opatrzoną symbolem NATO i

wczorajszą

datą

oraz

jakimś

francuskobrzmiącym

nazwiskiem. Felicji przyszło do głowy, że rzeczywiście musieli się spieszyć, skoro rzucili się na broń, zanim zdążyli dostarczyć coś prawdopodobnie bardzo ważnego.

- Wiesz, nie przypominam sobie, żebyś miała zwyczaj grzebać w cudzych rzeczach, kiedy się poznaliśmy - zauważył Middleton.

- Dorosłam, Haroldzie. Szybko. Chyba się nie dziwisz.

Pamiętasz? Dzięki towarzystwu, do jakiego mnie

wprowadziłeś. Co to jest?

Otworzyła torebkę, wyciągnęła lśniąca bransoletę i uważnie ją obejrzała. Następnie przyjrzała się dwóm pozostałym przedmiotom: kartce papieru i nowemu indyjskiemu paszportowi wystawionemu na nazwisko Kavi Balan. Zdjęcie przedstawiało Hindusa około trzydziestki, o niewinnym wyglądzie i nijakiej, może nieco naiwnej twarzy.

Felicja pomyślała, że ma wyłupiaste, niezwykle oczy.

Ciekawe, czy to zauważyli. Pewnie nie. Harold Middleton i Leonora Tesla, inteligentni i pracowici, ugrzęźli w organizacji, z której prawdopodobnie nie potrafili odejść. Ale drobne szczegóły często umykały ich uwagi. Nie mieli czasu ani ochoty zawracać sobie głowy niuansami.

- To nie twoja sprawa, tylko nasza - oznajmił Middleton.

- Przypuszczam, że ten człowiek już nie żyje -

powiedziała. Nie odezwali się. - Zwróciliście uwagę na jego oczy?

Felicja grała na zwłokę i oboje zdawali sobie z tego sprawę. Mówiąc do nich, czytała notatkę na kartce.

Rozpoznała elegancki, choć nieco niedbały charakter pisma Harolda Middletona.

Kaszmir. Poszukiwanie wody. Geologia. Miedź.

Bransoleta. Skorpion. Devras Sikari.

- To brzmi jak zagadka - zauważyła. - Uwielbiam

zagadki. Nie wiedziałam, że wy też...

- Nie cierpię zagadek.

- Co oznacza Skorpion?

- Wspomniał o nim Sikari w jednym ze swoich e - maili.

Wydaje mi się, że to jakiś człowiek, ale nie wiem, czy jest po stronie Sikariego, czy stanowi dla niego zagrożenie.

- Piękna jest ta bransoleta.

Wyglądała na miedzianą, choć miała jaśniejszą, bardziej złotą barwę niż większość ozdób tego rodzaju. W Polsce miedziane bransolety cieszyły się popularnością wśród starszych osób, które wierzyły, że chronią przed reumatyzmem i chorobami. Ale ta w niczym nie przypominała tandety sprzedawanej na ulicznych straganach w Warszawie.

Metal był miększy i jaśniejszy, jak gdyby bransoletę wykonano z jakiegoś delikatnego stopu, pokryty zielonymi plamkami,

misternie

ozdobiony

pełnym

zawijasów,

niezrozumiałym hinduskim pismem i najbardziej zagadkową ze wszystkiego owalną tarczą, przypominającą odznakę, która być może była powodem dumy właściciela bransolety.

- Co to oznacza? - spytała.

- Chciałbym wiedzieć - odparł. - Sądźmy, że pochodzi z Kaszmiru. Przepuszczalnie jest to bransoleta identyfikacyjna jakiegoś gangu, sekty czy organizacji. Symbole coś zapewne oznaczają. Coś związanego z Indiami. Albo Pakistanem. Od pół wieku walczą o Kaszmir. Muszę ją zabrać do laboratorium i przetłumaczyć tę inskrypcję. Felicja popatrzyła na napis i zmarszczyła brwi.

- Masz jakiś pomysł? - spytał ją.

- Ja? Skromna skrzypaczka z Polski? Co ja mogę wiedzieć? - Jeszcze raz spojrzała na miedzianą bransoletę. - Nie rozwiązujesz krzyżówek, prawda?

- Mówiłem. Nie cierpię zagadek.

- Dlatego, że myślisz logicznie, jednokierunkowo.

Krzyżówki przypominają Bacha. Albo jazz. Wymagają myślenia w kilku kierunkach jednocześnie. Wezwanie i reakcja, pytanie i odpowiedź, jedno i drugie w tym samym momencie.

Ponownie obejrzała bransoletę.

- Chodzi o to... że wszystkie potrzebne informacje macie tutaj. Przed nosem. Niczego nie brakuje. Trzeba je tylko powiązać ze sobą.

Middleton wyglądał na zainteresowanego. Zaintrygowało go nazwisko Bacha.

- Mój kłopot polega na tym, że ciągle myślę po polsku,

nie po angielsku - dodała. - Uwielbiam krzyżówki, ale w waszym języku są dla mnie za trudne. Kiedyś żałowałam, że zamiast czytać, nie można ich zobaczyć. Wiecie, o czym mówię? Chciałam, żeby istniały krzyżówki obrazkowe, bez słów. Wtedy język nie miałby takiego znaczenia.

Zapakowali już broń, którą chcieli zabrać. Byli gotowi do wyjścia. Middleton wyciągnął rękę i podała mu notatkę i fotografię nieżyjącego Hindusa o niezwykłych oczach. Włożył je z powrotem do torebki na dowody i wsunął do torby. Felicja nie oddawała mu miedzianej bransolety, czekając na pytanie.

- No więc gdyby obrazki na bransolecie były krzyżówką, co twoim zdaniem mogłyby oznaczać? - zapytał Middleton.

Leonora Tesla pokręciła głową.

- Damy ją fachowcom od kryminalistyki, Harry. Nie amatorce krzyżówek.

- Szkoda - odrzekła Felicja. Spojrzeli na nią.

- Bo...?

Wskazała księżyc na bransolecie.

- Wydaje mi się, że tu się kryje odpowiedź. Wezwanie.

Popatrzcie, jak ta część jest oddzielona od pozostałych dwóch elementów, które ją uzupełniają, jak gdyby odpowiadały na wszystkie pytania. Słoń. Popatrzcie, jak komicznie zadziera trąbę do nieba i tryska z niej jak z fontanny, tylko że strumień nie jest zbyt wysoki, prawda? Płyn szybko opada na ziemię,

jakby ważył więcej, niż powinien. To dla mnie oczywiste.

- Oczywiste? - powtórzył Middleton.

- Spójrz! To słoń. Największe zwierzę lądowe na naszej planecie. Co robi? Próbuje spryskać księżyc i nie udaje mu się. Dwa słowa. Może jestem stuknięta, ale pamiętajcie:

urodziłam się w roku katastrofy w Czarnobylu. Mieszkaliśmy niedaleko. Może pięćset kilometrów. W szkole przychodzili do nas co pół roku i pobierali nam krew, żeby sprawdzić, czy po wybuchu nie stało się nam nic złego.

Kłuli ich wszystkich tą samą tępą igłą i było to tak bolesne, że Felicja czytała zachłannie wszystko na temat wypadku, żeby zrozumieć, dlaczego tak cierpi.

Położyła palec na starannie wygrawerowanym zwierzęciu na bransolecie i powiedziała:

- Ciężka.

Następnie wskazała strumień płynu tryskający z trąby w kierunku nieba i szybko opadający na ziemię.

- Woda.

Felicja Kamińska nie mogła nie zauważyć, że gdy to powiedziała, Harold Middleton odrobinę pobladł.

- W Czarnobylu doszło do katastrofy, bo nie używano tam ciężkiej wody - powiedziała szybko. - Rosjanie korzystali z własnej, taniej i nieskutecznej metody chłodzenia reaktora, dlatego elektrownia wybuchła. Przepraszam. To pewnie tylko

moje urojenia... Nie mam pojęcia, co może oznaczać księżyc.

Przez chwilę milczeli. Middleton spojrzał na nią, a jego

łagodna twarz zmarszczyła się w wyrazie niepokoju.

- Będziesz tu ćwiczyć przez resztę dnia? - spytał.

- Ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć. Potem...

- Nigdzie nie wychodź. Zamówię ci taksówkę do

Wigmore Hall i pokój w hotelu. Spakuj się. Kiedy pojedziesz

na koncert, zostaw tu torbę. Zabierzemy ją później.

- Ale...

Nie czekając na odpowiedź, wymienili kilka zdawkowych

uprzejmości i wyszli. Felicja Kamińska patrzyła w ślad za

nimi, żalując, że nie mogą jeszcze trochę zostać. Nie знаła

nikogo w Londynie. Czowała się trochę samotna i znudzona.

- Ćwiczyć - syknęła. - Jeżeli zagram to jeszcze raz,

oszaleję.

Kiedy zamknęły się drzwi, wzięła kartkę i zapisała słowa,

które zapamiętała z notatki Harolda Middletona.

Eksperci kryminalistyczni będą brać pod lupę każde z

nich, próbując odnaleźć do nich klucz. Może - zmartwiła ją

niewielko mina Middletona, gdy podsunęła swoją interpretację

znaków na bransolecie - będą ustalać, co łączy „ciężką wodę”

z kwestią Indii, Pakistanu i Kaszmiru. Prawdopodobnie sporo,

choć nie miała szczególnej ochoty o tym myśleć. Nigdy do

końca nie otrząsnęła się ze skutków katastrofy w Czarnobylu,

które odczuła Europa Wschodnia.

Spojrzała na szafkowy zegar stojący przy kominku. Do wyjścia miała dwie godziny - trochę mniej, gdyby zgodnie z życzeniem Middletona miała się jeszcze spakować. Zostało jej sporo czasu. Mogła zrobić coś jeszcze, czego na pewno nie zaaprobowaliby Middleton i Tesla.

Felicja Kamińska podeszła do laptopa i otworzyła stronę Bicchu, nowej wyszukiwarki internetowej, na którą natknęła się zaledwie miesiąc temu. Szalenie ostatnio modnej w serwisach społecznościowych. Wyniki wyszukiwania były precyzyjne i na temat, jak gdyby ktoś czytał pytania, a przed udzieleniem odpowiedzi, brał pod uwagę kontekst i odpowiedni punkt widzenia. Użytkownik odnosił wrażenie, że ma do czynienia z żywą, inteligentną istotą, nie z głupią maszyną. Najlepsze było to, że Bicchu obiecywało zapłacić swoim użytkownikom za wpisywanie haseł i czytanie listy wyników. Tylko parę centów, ale zawsze coś. Mimo ogromnego prestiżu, jaki dawał występ w Wigmore Hall, Felicja, widząc saldo swojego konta, wciąż czuła się jak studentka muzyki. Minie jeszcze parę lat, zanim będzie się mogła doczekać należytych dochodów.

Felicja zerknęła na kartkę i wpisała zanotowane słowa.

Kaszmir.

Poszukiwanie

wody. Geologia. Miedź.

Bransoleta. Skorpion. Devras Sikari.

Dodała do tego własną frazę: ciężka woda.

I jeszcze jedną: miedziane obwódki oczu.

Odpowiedzi ukazały się po czasie dłuższym niż zwykle.

Upłynęło dobre dziesięć sekund. To pewnie wina

szerokopasmowego łącza w domu Middletona, pomyślała.

Siedział w restauracji niedaleko Piccadilly Circus,

przyklejony do iPhone'a, używając prywatnej aplikacji, która

w bezpiecznie i poufnie łączyła go za pośrednictwem sieci

komórkowej z terenową centralą. Nie miał pojęcia, gdzie to

jest. W Kaszmirze. W Paryżu. Dwa domy dalej w sercu

Londynu. Nieistotne. Czasy stałych baz, niebezpiecznych

kryjówek i fizycznych sieci, które łatwo było penetrować...

wszystko to należało do przeszłości. Ostatni raz osobiście

spotkał któregoś z towarzyszy trzynaście miesięcy temu. Tak

w każdym razie sądził. Rozkazy przychodziły w

szyfrowanych e - mailach wysyłanych pod jeden z kilku stale

zmieniających się adresów. Plany i dyspozycje przysyłano w

chronionych hasłem spakowanych plikach pdf, które należało

przeczytać, zapamiętać i skasować na zawsze. Tak wyglądał

teraz świat. Wszystko było wirtualne. Nie było nic

prawdziwego. Z wyjątkiem krwi i pieniędzy.

Właśnie oglądał początek wideo na YouTube - zwiastun

jakiegoś nowego hollywoodzkiego filmu - gdy telefon zaczął pulsować i błysnął ostrzegawczo. Odebranie danych trwało dwie sekundy. Po chwili na małym ekranie wyświetliła się seria słów poszukiwanych w sieci. Lista wyników stale się zawężała. Widząc zakres i skalę przeszukiwania, zrozumiał, dlaczego się z nim skontaktowali. W małym okienku w prawym górnym rogu pojawił się adres IP źródła. Znajdowało się w centrum Londynu, niedaleko British Museum. Wcisnął kilka klawiszy. Nastąpiła krótka pauza, po czym wszedł do folderu Moje Dokumenty w zdalnym komputerze. Był tu zapisany pokaźny zbiór korespondencji. Wszystkie listy zaszyfrowane. Szperał w zdalnym dysku, dopóki nie znalazł folderu, w którym edytor tekstu przechowywał szablony, niewidoczne i często zapomniane przez użytkowników. Rzeczywiście, kiedy otworzył ten katalog, znalazł plik o nazwie „list prywatny”. Był otwarty, niezaszyfrowany - zwykły plik tekstowy.

Kliknął ikonę i otworzył dokument na ekranie telefonu.

Przeciągając palcem po literach, skopiował adres do notatnika.

Następnie kliknął przycisk w prywatnej aplikacji z napisem „monitoruj wszystko”. Odtąd każda litera i cyfra wpisana na klawiaturze zdalnego komputera miała być logowana do pliku gdzieś w systemie Bicchu, a potem, zaszyfrowana od początku do końca, dyskretnie przesyłana do jego telefonu, gdzie

aplikacja automatycznie odkoduje tekst.

Skopiował nazwę ulicy i numer domu, po czym wkleił je do Google Maps. Znał mniej więcej tę okolicę. Miał stąd nie więcej niż dziesięć minut pieszo. Chowając iPhone'a do kieszeni, wrócił do kuchni. Była pełna znajomych zapachów: kminu, kurkumy, pieca tandoor i przypalonego kurczaka na ostro.

Zastępca szefa kuchni przyglądał mu się, jak gdyby przeczuwał, co się zdarzy. Drobnym mężczyzną z Bangladeszu patrzył ze złością na zamówienie służbowego lunchu na szesnaście osób, jakie przed półgodziną przypięto do tablicy.

- Dasz sobie radę - powiedział do niego, zdejmując fartuch i poplamioną czapkę kucharską. Ruszył do tylnego wyjścia, zatrzymując się po drodze tylko po to, by zabrać niewielki pistolet walther.

Bicchu był wyjątkowo rozmowny. Wkrótce zaczął sypać odpowiedziami tak szybko, że zaczęło się jej kręcić w głowie.

Pomyślała o strasznych latach po Czarnobylu, o bólu i niepewności. I o dwóch koleżankach ze szkoły, które straciła.

Umierały powoli, dzień po dniu, niemal na oczach wszystkich.

Ten świat należał do przeszłości - tak w każdym razie sądziła. Świat twardej, okrutnej nauki, służącej ludziom, których nie obchodziły konsekwencje ich poczynań. Mijały minuty, przechodząc w godzinę, a Felicja przyglądała się

coraz liczniejszym tropom, wskazówkom i linkom. Nowe informacje budziły w niej niechęć i zarazem zaciekawienie.

Wiedziała, że to ważne rzeczy. A jednocześnie zakazana, okropna wiedza.

Dokonawszy decydującego odkrycia, oderwała się od komputera, zaparzyła sobie zieloną herbatę i czując cień wyrzutów sumienia z powodu zaniedbania ćwiczeń, postanowiła posłuchać jednego ze swoich ulubionych wykonań utworu, który miała dziś zagrać. Polaka Henryka Szerynga, na słynnych skrzypcach „Le Duc” Guarneri del Gesu w nagraniu Deutsche Grammophon z 1968 roku; czternaście i pół minuty czystej rozkoszy.

Potem Felicja wróciła do laptopa, by spojrzeć na wyniki swoich poszukiwań. Było ich mnóstwo. Za dużo. Na ich widok wołała zająć myśli czymś innym, pragnąc spokoju i pewności, jakie dawała muzyka.

Zadzwoniła pod numer komórki Middletona. Nie odbierał.

Nie miała nawet okazji zostawić mu wiadomości.

- To nie jest twój prawdziwy numer, prawda, Haroldzie? - mruknęła do siebie, słuchając jednym uchem, jak Szeryng radzi sobie z muzyką z wyćwiczoną pewnością siebie, którą także miała nadzieję osiąść pewnego dnia.

Zastanawiał się, co się stanie w restauracji podczas jego nieobecności. Banglijczyk znał się na tym, co robił, ale był

powolny. Mimo wszystko chodziło o interes i troskę o klientów.

Później, pomyślał. Koniec Lamb's Conduit Street, za pubami i sklepami, był pusty. Wszyscy wyszli do pracy. To dobrze. Jedynym pojazdem w okolicy była duża czarna furgonetka o przyciemnianych oknach stojąca przy parkomacie. Na małym podwórku po drugiej stronie ulicy podskakiwały i tańczyły dzieci. Zerknął na furgonetkę i pokręcił głową. Londyńskie matki. Nigdy nie pozwoliłyby swoim najdroższym księżątkom przejść nawet pół mili.

Napisała o swoich odkryciach w e - mailu do Middletona, pamiętając o zaszyfrowaniu wiadomości i dodając podpis cyfrowy, ponieważ przekonał ją, żeby zawsze używała go w sieci. Od chwili, gdy e - mail opuści komputer, nie będzie go mógł odczytać nikt inny, a Middleton mógł być spokojny, że wiadomość naprawdę pochodzi od niej, a nie od oszusta, który wiedział, jak zmienić dane nagłówkowe.

„Fakt pierwszy - napisała i wzdrygnęła się, nie potrafiąc pozbyć się myśli o prawdziwej wadze swoich słów. - Zdjęcie nieżyjącego

Kawiego

Balana.

Nie

zauważyliście

charakterystycznego zielonobrazowego odcienia jego oczu.

Być może to normalne, ale może być objawem zatrucia miedzią, wywołanego bardzo intensywnym kontaktem z tym metalem. Sprawdźcie »pierścień Kaysera - Fleischera«, dowiedcie się więcej na ten temat. Przebarwienie powstaje z powodu nagromadzenia się osadów miedzi w oku".

Spojrzała w notatki, a potem zerknęła na zegarek. Sześć minut do końca Bacha. Potem trzeba serio zabrać się do ćwiczeń.

„Fakt drugi. Indie są największym na świecie producentem ciężkiej wody. To bardzo zasobochłonny proces. W zależności od metody, produkcja jednej tony ciężkiej wody, D20 (D to deuter, Haroldzie - sprawdź to) może pochłonąć do 340 000 ton zwykłej wody, H₂O. Może właśnie dlatego twoi

ludzie szukają nowych źródeł".

Herbata zdążyła już wystygnąć.

„Pamiętasz, co mówiłam ci o Czarnobylu i ciężkiej wodzie? Nie zawsze jest potrzebna. Ale jeżeli ktoś chce wyprodukować pluton do broni jądrowej, to wspaniały sposób pominięcia procesu wzbogacania uranu, wymagającego dużej infrastruktury technicznej, której nie można ukryć. Wprawdzie nie jest łatwo wytworzyć ciężką wodę, ale produkcja trochę przypomina destylowanie koniaku z wina. Różnica polega na tym, że w tradycyjnym procesie destylacji używa się systemu z fosfobrazu, a alkohol tradycyjnie wyrabia się w miedzianych alembikach".

Przeczytała napisane przed chwilą słowa i poczuła się dumna z siebie. A ściślej mówiąc z Bicchu, który udzielił odpowiedzi tak szybko i łatwo, że trudno w to było uwierzyć.

„Fakt trzeci. Jedenaście lat temu w Stanach Zjednoczonych zgłoszono wniosek o patent na nową technologię wytwarzania ciężkiej wody. Z tego, co udało mi się ustalić, nigdy nie zastosowano jej w produkcji przemysłowej, bo metoda nie jest jeszcze całkiem gotowa do wdrożenia na dużą skalę. Wniosek do urzędu patentowego złożyła amerykańska filia firmy indyjskiej, ale wszystko wskazuje, że to spółka »słup«. W każdym razie nie znalazłam

żadnych danych finansowych w Stanach ani Indiach".

Z bazy danych Amerykańskiego Urzędu Patentowego
ściągnęła za darmo cały wniosek i zapisała w oddzielnym
dokumencie.

„Na wniosku patentowym jest nazwisko Sikariego i kilku
innych osób. Zgodnie z projektem nowa technologia
zmniejsza o połowę ilość wody potrzebnej do wydestylowania
ciężkiej wody, znacznie skraca cały proces i umożliwia
minimalizację kosztów początkowych. Można powiedzieć, że
to coś w rodzaju domowego zestawu »zrób to sam« do
przygotowania surowca dla fabryki plutonu".

Najlepsze zawsze trzeba zostawić na koniec. Tak zrobił
nieżyjący już Henryk Szeryng, który w tle wydobywał
cudowne dźwięki ze swoich skrzypiec Guarneri.

„Głównym elementem patentu jest pierścieniowy fragment
instalacji rurowej. To dzięki niemu projekt jest wyjątkowy.
We wniosku nazwano go „miedzianą bransoletą". Tyle tylko,
że ma prawie dziesięć metrów średnicy".

Dokończyła zimną herbatę i zaczęła słuchać finałowej
części utworu.

Kiedy Felicja wysłała wiadomość, rozległ się dzwonek u
drzwi. Zakłęła pod nosem. Jednym z mniej atrakcyjnych
aspektów mieszkania na Lamb's Conduit Street była liczba
osób, które pukały do prywatnych domów, próbując

sprzedawać wszystko, od pirackich płyt DVD po chińskie

obrazy. Middleton miał przed domem niewielką tabliczkę:

DOMOKRAŹCOM DZIĘKUJEMY. Nie pomagała. Ponieważ

mieszkał w Anglii, nie miał zainstalowanej kamery przy

drzwiach. Na tak spokojnej, elitarnej ulicy ludzie mieli

zaufanie do siebie oraz solidne zamki i nowoczesne systemy

alarmowe.

Gdy Felicja szła z salonu na korytarz, dzwonek odezwał

się jeszcze raz.

- Niczego nie chcę - krzyknęła i z zaskoczeniem usłyszała

w swoim głosie nosowy ton, charakterystyczny dla wymowy

amerykańskiej. To pewnie zasługa dwóch lat spędzonych w

Nowym Jorku.

Odkręciła zamek i uchyliła drzwi. Stał za nimi krępy

mężczyzna o bliskowschodnich rysach twarzy. Wyglądał na

nie więcej niż trzydzieści lat, nosił koszulkę piłkarską Chelsea

i kurtkę, miał włosy modnie zaczesane do tyłu, a na ustach

głupawy, pełen samozadowolenia uśmiech, jakim niektórzy

młodzi londyńczycy lubią obdarzać płęć przeciwną.

- Niczego nie chcę - powtórzyła z westchnieniem.

Z dumną miną pokazał jej chyba nowiutkiego iPhone'a.

Na ekranie zobaczyła ostatnie akapity swojego e - maila do

Middletona, z wyświetlonymi dużą czarną czcionką słowami

„Tyle tylko, że ma prawie dziesięć metrów średnicy”. Felicja

Kamińska zaniemówiła z zaskoczenia.

- I tak dostaniesz - powiedział nieznajomy.

Cofnęła się, żeby zatrzaskać mu drzwi przed nosem.

Twarde drewno po drodze na coś trafiło. Usłyszała wrzask bólu, ale mężczyzna był już w środku i nie mogła go wyrzucić z domu. Cios sierpowy trafił ja w policzek. Straciła równowagę i zatoczyła się w stronę salonu, chwytając wewnętrzne drzwi i zatrzaskując je za sobą.

Dostał nimi mocno w twarz i znów wrzasnął. Usłyszała złość. ból. Jedno i drugie sprawiło jej satysfakcję.

Oparła się o kanapę, usiłując zebrać myśli i znaleźć coś, co mogłaby wykorzystać jako broń.

- Hej! - zawołał. - Trzymał ręce w górze i wyglądał na urażonego. Prawe oko, w które trafiły drzwi, było już fioletowe. - Chcemy tylko pogadać - ciągnął. - To wszystko.

- Kto chce pogadać? - spytała, szukając po omacku ręką za kanapą.

- Paru ważnych ludzi. Nie chcą zrobić ci żadnej krzywdy.

Tak mi powiedzieli. Chcą tylko, żebyś złożyła im wizytę.

- Istnieją bardziej uprzejme zaproszenia. Sięgnął ręką do kieszeni kurtki i wyciągnął pistolet.

- Istnieją też bardziej nieprzyjemne. „Żywy” to nie to samo co „bez żadnych obrażeń”. Wybieraj, dziewczynko. Tak czy inaczej pójdziesz ze mną.

Szeryng grał jej ukochany pasaż. Felicja Kamińska poczuła głęboką niechęć do nieznanego za to, że przeszkodził jej w słuchaniu.

Spojrzała mu w oczy i zapytała:

- Nie zrobią mi krzywdy? Obiecują?

- Obiecują.

Wciąż miał w lewej ręce iPhone'a. Zwróciła uwagę, jak go trzymał. Nie miała wątpliwości, że telefon jest dla niego niezwykle cenny.

Podniosła rękę i rozpuściła długie brązowe włosy, które związała, żeby ćwiczyć. Przyglądał się jej z uśmiechem.

- Czy to nie jest przypadkiem najnowsza wersja? -

spytała, wskazując aparat. - Z GPS - em albo czymś takim?

Wszyscy je uwielbiali. Czasem odnosiło się wrażenie, że nie ma dla nich nic droższego na świecie.

- Tak... - Uniósł telefon wyżej i wcisnął przycisk. Na

ekranie pojawił się wideoklip M.I.A. - Jest tu...

Miała na nogach botki z noskami kupione w sklepie

Gucciego niedaleko San Giovanni. Ostre jak igły szpice

wychodziły już z mody, ale podobały się Felicji. Zrobiła

zdecydowany krok naprzód, cofając nieco prawą nogę, by

wziąć zamach, po czym z całej siły wymierzyła mu kopniaka -

dokładnie tam, gdzie najbardziej bolało.

Wrzasnął. Dłoń trzymająca pistolet odskoczyła na bok.

Felicja chwyciła go za rękę i przegubem uderzyła w ostry kant szafy, która kryła arsenał Harolda Middletona. Broń ze stukiem wylądowała na podłodze. Intruz zdołał utrzymać iPhone'a, ale tylko do drugiego kopniaka. Potem rozciągnął się jak długi, wijąc się z bólu i rzucając jej wściekłe spojrzenia.

Jeżeli wstanie, już po mnie, pomyślała.

Jej dłoń zatrzymała się na pierwszym przedmiocie, jaki miała pod ręką. Gdy go dotknęła, poczuła, że zbiera się jej na płacz. To były cenne skrzypce Beli Szepessyego, które kupił jej Harold Middleton. Felicja Kamińska nigdy dotąd nie miała tak cudownego instrumentu.

Rąbnęła go w twarz twardym jak kamień podbródkiem z kompozytu. Dolna płyta skrzypiec natychmiast odpadła od pudła. Felicja wiedziała, że to już koniec. Złapała oburącz szyjkę i zaczęła jak młotkiem okładać głowę napastnika strzaskanym drewnem stuletniego instrumentu, dopóki znów nie osunął się na podłogę, patrząc na nią z bólem i przerażeniem w oczach. Jego nos zmienił się w krwawą miazgę.

W zasięgu jej ręki stała stara, duża i ciężka waza. Felicja puściła rozbite skrzypce, chwyciła wazę i cisnęła nią w jego głowę, trafiając prosto w skroń.

Uspokoił się.

Szybko i sprawnie wyciągnęła z futerału zapasowe struny,

przewróciła go na brzuch, przycisnęła mu kręgosłup kolanem i związała mu z tyłu ręce, a potem nogi.

Kiedy skończyła, zaczynał odzyskiwać przytomność. Nie mógł się jednak ruszyć. Felicja skrępowała go bardzo starannie. Na wszelki wypadek podniosła broń i zacisnęła ją mocno w ręce. Była okropna w dotyku.

Czując, jak zbiera jej się na płacz, spojrzała na żalosne resztki skrzypiec, potem na poturbowanego mężczyznę leżącego na podłodze i powiedziała:

- Nie jestem dziewczynką.

Słyszając jakiś hałas, uniosła wzrok. Drzwi wejściowe wciąż były otwarte. Zobaczyła to z salonu, zła na siebie za taką nieostrożność.

Do domu wchodził właśnie wysoki, tykowaty mężczyzna o wyjątkowo bladej cerze i paskudnej twarzy, na której malowały się równocześnie lęk i determinacja.

Felicja Kamińska chciała coś powiedzieć, ale w tym momencie się zablokowała. Pyszne wykonanie Szerynga partity Bacha dobiegało do ostatniej nuty, zachwycającego D zagrane na dwóch strunach, pustej i przyciśniętej z vibrato, które po chwili rozplynęło się w ciszy. Uwielbiała tę pewną rękę i od dawna marzyła o dniu, w którym uda się jej mu dorównać. Może dziś, w Wigmore Hall. Dziś...

Pierre Crane jednym ciosem wytrącił broń z dłoni

szczupłej młodej kobiety o przeciętnej urodzie, która stała jak słup soli nad wyraźnie przerażonym, leżącym na podłodze związanym mężczyzną o spuchniętej twarzy. Potrzebował sekundy, by pozbawić ją przytomności. Osunęła się bezwładnie obok niego. Crane omiótł wzrokiem pokój. W niewielkim domu prócz nich nie było nikogo więcej. Czuł to.

Crane szybko przeszukał dom - należący do Harolda Middletona, Amerykanina, przed którym ostrzegął go kierowca limuzyny pod Paryżem. Znalazł skrytkę z bronią i przejrzał spory plik dokumentów i notatek na biurku.

- Znalazłeś coś ciekawego, Pierre? - odezwał się za jego plecami kobiecy głos, tak spokojny i opanowany, że na jego dźwięk poczuł, jak krew krzepnie mu w żyłach. Ręka sama sięgnęła po broń ukrytą w kaburze pod kurtką.

Zanim zdążył jej dotknąć, coś wbiło się między jego łopatki.

- Nie bądź głupi - poradziła.

Odwrócił się i ujrzał kobietę, o której już wiedział, że ma na imię Jana. Trzymała czarny pistolet z długą lufą i długim tłumikiem. To była profesjonalna broń. Zmierzyła go uważnym spojrzeniem, podobnym do tego, jakie wymienili na tamtej pustej ulicy na przedmieściach Paryża.

- Znow się spotykamy, Pierre.

Crane zaśmiał się cicho, choć wzdrygnął się na

wspomnienie kul bębniących w szybę limuzyny.

- Znasz mnie?

- Jesteś dziennikarzem i zbierasz materiały. - Jana

wzruszyła ramionami. - W swojej branży robię to samo.

Crane domyślił się, że śledziła go, gdy jechał na spotkanie pod Paryżem z człowiekiem podającym się za Skorpiona.

- Gdzie Middleton? - zapytała.

- Nie wiem.

- A kobieta, która z nim pracuje? Tesla? Crane pokręcił głową.

- Nie znam jej.

Z oddali dobiegł ostry ryk policyjnej syreny, która zbliżała się do domu Middletona. Czyżby ktoś zgłosił zajście? Ktoś widział broń? Skrzywiła się, rozglądając się po mieszkaniu i dochodząc zapewne do wniosku, że nie ma czasu na dokładne przeszukanie.

- Wynieś dziewczynę - rozkazała Jana. - Przed domem stoi furgonetka. - Zawahała się. - Idź sam. Zaraz was dogonię.

- Nie boisz się, że ucieknę? Uśmiech.

- Nie.

- Dlaczego? - spytał, szukając okazji do ataku, ale postawa jej ciała i czujny, nieruchomy wzrok mówiły, że nie ma najmniejszych szans. Nie był też pewien, czy naprawdę tego chce; jakiś wewnętrzny głos - instynkt reportera czy

mężczyzny? - podpowiadał mu, żeby po prostu zgodzić się na wszystko.

- Bo zależy ci na prawdzie, zgadza się, Pierre?

Jana wyciągnęła rękę i wyjęła mu broń z kabury. Odsunęła się i patrzyła, jak Crane podnosi nieprzytomną dziewczynę i niosąc ją na rękach, wychodzi z domu.

Przy wyjściu stał mercedes van z przyciemnianymi szybami, a kierowca w czarnym uniformie i rękawiczkach odsunął mu tylne drzwi.

Gdy Crane z dziewczyną na rękach był przy samochodzie, usłyszał za sobą odgłos, który natychmiast rozpoznał. Głuchy huk broni w tłumikiem, po którym nastąpił krótki, pełen bólu krzyk, trwający nie dłużej niż sekundę.

ROZDZIAŁ 4

JIM FUSILLI

Po szarym poranku w Paryżu nastąpiło piękne, spokojne popołudnie. Przecięła plac Zgody i wchodząc na kamienistą ścieżkę przecinającą ogrody Pól Elizejskich, zrobiła przegląd dnia: wczesnoporanny jogging na alei George V, potem pont d'Alma na drugi brzeg Sekwany i z powrotem przez Pola Marsowe i pod wieżę Eiffla; prysznic w pokoju w hotelu Queen Elizabeth przy alei Pierre ler de Serbie; potem, ubrana w cienki brzoskwiowy sweter wycięty w serek, dzinsy i krótką, kremową skórzaną kurtkę, kupioną za małą fortunę w

przeliczeniu na dolary w sklepie na bulwarze Saint - Germain, spacer do hotelu George V za rogiem na owsiankę z brązowym cukrem i lekturę „Wall Street Journal” i „USA Today”. Później wróciła do Queen Elizabeth, usiadła na podłodze, opierając się o niepościelone łóżko, i zaczęła płakać.

Nie udało się.

„Jedź do Paryża - powiedział jej ojciec. - Potrzebna ci odrobina magii”.

„Nie, dzięki, Harry. Za dużo wspomnień” - odparła.

„Charley, może będziesz miała nowe wspomnienia - rzekł łagodnie, ujmując jej rękę. - Musisz być wśród żywych.

Naprawdę cię potrzebujemy...”.

Ale każde miejsce w Paryżu przypominało jej o stracie dziecka: o poronieniu wywołanym przez nie kogo innego, jak tylko jej nieżyjącego męża, uczestniczącego w spisku, w którego wyniku straciła życie także jej matka. Każdego dnia oglądała bezustanną powtórkę tego, co mogło się zdarzyć, ale czego nigdy nie będzie jej dane przeżyć. Nawet teraz, podczas spaceru ścieżką ocienioną koronami drzew, przez których liście przenikały promienie słońca, widziała małe dzieci, drepczące niezdarnie w pogoni za gołębiami i ich zadowolone matki, które przyglądały się im z uśmiechem. W tym momencie nie istniał dla niej nikt inny, ani dystyngowani

starsi mężczyźni w brązowych garniturach, którzy gawędzili ze sobą ze znajomością rzeczy, ani biznesmeni na Polach Elizejskich wracający do biur, ani turyści zmierzający w stronę obelisku na placu Zgody i ogrodów Tuileries. Widziała tylko pulchne, roześmiane dzieci i ich rozpromienione matki, przygnieciona ciężarem bezsilnej rozpacz i głębokiego poczucia straty. Wiedziała, że już nigdy nie odzyska równowagi i nigdy nie zaufa na tyle żadnemu mężczyźnie, żeby go pokochać. Gdyby mimo to zdecydowała się kiedyś na dziecko, obawiała się, że nie będzie mu mogła zapewnić poczucia bezpieczeństwa i zaszczepić optymizmu, jakiego dziecko potrzebuje do prawidłowego rozwoju. Odliczała dni, zastanawiając się, kiedy wewnętrzna pustka pochłonie ją do końca.

Tak więc jedyne, co pozostało Charlotte Middleton - wróciła do panińskiego nazwiska, kiedy się dowiedziała o roli męża w spisku, który miał na celu zamordowanie tysięcy ludzi w Waszyngtonie - była praca dla Ochotników. Ojciec powiedział jej, że jest mu potrzebna. Niewykluczone, że mówił prawdę.

„Harry, nie mogę - protestowała. - To niepotrzebne, bez sensu... Cholera, chciałabym ci to umieć wyjaśnić, żebyś zrozumiał”.

„Charley - odparł - gdy myślę, jak wyglądałoby moje

życie bez ciebie, świetnie rozumiem".

W budce przy Teatrze Marigny kupiła chrupką bagietkę z cienkim plasterkiem szynki, kawałkiem sera gruyere i słonym masłem oraz butelkę wody badoit, usiadła na ławce w słońcu, widząc w oddali plac Gwiazdy i Łuk Triumfalny i niesłabnący ani na chwilę ruch na brukowanej ulicy. Próbując odegnać smutne myśli, przypomniała sobie o pracy wykonywanej dla Ochotników. Przed oczyma stanęła jej Connie Carson i teksańska brawura, z jaką ta czupurna osóbką podchodziła do każdego zadania. Potem pomyślała o Wikim Changu i jego fascynacji wirtualnym światem Second Life. Uroczy dziesiętnastolatek, zwariowany na punkcie komputerów, jako awatar wybrał sobie czarnoskórego siłacza o fryzurze afro z lat siedemdziesiątych i rzeźbionej muskulaturze, której mógłby pozazdrościć każdy sportowiec.

„Spróbuj - zachęcał ją Wiki. - Każdy potrzebuje jakiegoś miejsca, w którym mógłby być kimś innym. - Zaraz zakłopotany ugryzł się w język. - To znaczy, nie mówię, że nie masz dobrego życia, Charley. Nie, chcę powiedzieć... w tej grze, Charley... możesz tam kogoś poznać. Jeżeli chcesz kogoś poznać, Charley... Cholera...".

Mniej więcej w tym samym czasie Leonora Tesla, którą podziwiała jeszcze bardziej, odkąd zrozumiała, co osiągnęli Ochotnicy, po pracy zaprosiła ją na drinka. Poszły do

latynoskiego baru w Dupont Circle, gdzie siedziały otoczone przez beztroskich singli, balansujących między młodością a obowiązkami. Tłoczyli się w szóstkę przy stoliku dla czterech osób. Ponad pulsującą muzyką toczyły się wesołe rozmowy o niczym.

„Charley! - krzyknęła Tesla. - Dam ci radę. Nie proś nikogo o radę. Słuchaj swojego serca, kiedy będzie ci chciało coś powiedzieć”.

Siedząc przy Polach Elizejskich, z głową pełną wspomnień odległych o tysiące kilometrów, Charley przyglądała się turystycznemu autokarowi z koreańskim napisem, który zatrzymał się piskiem hamulców, tamując ruch. Skrzywiła się na dźwięk klaksonu taksówki, po czym wróciła do swojej samotności.

W parku około trzydziestu metrów za plecami Charlotte

Middleton

siedział

zadowolony

z

siebie,

pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna, opalony i szpakowaty.

Jego nienagannie skrojony granatowy garnitur robił wrażenie

nawet w dzielnicy, gdzie mieściły się domy mody Saint

Laurenta, Diora, Chanel i Lacroix. Z wewnętrznej kieszeni

wyjął chustkę i starł warstewkę kurzu z butów Berluti. Kiedy ją chował, zaczął wibrować jego telefon komórkowy.

- Obserwuję córkę Middletona - powiedział. - Jestem w Paryżu. Zostaję z nią. - Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

Ian Barrett - Bone ochłonał już z szoku, jaki przeżył na podparyskiej drodze, gdzie o mały włos nie został zastrzelony.

Razem ze swoim pracodawcą przyzwyczaili się do wymuszania na ludziach różnych podłości za pomocą pieniędzy i grózb użycia przemocy - a także samej przemocy.

Część z nich burzyła się, przeklinała i przyrzekała wyrównać rachunki. Niewielu jednak dotrzymywało słowa.

Jana oczywiście była inna.

Motywami dla Barrett - Bone'a były pieniądze i dreszczyk emocji. Pracę za biurkiem uważał za najgorszą z tortur.

Ale Jana? Co nią powodowało?

Przypuszczał, że idealizm. Cóż za infantylna pobudka. I jaka niewygodna.

A jednak jej pojawienie się na drodze pod Paryżem ostro uzmysłowiło im niebezpieczeństwo, na jakie wszyscy się narażali.

Ilu jeszcze ludzi zginie - tylko z powodu miedzianej bransolety?

Przyglądał się, jak Charley wstaje z ławki. Pociągnęła

ostatni duży łyk gazowanej wody i wrzuciła zieloną plastikową butelkę do kosza, razem z piętą bagietki. Po chwili zmieniła zdanie, wyciągnęła resztkę kanapki, pokruszyła i poczęstowała okruchami gołębie.

- Bardziej po amerykańsku już nie można - mruknął pod nosem Barrett - Bone, spoglądając na tę atrakcyjną kobietę z pewnym niesmakiem.

Zerknął na zegarek Patek Philippe i ponownie ruszył za córką Middletona, pozostając w bezpiecznej odległości.

Przypuszczał, że nadal będzie się błąkać bez celu, nie spodziewając się zagrożenia, zupełnie bezbronna.

Felicja Kamińska, już przytomna, i Pierre Crane siedzieli obok siebie na kanapie z tyłu mercedesa vana. Mieli ręce skute plastikowymi kajdankami i związane nawzajem nogi.

Kierowca skrępował ich w ciągu paru sekund, podczas gdy Jana trzymała ich na muszce.

Rozległy się dwa krótkie sygnały telefonu komórkowego.

Jana odebrała. Mówiła w języku, który Crane rozpoznał jako hindi. Po chwili odwróciła się do więźniów.

- Właśnie się dowiedziałam - oznajmiła po angielsku z silnym akcentem - że nie jesteś Charlotte Middleton.

Felicja nie odpowiedziała.

- Kto to jest? - warknęła Jana do Crane'a.

- Nie mam pojęcia. Mogę ją zapytać, ale będę to musiał

zrobić po angielsku. Nie sądzę, żeby znała francuski.

- Ty, jak nazywasz? - zwróciła się Jana do dziewczyny

łamaną angielszczyzną.

- Felicja.

Jana spojrzała na Crane'a.

- Francuzka - powiedziała po angielsku.

- Polka - odparł po francusku. Zamierzał wspomnieć o jej

akcencie, ale wiedział, że Jana nie potrafiłaby go rozpoznać,

tak jak nie umiałyby dostrzec różnicy między Algierczykiem i

Marokańczykiem mówiącymi po francusku. - Może to jej

służąca.

- Służąca, która umie walczyć.

- Myślę, że się po prostu broniła. Udało się jej trafić go

skrzypcami. Złapałaś nie tę dziewczynę. - Crane zorientował

się, że jadą na południowy wschód. - Chyba nie jest całkiem

normalna - dodał. - Niepoczytalna. Wiesz...

Felicja wyglądała, jak gdyby starała się za wszelką cenę

na niego nie patrzeć, nie nadepnąć jego stopy.

Jana miała pistolet Crane'a na kolanach.

- Wypuść ją - poradził dziennikarz. Kierowca zerknął na

Janę.

- Wypuść ją, a ja ci pomogę. - Crane'owi zależało na

artykule. Zależało mu na Janie. Nie miał nic przeciwko

dziewczynie.

- Jak? Jak mi możesz pomóc?

- Szukam Skorpiona. Ty też. Wiem o nim co nieco.

Widziałem twoją minę, kiedy zobaczyłaś tych ludzi w limuzynie. Byłaś rozczarowana, że żaden z nich nie jest Skorpionem.

- Daj mi jakiś fakt. Coś, co się przyda. - I puścisz dziewczynę?

Jana utkwiała w nim wzrok.

- Może zabiję ciebie i ją - odparła.

- A może ci pomogę i nikt nie zginie.

- Zapłać za jedno życie. Swoje albo jej. Daj mi fakt.

Crane zastanowił się przez chwilę. Jak mógł zdradzić jej coś cennego, nie odkrywając jednocześnie zbyt wielu kart?

- Jest pewien dubajski trop.

- Dubajski? Jaki?

- Na razie mogę powiedzieć tylko tyle. Dla własnego bezpieczeństwa.

Po namyśle Jana odwróciła się do kierowcy i powiedziała po arabsku:

- Wyrzuć ją przy 02. On zostaje.

Middleton stał obok samochodu od strony drzwi kierowcy, ze smętnie spuszczoną głową. Pod londyńskim adresem, który Jean - Marc Lespasse znalazł w komputerze Kavięgo Balana, znajdował się meczet, tuż na południe od Tufnell Park,

tętniącej życiem dzielnicy północnego Londynu, zamieszkaanej przez setki muzułmanów i znacznie mniej hindusów. Meczet miał zszarganą reputację, a nowy, umiarkowany zarząd nie bardzo potrafił ją naprawić: poprzedni imam, zanim został skazany za morderstwo i szerzenie nienawiści rasowej, poparł dżihad, którego główna forma miała polegać na samobójczych zamachach bombowych - nikt nie miał wątpliwości, że duchowny był zamieszany w ataki z siódmego lipca.

Wspierając akcje zbrojne Al - Kaidy, meczet organizował szkolenia bojowe i służył jako giełda niewykrywalnego sprzętu telekomunikacyjnego.

- To podstęp - powiedział. - Żart.

- Niekoniecznie - odparła Tesla, stojąca po drugiej stronie samochodu. - Może ktoś tam... - ruchem głowy wskazała meczet i niski ceglany budynek przy ulicy - wie o jakimś planowanym ataku na meczet i to wcale nie jest fałszywy trop.

- Ale infiltracja tego środowiska potrwałaby parę tygodni.

Nie mamy czasu. Za dużo się dzieje.

Tesla szarpnęła klamkę, ale samochód był zamknięty.

- Masz rację. Trzeba opracować strategię. Middleton pogrzebał w kieszeni i rzucił jej kluczyki.

- Weź wóz - powiedział. Pokazał w stronę stacji metra

Tufnell Park. - Pojadę do Wigmore Hall zobaczyć Felicję.

Gdzie ja miałem głowę, żeby zapomnieć o jej koncercie?

Gdybyś chciała, zostaw broń i dokończ mnie. Pogadamy z

Connie i Jean - Markiem, kiedy się już zorientują w sytuacji w Tampa.

Middleton wyszedł z metra na Oxford Circus. Podróż trwała zaskakująco krótko, mimo że przesiadał się na Euston.

Przypuszczał, że jeśli samochody poruszają się w takim tempie jak zwykle, Nora wciąż jedzie autostradą 503.

Instynktownie sprawdził najpierw ogólnodostępny telefon.

Miał jedną wiadomość od Felicji, w której prawdopodobnie robiła mu wyrzuty za to, że nie pamiętał o jej występie albo że nie interesowały go krzyżówki, kryptogramy i tym podobne łamigłówki. Gdy spojrział na szyfrowaną komórkę, przekonał się, że nie ma żadnych wiadomości - ani z NATO, ani od

Francuzów, ani z Interpolu, ani z MTK na temat operacji na Cap d'Antibes; nie odezwali się też do niego Charley, Nora,

Jean - Marc, Connie ani Wiki. Przecinając park na Cavendish

Square, pomyślał przez chwilę o Wetherbym, bystrym

oficerze NATO, który oddał życie, by zapobiec kolejnej

bestialskiej egzekucji niewinnych ludzi. Aby nie dać się

pokonać bólowi, Middleton nauczył się szybko zajmować

myśli bieżącym zadaniem: wiedział, że najlepiej uczci pamięć

takich jak młody Wetherby, wykonując je jak najlepiej. Sikari

i ciężka woda. Devas Sikari zainteresował się ciężką wodą.

Co to mogło oznaczać? Middleton wyszedł z parku i czekając,

aż ulicą przejadą czarne taksówki, zobaczył ludzi stłoczonych pod daszkiem ze szkła i kutego żelaza przed salą koncertową.

Pewnie widzowie z biletami czekający na wejście. Sam też nie

zamierzał się spóźnić: podobały mu się alabastrowo -

marmurowe ściany sali i malowidło na kopule nad sceną,

które przedstawiało Ducha Muzyki wpatzonego w ognistą

kulę symbolizującą Geniusza Harmonii. Scena w Wigmore

była ołtarzem, a muzyka ofiarą składaną Niebiosom.

Middleton uważał muzykę za ogniwo łączące ludzkość z

bogami. Odnajdywał w niej wytchnienie, azyl, w którym mógł

zapomnieć o przykrej, banalnej prawdzie świata, gdzie

królowały nienawiść i cierpienie, które towarzyszyły mu

podczas ścigania osobników w rodzaju Devrasa Sikanego.

Podobnego uczucia przyjemności i transcendentalnego

zadowolenia, jakie dawała mu ukochana muzyka, doznał

tylko, przyglądając się rozkwitającej Charley.

- Coś się stało? - spytał najbliższą osobę z tłumu widzów,

kobietę

w

średnim

wieku,

ubraną

w

płaszcz

przeciwdeszczowy.

- Jeszcze nie otwierają - odrzekła. - Ale nie powiedzieli
dlaczego.

Middleton podziękował jej i skierował się do wejścia dla
wykonawców, znajdującego się za rogiem na Wimpole Street.

Nigdy nie uważał Felicji za zbyt wymagającą czy
rozkapryszoną artystkę, więc przypuszczał, że to problem
organizatorów koncertu. Może zachorował pianista.

Rozległa się staroświecka melodia kuranta - dzwonek
szyfrowanego telefonu. Drugi aparat sygnalizował połączenie
fragmentem utworu Chopina.

- Harry - odezwała się w słuchawce Tesla.

- Cześć, Nora.

- Harry, lepiej jedź do domu.

Jean - Marc Lespasse dogonił Connie Carson w hali
lotniska Tampa International. Uśmiechnął się, widząc, jak
odprawia - z uroczym uśmiechem - jednego z facetów, którzy
umizgiwali się do niej podczas lotu z Nicei przez Paryż. Ze
swojego miejsca kilka rzędów za nią Lespasse przyglądał się,
jak kolejni pasażerowie płci męskiej znajdowali pretekst, by
do niej podejść. Connie nie była jedyną atrakcyjną kobietą w
samolocie, ale emanowała prostoduszną i radosną pewnością
siebie, która przyciągała mężczyzn jak miód muchy. W
typowym dla siebie stylu spławiała każdego z takim

wdziękiem, iż nawet się nie orientowali, że dostali kosza.

- Jesteś! - krzyknęła wesoło na widok Lespasse'a.

Ostatni facet szybko zrejterował, a Carson dźwignęła

wypchaną skórzaną torbę i zarzuciła ją na ramię. Następnie

wzięła Lespasse'a pod rękę i ruszyli do wyjścia, wyglądając

jak szczęśliwa para.

- Sprawdziłeś palmtopa? - zapytała.

- A więc to ja jestem tym szczęściarzem...

- Nie zaczynaj, Jean - Marc. Przez tych chłopaków

miałam ochotę poszukać spadochronu. - Puściła jego ramię.

- Dostałaś od Wikiego tę samą wiadomość? Skinęła

głową.

- Gruba rzecz.

- Pójdę skorzystać z komputera w salonie dla pierwszej

klasy - powiedział.

- A ja wynajmę samochód. Daj mi torbę. - Connie...

- Daj mi tę cholerną torbę.

Lespasse widział kiedyś, jak Carson przefasonowała

człowiekowi nos błyskawicznym ciosem, i byłby gotów

przysiąc, że w ogóle przy tym nie uniosła ręki.

- Tak jest - odrzekł.

Spotkali się pół godziny później. Carson stała oparta o

maskę toyoty prius przy znaku zakazu zatrzymywania.

- Dokąd? - spytała, otwierając mu drzwi po stronie

pasażera.

Gdy Carson wskoczyła za kierownicę, Lespasse odczytał z notatek:

- Jedź na wschód międzystanową dwieście siedemdziesiąt pięć. Ruszając, parsknęła śmiechem.

- Cudny jesteś. „Na wschód międzystanową dwieście siedemdziesiąt pięć”. To takie śmiertelnie oficjalne.

- „Międzystanówka siedemdziesiąt pięć” brzmi lepiej?

- Wystarczy dwa siedem pięć. Jak długo mieszkasz w Ameryce, Jean - Marc?

- Prawie dziesięć lat. - Gdy wyjechali z lotniska na słońce, nasunął na nos ciemne okulary. W Tampa było jak w Nicei.

- Dziesięć lat i dalej sadzisz takie „międzystanowe”?

- Chyba jestem zmęczony. I trochę mam pietra.

- Ja też - powiedziała. - Przyjechałeś tu pracować z pułkownikiem?

- Pracowałem z nim wcześniej. Ale tak, przyjechałem do Ameryki z powodu Harolda Middletona.

- Powinieneś zostać we Francji.

- Moja żona wolała Karolinę Północną.

- Żona? Jean - Marc, nie wiedziałam, że jesteś żonaty. -

Spojrzała na serdeczny palec jego lewej ręki. Nie zauważyła obrączki.

- Pracowaliśmy razem w Technologie de Demain...

- W twojej firmie.

- Zaczynała jako analityk systemów - ale zapewniam cię, że nie dlatego zwróciłem na nią uwagę. Ale Johanna była bardzo inteligentna, bardzo skrupulatna. Niebawem stała się dla mnie nieocenioną pomocą. I oczywiście zakochałem się.

- Ona też - jeżeli się nie mylę.

- Miałem szczęście...

Carson spojrzała w prawo i skręciła na autostradę.

- Pierwszy zjazd - powiedział Lespasse. - Przed międzys... przed czwórką.

Toyota miękko sunęła po pochyłości wjazdu.

- Jean - Marc, widzę, że nie nosisz obrączki...

Rozpiął górne guziki koszuli i wyciągnął łańcuszek, który nosił na szyi. Wisiała na nim złota obrączka.

- Jean - Marc...

- Zginęła. Jedenastego września, w Pentagonie. Na dziesiątą rano zaplanowano prezentację nowej oferty. Johanna jak zwykle przyszła wcześniej. Oczywiście nie mieliśmy szans na ten kontrakt, ale to była cała ona. Łatwo się nie poddawała.

Amerykanka pełną gębą. Tak jak ty, Connie.

Carson zobaczyła melancholijny uśmiech na jego twarzy.

- Jean - Marc, tak mi przykro.

- Mnie też. Dziękuję. - Lespasse spojrzał przez przednią szybę. - Jest zjazd.

Carson włączyła kierunkowskaz.

- Jak spod sztancy - powiedziała, gdy zbliżali się do
długiego, jednopiętrowego budynku, stojącego w narożniku
terenu przemysłowego tuż przed Zatoką McKay. - Stal i szkło.

Wylewają fundament, a potem zrzucają z nieba identyczne
klocki.

- Owszem, ale ten ma palmy - odparł Lespasse.

Przed wejściem stały pudła z przesyłkami FedEx, DHL i
UPS oraz blaszany pojemnik z nalepką „Doolittle
Diagnostics" oraz ostrzeżeniem, że zawiera produkty
krwiopochodne. Przez żaluzje w oknach na parterze widać
było pusty bufet, automaty i stoliki, na których leżały
rozrzucone gazety.

Carson i Lespasse weszli do holu i spojrzeli na tablicę
informacyjną z białymi plastikowymi literami.

- Sindhu Power & Electric - przeczytał. - Dwadzieścia
sześć, południowe skrzydło. Czyli jeszcze tu są.

- Chyba że nikomu nie chciało się zmieniać napisu.

- Można przypuszczać, że Sikari tu bywał. Może wrócił.

- Jasne. Ale nie sądzę, żebyśmy go zastali za biurkiem.

- Nie. - Lespasse studiował tablicę. - Ale zobaczmy, co tu
jeszcze znajdziemy.

Podeszli do recepcjonistki, młodej kobiety o brązowej
skórze, która pod półokrągłym blatem chowała podręcznik z

college'u. Powitała ich serdecznym uśmiechem i kilkoma słowami, zdradzającymi kubański akcent.

- Jesteśmy z żoną umówieni z doktorem Faradayem -
oznajmił Lespasse.

Carson skinęła głową.

- Znamy drogę.

Recepcjonistka zawahała się przez moment.

- Proszę - powiedziała wreszcie.

Gdy skręcili w długi korytarz wyłożony wykładziną,

Carson spytała:

- Doktor Faraday?

- Ma gabinet w osiemnastce we wschodnim skrzydle. -

Aha.

Wszystkie drzwi były zamknięte, tłumiąc wszelkie odgłosy dobiegające z biur. Na końcu korytarza, w mniejszej recepcji siedziały dwie kobiety wpatrzone w ekran laptopa.

Lespasse skręcił za Carson w boczną odnogę i po chwili minęli gabinet doktora Faradaya.

Biuro numer dwadzieścia sześć znajdowało się na końcu korytarza, a Carson zorientowała się, że jego okna wychodzą na parking zastawiony samochodami, które lśniły w popołudniowym słońcu.

- Jak to rozegramy? - zapytała.

Lespasse poszperał w portfelu i wyciągnął wizytówkę

Technologie de Demain.

- Oferta handlowa - wyjaśnił. - Zapytam o szefa obsługi informatycznej.

- Myślisz, że mają tu personel? Biuro jest chyba największe w całym skrzydle, ale przecież ta firma to słup.

- Wniosek do urzędu patentowego można pewnie wysłać ze skrytki pocztowej. Po co mieliby się wykosztować na biuro, skoro nie chcieliby z niego korzystać?

Carson sięgnęła do klamki.

- Gotowy? Uniósł palec.

- Wybacz, ale będę mówił z silnym akcentem. Może to wytłumaczy, dlaczego jestem taki... wymięty.

Uśmiechnęła się.

- Przynajmniej masz eleganckie spodnie. Ja tylko dżinsy i T - shirt.

- Owszem, ale T - shirt masz w tym samym kolorze co buty, poza tym nikt nie potrafi nosić dżinsów tak jak ty, Connie. Pewnie setka facetów z samolotu byłaby gotowa to przysiąc. - Nie wspomniał o makijażu, jaki zrobiła na lotnisku, ani kilku poprawkach szminką, zanim wysiedli z samochodu.

- Na wszelki wypadek będę do ciebie mówiła „szefie”.

- Tres hien - odparł Lespasse.

Carson otworzyła drzwi, a Lespasse wszedł do środka.

Biuro było puste.

Z rozsuniętych paneli na suficie zwisały przewody, a na podłodze stało kilka telefonów. Mogło się tu zmieścić dziesięć biurek, lecz nie było ani jednego. Klimatyzator nie działał.

Gdy Carson minęła go i przestąpiła próg, Lespasse włączył górne światła. Zamrugały i po chwili rozbłyły.

- Ktoś zapłacił rachunek - rzekł Lespasse.

Carson weszła do oddzielnego od biura gabinetu. Także był pusty, brudna wykładzina cuchnęła stęchlizną, opróżniona szafka stała otwarta na oścież.

- No i masz Sindhu Power & Electric...

Po drugiej stronie pomieszczenia stała druga szafka, w jakiej zwykle przechowuje się przybory biurowe, stare dokumenty w kartonowych pudłach albo płaszcze i rzeczy osobiste pracowników. Ktoś zaczął ją sprzątać - prawdopodobnie przygotowując biuro dla nowego najemcy.

Carson i Lespasse wspólnie przeszukali szafkę, lecz nie znaleźli nic, co mogłoby pomóc wyjaśnić zagadkę - z wyjątkiem niewypełnionej nalepki międzynarodowej firmy przewozowej, o której nigdy nie słyszeli. Carson znalazła jeszcze wyrzuconą karteczkę samoprzylepną z notatką „G. 14.00 - zadzwonić do Moskwy”. Zapisała tę informację.

- To wszystko - westchnęła. - Jak ktoś robi demolkę, zwykle coś po sobie zostawia.

Rozejrzała się. Żaluzje były spuszczone, ale w świetle

górnym lamp zobaczyła okrywający wszystko kurz - na parapetach pod oknami, na telefonach na podłodze. Wszystkie drzwi w biurze były szeroko otwarte. Z wyjątkiem drzwi do jeszcze jednej szafki.

- Może jednak coś zostawili - powiedział Lespasse, podchodząc do niej. - Zobaczmy, co...

Gdy Lespasse pociągnął za drzwiczki, szafka eksplodowała, wstrząsając całym budynkiem. Bluznął na niego ogień, a siła podmuchu cisnęła go na drugą stronę pomieszczenia. Trzasnęły szyby w oknach i na parking posypały się odłamki szkła i murów.

Carson ocknęła się pod strumieniami wody lejącymi się z tryskaczy na suficie. Choć dzwoniło jej w uszach, usłyszała zbliżające się syreny. Poczowała w ustach smak krwi. Próbowwała wstać i poszukać Lespasse'a, ale nie mogła. Znow straciła przytomność, osuwając się na wilgotną wykładzinę.

ROZDZIAŁ 5

JOHN GILSTRAP

Felicja usiłowała opanować łomot serca i powstrzymać gonitwę myśli. Nie rozumiała, co mówią jej porywacze, lecz bez trudu czytała ich język ciała. Wyraźnie się złościли, ale ich wzburzenie wydawało się nieproporcjonalne do powodu, dla którego postanowili wsadzić ją do furgonetki. Gdy kobieta terkotała przez telefon w języku, który brzmiał jak jakiś

arabski dialekt, z powodu niezrozumiałych słów Felicja dwa razy wyłowiła imię „Charlotte”, wymawiane z coraz większym gniewem.

Kawałki układanki szybko wskoczyły na właściwe miejsce. Wzięli ją za Charlotte Middleton. Nic dziwnego.

Przecież zastali ją w domu Harolda, była w podobnym wieku, więc doszli do wniosku, że jest jego córką.

O Boże, mój Bela Szepessy, jęknęła w duchu. Dlaczego spośród wszystkich przedmiotów, które miała pod ręką i których mogła użyć do obrony, musiała wybrać akurat tak cenną i drogą swemu sercu rzecz?

Kiedy uzbrojona baba odłożyła telefon, wdała się w gwałtowną wymianę zdań z mężczyzną, którego porwano razem z nią. Słuchając ich, Felicja miała zamęt w głowie. Wyczuła, że panuje między nimi jakiś układ, jak gdyby ci dwoje już kiedyś ze sobą współpracowali. Dlaczego więc przykuli ją do niego i dlaczego mężczyzna rozmawia z nią tonem, w którym brzmiała serdeczność, a jednocześnie nuta strachu? W trakcie rozmowy każde z nich co chwilę spoglądało w prawo. Nie miała wątpliwości, że to ona jest przyczyną ich rozczarowania.

Felicja wiedziała, że jest w opałach, gdy kobieta zwróciła się bezpośrednio do kierowcy. Wykonała gwałtowny ruch głową, w którym było coś lekceważącego i zdecydowanego.

Chwilę później kierowca zmienił pas ruchu i skierował się na zjazd z drogi. Zamierzali się jej pozbyć.

Chcieli ją zabić. Po tym, co się stało, w tym momencie nie mieli pewnie innego wyjścia. Jeśli nie była im do niczego potrzebna - a na pewno nie była - szaleństwem z ich strony byłoby darować jej życie. Pozostawała jedynie kwestia, kiedy i jak ją zabiją.

Czując, jak serce wciąż tłucze się jej o żebra, rozważała, jaki ma wybór. Zaskoczyła ją jasność własnych myśli, gdy doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy nie ma żadnego wyboru.

Carson powoli odzyskiwała kontakt z otoczeniem.

Najpierw przez ciemność przedarło się światło i ból, choć znacznie więcej pierwszego niż drugiego. Wygrzebując się z czarnych czeluści studni i wracając do przytomności, miała absurdalną myśl, że tkwi w kadzi czerwonej galarety. Jedną z przyczyn tego złudzenia był czerwony odcień światła, czuła się jednak, jak gdyby taka sama lepka maź wypełniała jej głowę. Dobiegały do niej tylko przytłumione dźwięki i miała wrażenie, jakby ktoś zapchał jej zatoki watą.

Blżej wylotu studni światło stawało się jaśniejsze, a przez otaczający ją monotony szum zaczęły przebijać głosy.

- ...w każdej chwili. Oczywiście nie ma pewności, ale nie sądzę...

- Muszę z nią jak najszybciej porozmawiać.

Z kim? Z kim musiał rozmawiać? Dlaczego to takie pilne i

dlatego osoba A powstrzymywała przed tym osobę B?

Wraz z głosami do jej świadomości dotarł ból, równie

ostry i przenikliwy jak światło, i tak samo jak przed

czerwonym blaskiem nie było przed nim ucieczki.

Promieniował od nasady szyi przez prawą rękę aż po końce

palców i do wewnątrz, w kierunku pępka. Przy takim bólu

człowiek powinien coś wiedzieć o jego źródle. Może właśnie

o tym chciał rozmawiać pierwszy głos z drugą osobą.

Mogłaby im powiedzieć, dlaczego się czuje, jakby wytarzała

się w żyletkach, a następnie wykapała w alkoholu.

Okropna wizja, ale było w niej coś zabawnego. Żyłki i

alkohol. Można jeszcze dorzucić trochę ognia.

Ognia...

Wybuchł pożar!

Jean - Marc. Trzeba go ostrzec. Jest w niebezpieczeństwie.

Otworzyła usta, by krzyknąć, ale głos utonął w studni. Chciała

wrzasnąć ile sił w płucach, zdołała jednak wydobyć z siebie

tylko słaby jęk. Uwóżaj! - zawołała. Ale była niema.

- Poruszyła się - powiedział jakiś głos. - Budzi się. Tak!

Powiedzcie jej o Jean - Marku. Trzeba go ostrzec!

- Connie? Tak! Tu jestem!

- Connie, słyszysz mnie?

Światło stało się jeszcze jaśniejsze, tracąc nieco czerwieni.

Pomocy! Tu jestem! Podnieście mnie! Jean - Marc jest...

- Ciągłe nieprzytomna, doktorze? - zapytał drugi głos. Nie tak przyjazny jak pierwszy. W ogóle nie brzmiał przyjaźnie.

- Odzyskuje przytomność - odparł pierwszy głos. - Hej,

Connie, musisz się obudzić.

Obudzić. Z czego?

Wybuch.

Jezu, Jean - Marka rzuciło na...

Wróciła do świadomości, robiąc gwałtowny wdech.

Drgnęła z wysiłku i ten drobny ruch dolał alkoholu do żyłek.

Światło zmieniło barwę na białe i oblewając białe wnętrze, poraziło jej oczy oślepiającą bielą.

Pojawiła się nad nią twarz jakiegoś człowieka, a jego sylwetka na szczęście rzuciła na nią cień.

- Cześć, Connie - odezwał się po angielsku, ale z silnym akcentem, który brzmiał znajomo, choć nie potrafiła go rozpoznać. Chyba hinduskim. Albo pakistańskim. Do diabła, gdzie była?

- Jean - Marc - powiedziała. Miała wrażenie, że mówi normalnym głosem, może nieco głuchym, ale z pochylecia głowy nieznanego odgadła, że się myli. - Ratujcie Jean - Marka! - nalegała. Próbowwała usiąść, ale to się okazało niemożliwe, bo w tym momencie rany znów zapiekły ją

żywym ogniem.

- Connie, nic ci nie grozi. Znajdujesz się w szpitalu.

Jestem doktor Ahmed. Miałaś wypadek.

Przez myśl przemknęły jej fragmenty tysiąca wypadków.

Jak się dostała do Indii czy Pakistanu?

- Gdzie jestem?

- W szpitalu ogólnym w Tampa. Przywieziono cię

helikopterem.

- W Tampa - powtórzyła z namysłem. - Tampa na

Florydzie. - Powoli sobie przypominała. Puste biuro. Kurz.

Szafka.

- Jean - Markowi nic się nie stało? - zapytała.

Ale w miarę jak odzyskiwała jasność umysłu, zaczynała

pojmować prawdę tamtej strasznej chwili. Nie mógł przeżyć

takiej eksplozji.

- Pani Carson - odezwał się inny mężczyzna, stojący z

lewej. To był ten drugi, który sprawiał mało przyjazne

wrażenie, kiedy wydobywała się ze studni z galaretą. - Jestem

detektyw Langer z departamentu policji w Tampa. Musi pani

odpowiedzieć na kilka moich pytań.

Poruszyła się, żeby go zobaczyć, lecz kolejny raz

powstrzymał ją rwący ból.

- Co się stało?

- Doszło do wybuchu - wyjaśnił Langer.

- Nie pana pytam - warknęła Carson. - Wiem, że doszło do wybuchu. Byłam przy tym. Pytam, co się stało ze mną.

Dlaczego tak mnie boli?

- Złamałaś prawą rękę - poinformował ją lekarz. - W trzech miejscach. I doznałaś poparzeń.

Lęk ścisnął jej żołądek.

- Poważnych? - spytała.

Tego rodzaju obrażeń bała się bardziej niż innych.

Oznaczały ból. I oszpeccenie.

- Będzie potrzebna operacja.

- Ale najpierw muszę z panią porozmawiać - wtrącił

Langer. - W wypadku takiej bomby każda informacja jest na wagę złota.

- Możesz odmówić, jeżeli nie czujesz się na siłach - powiedział lekarz.

- Prawdę mówiąc, nie może pani - sprostował Langer. -

Chyba że chce pani zostać oskarżona o utrudnianie dochodzenia. Albo oboje zostaniecie oskarżeni.

Policja na całym świecie rekrutuje swoich funkcjonariuszy spośród przedstawicieli tego samego gatunku.

- Może więc zechce mi się pan pokazać? - zasugerowała mu.

Langer okazał się sobowtórem Kena, narzeczonego

Barbie. Metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, gęste blond włosy,

płócienne spodnie i niebieska koszulka polo, jak gdyby jej

nieszczęście ściągnęło go prosto z pola golfowego.

- Proszę mi opowiedzieć, co się stało - powiedział detektyw.

Trwającą dwie minuty relację Carson zakończyła wnioskiem:

- Jean - Marc nie żyje, prawda?

Langer skinął głową. W jego oczach malował się żal, ale wyczuwała, że udawany.

- Niestety, tak. Nie powiedziała mi pani, dlaczego się tam znaleźliście.

- Wiem - odparła Carson. - To dłuższa historia.

- Mam czas.

- Ja chyba nie. - Zerknęła na lekarza, który zrozumiał to jako sygnał, by przystąpić do zabiegu.

Langer uniósł dłoń, powstrzymując doktora.

- Proszę mnie nie doprowadzać do ostateczności, pani Carson. Jest pani jedyną żywą osobą znaną na miejscu zamachu bombowego. Pozostaje pani w kręgu podejrzenia.

- Daleko nie ucieknę.

- Ma rację - wtrącił doktor Ahmed. - Teraz czy za dwadzieścia godzin, po operacji i odzyskaniu przytomności, co za różnica, kiedy porozmawia pan z pacjentką?

- Ogromna różnica - odrzekł Langer. - To nie był zwykły

ładunek wybuchowy, doktorze. - Przeniósł wzrok na Carson. -

Tylko bomba termobaryczna, znacznie...

Carson stłumiła okrzyk. Nie zamierzała zareagować w ten sposób i gdyby nie leki, jakimi ją zapewne nafaszerowano, za nic nie odkryłaby kart.

- Czy coś to pani mówi? - zainteresował się Langer.

Cholera,

mówiło.

Ładunki

termobaryczne

charakteryzowały się tym, że niewielka ilość materiału wybuchowego miała ogromną skuteczność. Konwencjonalne ładunki zawierają skoncentrowany chemiczny utleniacz, który pozwala mieszance błyskawicznie zużyć całe paliwo, wywołując eksplozję, natomiast bomba termobaryczna, przy niewielkiej ilości utleniacza, jest wypełniona silnie wybuchowym materiałem. Po detonacji ładunku następuje rozpylenie paliwa na dużym obszarze, a zawarty w powietrzu tlen odgrywa taką samą rolę jak chemiczny utleniacz w ładunku konwencjonalnym.

W

rezultacie

chmura

rozproszonego paliwa eksploduje w wysokiej temperaturze,
znacznie zwiększając promień rażenia.

- Nic a nic - skłamała Carson.

- Nie wierzę pani.

- No to niech mnie pan aresztuje.

- Załatwione.

- Świetnie - odparła Carson. Spojrzała na lekarza. - Mogę

już iść na operację?

Doktor Ahmed się uśmiechnął.

- Ależ oczywiście.

- Proszę ją traktować jak aresztowaną, doktorze -

powiedział

Langer.

Wyglądał

jednak,

jak

gdyby

nieoczekiwany obrót wypadków nagle zbił go z tropu.

- Cały czas będę to miał na uwadze - zapewnił go lekarz.

Trzy minuty później zmierzali w stronę windy - wszyscy

troje plus kilka pielęgniarek i innych członków zespołu

operacyjnego. Langer starał się pozostawać w zasięgu wzroku

Carson. Winda zawiozła ich do podwójnych drzwi, nad

którymi

wisiała

tablica:

BLOK

OPERACYJNY.

NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Poniżej

znajdowała się mniejsza tabliczka ze strzałką wskazującą drogę do poczekalni.

- Absolutnie nie wolno tu panu wchodzić - zwrócił się

Ahmed do Langerera.

Policjant miał minę, jakby nie potrafił odnaleźć

właściwych słów.

- W takim razie pan za nią odpowiada - oznajmił w

końcu. Prawdopodobnie chciał, aby ostrzeżenie zabrzmiało

srogo, ale niezbyt to mu się udało.

Po drugiej stronie podwójnych drzwi Carson i lekarz

wymienili zwycięskie uśmiechy.

- Na ogół nie lubię policjantów - rzekł Ahmed.

- Robił tylko, co do niego należy, tak jak umiał -

powiedziała Carson, zaskoczona swoim macierzyńskim

tonem. Gdyby słyszał to Lespasse, jej wielkoduszność

wywołałaby u niego szok.

Lespasse. Widziała już śmierć zbyt wielu przyjaciół, by

opłakiwać każdego z osobna, lecz życzyła mu wszystkiego

dobrego w następnym etapie Wielkiej Podróży.

- Doktorze, muszę zadzwonić - powiedziała.

Porozumiewawczy uśmiech ustąpił miejsca wyrazowi zdezorientowania.

- Słucham?

- Muszę zadzwonić. Chodzi o pilną sprawę.

- Nie ma w tej chwili pilniejszej sprawy niż twoje zdrowie

- powiedział Ahmed.

Carson zdrową ręką chwyciła go za brzeg bluzy

chirurgicznej i w tym samym momencie złamaną rękę

przeszyła błyskawica bólu.

- Niech się pan zatrzyma. - Wózek zahamował z piskiem

kółek. - Naprawdę jest - ciągnęła. - Zależy mi na swoim

zdrowiu nie mniej niż innym - pewnie nawet bardziej. Ale w

tych przypadku znacznie ważniejszy jest ten telefon.

Baba z Bronią znów rozmawiała z kierowcą i Felicja

wiedziała, że zaraz rozpocznie się crescendo. Odgadła to z ich

konspiracyjnego tonu. Gdy pod koniec wymiany zdań Baba z

Bronią spojrzała na nią, jej wzrok nie wróżył nic dobrego.

Kierowca włączył kierunkowskaz i zaczął zjeżdżać na

lewo, wykonując manewr, do którego wciąż nie mogła się

przyzwyczaić,

wbrew

naturalnemu

porządkowi

praworęcznego świata. Zwolnili i Baba z Bronią sięgnęła do torebki, szukając czegoś. Serce Felicji zaczęło bić cztery razy szybciej. Co stamtąd wyciągnie?

Zobaczyła nożyce przypominające kombinerki i przez chwilę myślała, że patrzy na narzędzie czekających ją tortur.

Kiedy jednak porywaczka pochyliła się i sięgnęła do jej kostek, Felicja zrozumiała, że tragiczny finał przygody jest bliski.

Usłyszała ciach i natychmiast odzyskała czucie w stopach, choć nawet się nie zorientowała, że je straciła. Przyszło jej do głowy, żeby kopnąć porywaczkę, ale co potem? Co mogła zrobić, mając ręce przywiązane do przegubów siedzącego obok mężczyzny? Gdyby nawet kopniakiem pozbawiła Babę z Bronią przytomności, i tak nie mogłaby się uwolnić.

- Tylko bez wygłupów - powiedziała po angielsku Baba z Bronią. Trzymała lufę pistoletu dwa centymetry od czoła Felicji. - Jeden ruch i strzelam.

Szarpnęła dziewczynę brutalnie za lewe ramię, żeby obrócić ją w prawo. Gdy Felicja zobaczyła przed sobą drzwi i boleśnie naciągnięto jej ręce, najpierw poczuła bliskość ramion porywaczki, a potem zimny dotyk nożyc na skórze, gdy szczęki kleszczy wsunęły się między jej nadgarstki.

Ciach.

Felicja była zupełnie wolna i wiedziała z całą pewnością,

że od śmierci dzieli ją sekundy. W momencie, gdy odzyskała władzę nad rękami, nie miała wątpliwości, że pora działać; wiedziała też, że to nie jest kwestia minut, ale sekund.

Pierwszy cios trafił Babę z Bronią w brzuch i z jej ust wyrwał się okrzyk zaskoczenia i bólu. Ale po drugim, który ugodził porywaczkę prosto w nos, wydała przeraźliwy, nabrzmiały bólem wrzask, zalewając się krwią.

Samochód natychmiast zwolnił, jak gdyby to kierowca padł ofiarą ataku Felicji. Chwila nieuwagi stworzyła nową okazję. Felicja rzuciła się do drzwi i pociągnęła klamkę, wpuszczając do wnętrza porywisty podmuch wiatru i hałas samochodów.

Wciąż zamroczona ciosem w nos, Baba z Bronią skierowała pistolet w stronę źródła hałasu i wydała rozkaz w nieznanym Felicji języku, ale o czytelnym, uniwersalnym znaczeniu: „Stój, bo strzelam!”.

Felicja trzasnęła ją w nadgarstek, trafiając w ścięgna miękkiej, wewnętrznej strony. Pistolet wylądował na kolanach jej współwięźnia, który jęknął odruchowo, uderzony twardym metalem.

Furgonetka zwolniła jeszcze bardziej, a kierowca odwrócił głowę, by sprawdzić, co się dzieje z tyłu, lecz gdy Baba, już bez broni, rzuciła następny rozkaz, obrócił się z powrotem i spojrzał na drogę, wciskając pedał gazu.

Felicja skoczyła w stronę umykającej jezdni.

Middleton wiedział, że przyczyną napięcia w głosie Tesli jest obecność zwłok w jego domu. Zdewastowanym domu.

Zwłoki rzecz jasna budziły niepokój, ale Middleton widział w życiu zbyt wiele trupów, by widok jeszcze jednego szczególnie go poruszył. Denat wymaga spokojnej analizy. Człowiek, który nie żyje dziś, nie będzie też żył za tydzień, więc nie trzeba się z niczym spieszyć. Plamy krwi i mózgu to sprawa wyłącznie porządkowa, która wymaga nieco czasu, cierpliwości i detergentu.

Znacznie bardziej niepokojący był widok roztrzaskanych skrzypiec, które leżały na podłodze w pobojowisku przewróconych mebli i rozbitych bibelotów. Middleton błyskawicznie domyślił się, dlaczego koncert nie mógł się rozpocząć. Nie chodziło o nieobecność pianisty czy problem techniczny. Nie pojawiła się gwiazda wieczoru.

- Kto porwał Felicję? - zastanawiała się głośno Tesla.

- Ten, kto podrzucił mi trupa w korytarzu - mruknął

Middleton.

- Nie tylko podrzucił - poprawiła Tesla. - Tu go zastrzelił.

Trzeba zawiadomić miejscowe gliny. Doszło do morderstwa, więc musimy ich włączyć.

- Dobra. - Middletona nic to nie obchodziło. - Cholera, gdzie jest Felicja? Dlaczego w ogóle ktoś ją zaatakował?

- Mówisz to tak lekko - powiedziała Tesla, próbując mu przypomnieć o terażniejszości. - Ale będą zadawać strasznie trudne pytania.

Middleton spojrzał na nią spode łba, przechylając głowę, jakby właśnie usłyszał zdanie wypowiedziane w obcym języku.

- Co? - Po chwili się zreflektował. - Aha, tak. Dobra.

Wszystko jedno. Niech pytają. Nora, musimy ją znaleźć.

Pokręciła głową.

- Nie, musimy znaleźć sprawców. Jedno wiąże się z drugim.

Ale gdzie zacząć? Przy tylu ruchomych elementach, jakim cudem mieli...

Zadzwoniła komórka w jego kieszeni.

- Chryste... - prychnął zniecierpliwiony. Gdy spojrzał na wyświetlacz i nie poznał nawet numeru kierunkowego, chciał w pierwszej chwili odrzucić połączenie. Potem jednak zmienił zamiar. Tyle złego zdarzyło się w tak krótkim czasie, że nie wiadomo, dokąd mógł prowadzić następny zakręt. Przyłożył telefon do ucha.

- Middleton.

- Carson.

Na dźwięk zmienionego tonu jej głosu poczuł bolesny ucisk w brzuchu.

- Nic ci się nie stało?

- Lespasse nie żyje - powiedziała. Lakoniczność

informacji mogła brzmieć oschle, ale w tym przypadku

Middleton wyczuł, że wypowiadając te słowa, Connie zrzuciła z siebie wielki ciężar.

- Nie żyje! Co się stało?

Słyszając okrzyk szefa, Tesla gwałtownie odwróciła głowę.

- Adres w Tampa to była pułapka. Biuro wyglądało, jakby od tygodni stało puste. Podłożyli nam bombę - zrelacjonowała Carson.

Zadzwonił telefon stacjonarny. Middleton nie zwracał na to uwagi.

- Wam? Jak mogli podłożyć wam bombę? Przecież nie wiedzieli, że przyjedziecie.

- Jeżeli nie nam, to komuś innemu. Jezu, Harry, przestań się czepiać szczegółów, dobra? Właśnie jadę na operację.

A więc Carson też została ranna. O tym nie pomyślał.

- Co ci się stało?

Rozległ się trzeci dzwonek telefonu i Middleton dał znak Tesli, żeby odebrała.

- Parę oparzeń i złamań. Chyba nic takiego. Mimo to wyraźnie słyszał w jej głosie strach i ból.

- Ty tak twierdzisz czy dowiedziałaś się tego od lekarza?

- Nie dzwonię, żebyś mnie pocieszał, Harry - odparła

Carson. - Zanim pójde pod nóż, mam ci do przekazania ważne wiadomości.

Stojąca po drugiej stronie pokoju Tesla zasłoniła ręką mikrofon słuchawki i pomachała do Middletona.

Nadal wstrząśnięty wiadomością o śmierci towarzysza i przyjaciela, Middleton patrzył na nią szklanym wzrokiem, starając się skupić na rozmowie.

- Connie, zaczekaj chwilę.

- Chodzi o Felicję - powiedziała Tesla. - Nic jej nie jest?

- Dzwonią z policji. Mówią, że przyszła na posterunek posiniaczona i zakrwawiona i powiedziała, że wyskoczyła z jadącego samochodu. Odwieźli ją do szpitala.

- Kto ją porwał?

- Jakaś kobieta. Młoda. Ostra. Chyba z Bliskiego

Wschodu. Albo z Indii, Pakistanu czy Sri Lanki. Harold, co mam powiedzieć policji?

- Że oddzwonisz później. Wrócił do rozmowy z Carson.

- Dobra, Connie, mów dalej.

Teksanka wyjaśniła mu, dlaczego sprawa jest pilna. Dwa słowa sprawiły, że błyskawicznie skupił całą uwagę na rozmowie przez komórkę.

- Zaraz - przerwał jej. - Powiedziałaś „bomba termobaryczna“?

- Tak - potwierdziła Carson. Nawet przez telefon usłyszał

ton satysfakcji, że od razu skojarzył fakty. - Taka jak bomby w

Kosowie. Jak bomby, które od dekady rozbrajają Afgańczycy.

Middleton znał tylko jedno państwo, które doskonalilo i

regularnie stosowało ładunki termobaryczne.

- Czyli sądzisz, że sprawa ma trop rosyjski?

- Całkiem możliwe. Znalazłam notatkę o telefonie do

Moskwy. Bez numeru. I naklejkę firmy przewozowej w

śmieciach. Pustą, ale coś może być w papierach. - Podała mu

nazwę firmy głosem rwącym się z bólu.

Podziękował jej.

- Przykro mi, Connie.

- Na razie, Harry - odrzekła bardziej zdecydowanym

tonem. - Muszę iść do faceta z nożem.

Middleton opuścił rękę z telefonem. Odwrócił się do Tesli

i zrobił głęboki wdech. Potem przekazał jej straszną

wiadomość o Lespassie.

- Nie! Boże, nie!

- Connie jest ranna. - Po chwili opanował emocje i

powtórzył jej, co Carson mówiła o bombie termobarycznej.

- Rosja?

- Możliwe. - Ruchem głowy wskazał domowy telefon. -

Co 7, Felicją?

- Powiedziała policji, że porywaczka była wściekła, że

wzięli nie tę osobę. Sądzi, że naprawdę chodziło im o Charley.

Middleton poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

- No tak, Felicja jest młoda i znaleźli ją w moim domu.

Pomyśleli, że to moja córka. Później zorientowali się, że nie jest Amerykanką, tylko Polką. Pewnie zamierzali ją zabić.

Bogu dzięki, że uciekła.

- Jest jeszcze w izbie przyjęć - nie pozwolili jej zadzwonić. Ale wysłała wiadomość. Powinieneś zajrzeć do skrzynki e - mailowej.

Wziął komórkę, wściekły na siebie, że nie otworzył od razu SMS - a od Felicji.

- Jezu - mruknął, czytając. - Sikari opatentował nową technologię wytwarzania ciężkiej wody do produkcji materiału jądrowego.

- Mówiła nam o ciężkiej wodzie...

- Właśnie.

Middleton wyciągnął szyfrowany telefon i zadzwonił do biura Ochotników pod Waszyngtonem. Wziął głęboki oddech, i gdy w słuchawce odezwał się męski głos, powiedział:

- Wiki...

- Szefie? Co jest?

- Muszę ci coś powiedzieć. - Po krótkim wahaniu poinformował go o śmierci Lespasse'a.

- Nie, Harry... Och, nie.

- Niestety. Była z nim Connie. Właśnie operują ją na

Florydzie. Chciałbym, żebyś miał pod kontrolą wszystko, co się tam dzieje.

- Jasne. Oczywiście... Przykro mi, szefie.

Middleton odsunął na bok myśli o nieżyjącym koledze i zajrzał do notatek.

- Musisz się włamać do rejestru przewozowego

Continental - Europe Transport Ltd. Szukaj informacji o wszystkich przesyłkach od albo do Sindhu Power w Tampa.

Connie znalazła tam ich naklejkę.

- To jest firma na Florydzie, do której pojechała Connie i JM?

- Tak. Adres był w komputerze Balana. Middleton rozłączył się i spojrzał na Teslę.

- Dobra, Nora, jeżeli porwali Felicję, biorąc ją za Charley... - To znaczy, że Charley może mieć kłopoty. Chcesz jechać do Paryża?

- Nie, chcę, żebyś ty tam pojechała. Z e - maila w komputerze Balana wynika, że cokolwiek ma się wydarzyć w „wiosce”, wydarzy się niedługo. Nasza operacja na Florydzie skończyła się klapą. Connie znalazła notatkę o telefonie do Moskwy, więc na razie nasz trop to Rosja - jedyny kraj, który sprzedaje ładunki termobaryczne na czarnym rynku. Zaraz tam jadę.

Przestąpił leżące na podłodze zwłoki i chwycił walizkę,

której nie zdążył jeszcze rozpakować. Tesla zerknęła na ciało.

- Muszę zadzwonić na policję. Co mam im powiedzieć?

Middleton przystanął, aby się zastanowić.

- Powiedz im cokolwiek - poradził. - Albo wszystko,

jeżeli chcesz. - Ruszył do wyjścia. - Zresztą jak tu się zjawia,

już nas nie będzie. - Ruchem głowy wskazał zwłoki. - To teraz

ich kłopot.

ROZDZIAŁ 6

JOSEPH FINDER

Tuż po trzeciej pochmurnego popołudnia boeing 727 siadł

na pasie startowym numer 3 na lotnisku Domodiedowo w

Moskwie. Z wizgiem włączyły się odwracacze ciągu i

niebawem umilkł ryk silników.

Przez kilka minut pilot i trzyosobowa załoga siedziała w

samolocie, cierpliwie czekając na rozpoczęcie nużących

rytuałów - formalności kontroli granicznej i celnej, odprawy

załogi i ładunku. Godziny wypełniania formularzy i pytań, ale

przede wszystkim czekania. Nie było już Związku

Radzieckiego, ale biurokracja przetrwała. Krople deszczu

bębniły w pleksiglasowe okno kokpitu, które wolno zaczęło

zachodzić mgłą.

I czekali.

Boeing był transportowcem, więc nie wysiadali z niego

pasażerowie. Główna kabina stanowiła ogromną komorę

ładunkową, w której znajdowało się jedenaście kontenerów - w branży nazywano je igloo - wypełnionych pudłami. Było w nich wszystko, od płaskich telewizorów po iPhone'y, od garniturów Armaniego po kartony armaniaku.

W małym przedziale przy przegrodzie za kokpitem siedział drugi oficer, rozmawiając przyciszonym głosem z nowym, który dołączył do załogi w ostatniej chwili, tuż przed startem z Frankfurtu.

- Nie jesteś zbyt rozmowny - rzekł drugi oficer, któremu usta się nie zamykały, odkąd wylecieli z Frankfurtu.

- No, tak jakoś - odparł nowy.

- Byłeś już kiedyś w Moskwie?

- Raz czy dwa. Dawno temu.

- Nie poznasz miasta.

- Podobno.

- Przed odlotem jutro rano masz całą noc, żeby obejrzeć Moskwę. Znam parę fantastycznych nocnych klubów. I gorące rosyjskie laseczki.

- Dzięki - powiedział nowy. - Ale chciałem tylko zwiedzić to i owo.

- Daj spokój, chłopie. Co będziesz robił, pójdiesz zobaczyć mauzoleum Lenina? Gdybyś poszedł ze mną, szczeka by ci opadła, jakbyś zobaczył te laseczki...

- Chyba nie skorzystam - odrzekł nowy. - Jestem

wykończony. Pewnie tylko się przejdę, zobaczę, jak dzisiaj wygląda Moskwa.

- No to uważaj, stary - przestrzegł go drugi oficer. - Na ulicach roi się teraz od przestępców. Lepiej nie zapuszczać się w niektóre części miasta, zwłaszcza jak się jest cudzoziemcem.

- Będę pamiętał - zapewnił go nowy członek załogi. Drugi oficer wstał.

- Muszę skorzystać z kibelka.

Kiedy wyszedł z toalety, usłyszał energiczne pukanie w poszycie samolotu. Na pokład wkroczył potężnie zbudowany funkcjonariusz Straży Granicznej FSB.

- Paszport - warknął Rosjanin.

Drugi oficer podał mu swój paszport i przyglądał się, jak strażnik skanuje go jakimś ręcznym urządzeniem.

Po chwili drugi oficer odwrócił się, by spojrzeć na kolegę, ale opuszczane siedzenie było puste.

Nikt na nim nie siedział.

Gdy Rosjanin wszedł do kokpitu, aby sprawdzić paszporty pilotom, drugi oficer rozejrzał się zdumiony. Wstał, zajrzał do kokpitu, ale tam też nie było nowego. Otworzył szarpnięciem drzwi do ładowni, lecz igloo były tak gęsto upakowane, że między rzędy nikt nie zdołałby się wcisnąć.

Nowego nie było.

Bardzo dziwne.

Pułkownik Harold Middleton szedł Arbatem, brukowaną ulicą, którą zmieniono na deptak, gdzie tłoczyli się klienci i uliczni handlarze, gdzie co krok napotykało się dziwaczych brodatych grajków z gitarami i wałęsających się bez celu nastolatków. Były tu sklepy z pamiątkami, sprzedające lakowe szkatułki zdobione miniaturami i matrioszki o twarzach przywódców różnych państw i gwiazd popu.

Odwiedził Moskwę raz, w samym apogeum zimnej wojny.

Dziś wszystko wyglądało inaczej: gwarne ulice tętniące życiem w niczym nie przypominały dawnej pustki i złowrogiej ciszy. Zardzewiałe wołgi i żiguli zostały zastąpione przez ferrari i bentleye. Na końcu Arbatu, tak jak pół wieku wcześniej, wciąż jednak stał stalinowski pałac, gdzie siedzibę miało Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Może więc zmiany w istocie nie sięgały wcale tak głęboko.

Miniona doba była stresująca i wyczerpująca, lecz podejrzewał, że następne dwadzieścia cztery godziny okażą się jeszcze gorsze.

Organizując przyjazd do Moskwy, musiał poprosić o spłatę dawnych długów wdzięczności. Zwrócił się do starego przyjaciela z czasów Kosowa, pilota helikoptera Apache z 82 Dywizji Powietrznodesantowej, który po odejściu z wojska robił karierę w międzynarodowej firmie transportowej - i

chętnie dodał czwartego członka do załogi samolotu do Moskwy. Zadzwoił też do innego starego znajomego, szczerwanego karierowicza z KGB, Rusłana Maksymowicza Korowina, który był w tym samym czasie w Kosowie i stał się jednym z najcenniejszych źródeł informacji Middletona w rosyjskim wywiadzie.

Przemycili go do Moskwy, ale Middleton wiedział, że jeżeli coś pójdzie nie tak, nie będą go mogli bezpiecznie wywieźć.

Middleton przystanął przed witryną sklepu z antykami naprzeciw restauracji Praga. Na wystawie zgromadzono galerię przeróżnych zakurzonych osobliwości - mosiężnych kalejdoskopów, kiepskich kopii ikon, starych gramofonów i zniszczonych obrazów olejnych.

Oczywiście nie interesowały go antyki. Śledził odbicie w szybie witryny. Jak dotąd nie zauważył jednak, by ktoś za nim szedł. Było tylko kwestią czasu, zanim rosyjski wywiad namierzy cudzoziemca spacerującego ulicami stolicy.

Cudzoziemca, który zdołał wjechać do Rosji, nie zostawiając odcisków palców w bazach danych. Gdyby zabrano go na przesłuchanie...

Lepiej nie myśleć o tej ewentualności.

Middleton otworzył ciężkie drzwi. Rozległ się przyjemny dźwięk dzwonka. Sklep nie miał elektronicznego brzęczyka,

który informował o wejściu klienta. Wnętrze wyglądało, a nawet pachniało - stęchlizną i starociami - jakby miało sto lat.

Middleton spodziewał się wręcz, że zobaczy oglądającego towar Aleksandra Puszkina, który mieszkał na tej ulicy.

Za zagraconą szklaną ladą pokrytą warstwą kurzu stał starszy mężczyzna o ściągniętej, surowej twarzy, w okrągłych, za dużych okularach w czarnych oprawkach.

- Dobryj dien' - powitał go.

- Dzień dobry - powiedział Middleton. - Interesują mnie ikony. Sprzedawca uniósł brwi, a wraz z nimi powędrowały w górę wielkie, okrągłe szkła.

- Ach, tak? Chodzi panu o coś konkretnego?

- Szczególnie interesuje mnie szkoła nowogrodzka. Błysk zrozumienia szybko zniknął z twarzy staruszka.

- Tak, oczywiście - powiedział. - To najpiękniejsze z naszych dzieł. Ale jest ich niewiele i są dość kosztowne.

- Rozumiem - odrzekł Middleton.

- Proszę. - Sprzedawca wskazał rudobrazową, aksamitną kotarę, oddzielającą sklep od zaplecza. - Proszę za mną.

Pomieszczenie było ciemne i jeszcze bardziej zatęchłe, a w ukośnym snopie światła padającym zza odsuniętej kotary tańczyły drobiny kurzu.

Z szuflady Rosjanin wyciągnął sfatygowaną skórzaną teczkę i zwolnił zatrzaski. Walizeczka była wyłożona miękką

piankową wytłoczką. W wycięciu pośrodku spoczywał czarny, matowy nowiutki sig sauer P229, kompaktowy pistolet półautomatyczny.

Middleton szybko sprawdził broń, odciągając zamek. Był zadowolony.

- Kaliber dziewięć milimetrów - powiedział. Stary sprzedawca pokiwał głową, zaciskając usta. Middleton odliczył pięć banknotów studolarowych z rolki, którą miał w przedniej kieszeni, i położył na ladzie. Rosjanin spojrział na niego spode łba i przecząco pokręcił głową. Pokazał dwa palce.

- Dwa tysiące - powiedział.

- Umowa była inna - zaprotestował Middleton.

- W takim razie bardzo mi przykro, ale nie zrobimy dzisiaj interesu - odparł Rosjanin.

Middleton westchnął, po czym wyłożył jeszcze piętnaście banknotów. To było rażące zdzierstwo, ale nie miał wyboru.

- Zakładam, że dorzuci pan pudełko amunicji -

powiedział. Rosjanin wyciągnął z drugiej szuflady

wymiętoszone pudełko

pocisków winchester, które musiało mieć wiele lat. W

kraju mogło kosztować dwadzieścia czy trzydzieści dolarów.

- Dzisiaj dam panu specjalną cenę - oznajmił sprzedawca.

- Tylko pięćset dolarów.

Ruslan

Maksymowicz

Korowin

był

typowym

niedźwiedziowatym Rosjaninem, niskim i okrągłym, o starannie przystrzyżonej koziej bródce, zdobiącej pełną, rumianą twarz. Rozłożył krótkie ręce i uściśnął Middletona.

- Garroldzie! - wykrzyknął, wymawiając jego imię

najlepiej, jak potrafił. Zaprowadził Middletona do dużego,

komfortowo urządzonego pomieszczenia, przypominającego

angielski klub dżentelmena. Podłoga była wyłożona perskimi

dywanami; tu i ówdzie stały skórzane fotele, w których

drzemali zgrzybiali staruszkowie, przykryci płachtami

„Prawdy”. Gdyby nie tytuł gazety, sala wyglądałaby jak

Boodle's w Londynie.

Rzeczywiście był to rodzaj klubu, tyle że należeli do niego

byli funkcjonariusze KGB. W dziewiętnastowiecznym domu

na bocznej uliczce przy Piatnickiej zbierali się emerytowani

oficerowie rosyjskiego wywiadu, by powspominać dawne, złe

czasy przy wódce, jesiotrze i kapuśniaku.

- Rusłanie Maksymowiczu - rzekł Middleton, zacinając

się odrobinę przy dziwnie brzmiącym odczestwie. - Dziękuję,

że spotkałeś się ze mną tak szybko.

Zniżając głos, Korowin powiedział:

- Mam nadzieję, że moi przyjaciele na lotnisku

potraktowali cię z należyтым szacunkiem.

Korowin, spędziwszy w KGB ponad trzydzieści lat, zyskał

sławę legendarnego agenta, wiedzącego, jak pociągać za

sznurki, o których istnieniu większość ludzi nie miała pojęcia.

Sieć jego kontaktów obejmowała nawet członków obsługi

technicznej lotniska Domodiedowo, gdzie załoga cysterny z

paliwem lotniczym przemyciła Middletona z transportowca do

centrum

Moskwy.

Przedsięwzięcie

było

oczywiście

ryzykowne, lecz Middleton wiedział, że może zaufać

Korowinowi i plan zostanie zrealizowany bez zarzutu.

Dawny kagebista dał Middletonowi bardzo precyzyjne

wskazówki. Przekazał mu je, korzystając z najprostszej, a

zarazem

najnowocześniejszej

techniki

szpiegowskiej:

Korowin napisał e - maila, ale zamiast go wysłać, zapisał

wiadomość jako kopię roboczą na koncie Gmaila, do którego

obaj znali hasło. Konto było jednym z wielu założonych przez

Wiki Changa w małym biurze w Wirginii, gdzie mieściła się

centrala Ochotników. Agenci wywiadu nie potrzebowali już

błyskawicznych,

skompresowanych

wiadomości

i

mikropunktów, gdyż mogli wykorzystać stary, poczciwy

Internet.

- Szczerze mówiąc, poszło znacznie prościej, niż się

spodziewałem - rzekł Middleton.

- Z mojej strony powinieneś się spodziewać tylko

najlepszego - oznajmił Korowin. - Podobno kupiłeś coś u

Wołodii na Arbacie, tak? Ma najlepszy wybór ikon w całej

Moskwie.

- Ale słono sobie liczy - zauważył Middleton.

- W końcu warunki na naszym rynku dyktuje sprzedawca,

przyjacielu - powiedział Korowin.

- Nie targowałem się z nim.

Korowin zaprowadził go do sali restauracyjnej, ciemnej,

ponurej i niemal pustej. Usiedli przy małym stoliku, na którym

stała już woda mineralna oraz szklanki i kieliszki, wyglądające

na nieco przykurzone.

Przyczłapała do nich z tacą kelnerka, zasuszona staruszka

o przerzedzonych siwych włosach i wodnistych oczach.

Wyglądała na ponad osiemdziesiąt lat i miała na sobie długą czarną spódnicę i białą bluzkę z długimi rękawami. Pewnie emerytowana pracownica biura z Łubianki, pomyślał Middleton. Niezdarnie postawiła na stole przeróżne zakuski: sałatkę z buraków, grzybowy „kawior”, wędzoną rybę i marynowaną cebulę. Potem drżącą ręką napełniła ich kieliszki wódką krajowej marki.

Korowin wyłuskał papierosa z paczki marlboro, zapalił starą wojskową zapalniczką, po czym wznosił toast za ich współpracę w Kosowie. Obaj agenci wywiadu podczas okropnego konfliktu sprzed dekady odegrali zakulisową rolę, o której świat nigdy się nie miał dowiedzieć.

Dziesięć lat temu byli świadkami, jak konflikt w Kosowie doprowadził dwa supermocarstwa na krawędź wojny.

Rosjanie wspierali serbską partyzantkę, a NATO i Amerykanie bronili Albańczyków, choć obie strony dokonywały wielu - używając groteskowego eufemizmu - „czystek etnicznych”. Gdy Rosja wreszcie zgodziła się zrezygnować z poparcia Serbów w zamian za niezależny udział w siłach pokojowych, NATO nie dotrzymało warunków umowy. Wojska rosyjskie znalazły się nagle pod dowództwem amerykańskiego

generała.

Poczuli

się

upokorzeni i wystawieni do wiatru. Napięcie między dwiema potęgami nuklearnymi mogło się łatwo przerodzić w wojnę, gdyby nie ciche, nieoficjalne wysiłki kilku oficerów wywiadu, takich jak Korowin i Middleton.

Kiedy wypili, Korowin nalał drugą kolejkę. Zanim jednak wygłosił kolejny kwiecisty toast, spojrzął z ukosa na Middletona.

- Myślałem, że przeszedłeś na emeryturę, Garroldzie.

- Ja też tak myślałem - odparł Middleton.

- Mimo to musiałeś wjechać do mojego kraju nieoficjalnie. Co oznacza, że wróciłeś do służby czynnej.

- W pewnym sensie. - Zdał rosyjskiemu koledze krótką, ocenioną relację z działań Ochotników, a potem opowiedział o przedziwnym incydencie na Lazurowym Wybrzeżu, który ponownie zmobilizował Ochotników. -
Potrzebuję informacji.

- Aha. - Co mogło oznaczać: tak, oczywiście. Albo coś wręcz przeciwnego.

- Informacji o ładunkach termobarycznych.

- Łatwiej byłoby dostarczyć ci ładunków niż informacji o nich. W każdym razie bezpieczniej.

- Zapytać zawsze można - powiedział Middleton. -

Poleciłem swojemu współpracownikowi zbadać dokumentację pewnej firmy przewozowej, która dostarczała jakiś towar spółce na Florydzie. Wydaje mi się, że to były materiały wybuchowe. Skontaktował się ze mną, kiedy tu leciałem, i powiedział mi, że kilka przesyłek oznaczonych jako „materiały budowlane” nadano z Albanii do Moskwy, stamtąd do Mogadiszu, potem do Algieru i wreszcie do Stanów Zjednoczonych. Zorientowali się, że buszuje w ich systemie, i zablokowali go, ale zdążył znaleźć nazwy wszystkich spedytorów.

- Patrzysz na mnie znacząco, przyjacielu. Chyba zaczynam się denerwować.

Korowin nie wyglądał jednak na zdenerwowanego.

Spoglądał na niego z nieco pobłażliwym, konspiracyjnym uśmiechem, który zwykle przywołują na twarz byli oficerowie armii radzieckiej i agenci KGB, niczym bandyci nakładający na twarz kominiarki przed napadem na bank.

- Chcesz usłyszeć o zabawnym zbiegu okoliczności? - zapytał Middleton.

- Nie, nie chcę.

- Wszystkie spółki przewozowe zostały zarejestrowane przez jedną firmę prawniczą z Moskwy. I zgadnij, kogo jeszcze reprezentuje ta firma? Twojego szefa, Arkadego

Czerniajewa.

Arkady Czerniajew był najbogatszym człowiekiem w Rosji, może nawet na całym świecie. Mieszkał na przemian w rezydencji w Knightsbridge w Londynie i posiadłości na obrzeżach Moskwy. Nie wspominając o kilkunastu innych majątkach na całym świecie, kilku prywatnych samolotach i trzech nieprzyswoicie wielkich jachtach. Czerniajew dorobił się fortuny na biznesie naftowym podczas wolnoamerykańskiej panującej w branży w ostatnich dniach Związku Radzieckiego.

-

Nie,

nie

mojego

szefa.

-

Skrzywił się z

niezadowoleniem.

- Rusłan, pracowałeś w jego ochronie. Nawet nie próbuj

się wypierać. Wiem z najpewniejszych źródeł.

Korowin odwrócił wzrok, a następnie zajął się

filetowaniem

śledzia

z

precyzją

kardiochirurga

wszczepiającego bypassy. Położył kawałki ryby na kromkach
czarnego chleba i uniósł głowę.

- To było dawno temu - rzekł wreszcie, poważniejąc. -

Dlaczego to dla ciebie takie ważne?

- Bo jeżeli stoi za tym Czerniajew, w co zaczynam

wierzyć, to sądzę, że przekazuje pieniądze albo materiały

wybuchowe,

albo

jedno

i

drugie,

niebezpiecznemu

fanatykowi, Devrasowi Sikariemu. Mieli punkt kontaktowy w

Tampa na Florydzie.

- No dobrze, przyjmijmy, czysto teoretycznie, że masz

rację. Po to potrzebowałeś broni? Chciałeś ogniem utorować

sobie drogę do daczy Czerniajewa? Wiesz, ilu ochroniarzy

pilnuje go dzień i noc? I chciałeś to zrobić w pojedynkę?

Middleton w milczeniu wzruszył ramionami. - I po co?

Zamierzasz zabić Czerniajewa i myślisz, że ujdiesz z

życiem?

- Zabić? Nie, oczywiście, że nie. Muszę z nim

porozmawiać. Możesz mi coś o nim powiedzieć?

- Stał się odludkiem. Ma kłopoty finansowe.

- Najbogatszy człowiek w kraju?

- Już nie. Majątek przychodzi i odchodzi jak fala

przyływu, przyjacielu... ale podobno już się odbił od dna.

Nikt nie wie, co to za uśmiech fortuny. Nie mogę ci dać

informacji z pierwszej ręki... Powiedz, o co właściwie chodzi?

Middletonowi przyszła na myśl firma Sindhu Power.

Zniżywszy głos, zarzucił przynętę.

- O miedzianą bransoletę.

Przez twarz Korowina przemknął nerwowy uśmiech i

natychmiast zniknął.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Wydaje mi się, że masz.

Korowin zdusił papierosa, po czym wyciągnął następnego

i zapalił. Kiedy się odezwał, jego głos stłumił kłęb dymu

wypełniającego mu usta.

- Miedziana bransoleta - powiedział. - To brednie, babskie

gadanie. Skazki, jak to nazywamy. Klechdy ludowe. Bajki

opowiadane przez przerażonych staruszków, którzy chcą

uchodzić za ważniejszych.

- Założymy się? - spytał Middleton.

- Nie. Miedziana bransoleta to przeszłość. Tego potwora

zabito dawno temu. Dziesiątki lat temu.

- Chętnie posłucham.

- Pierwotnie to było określenie jakiegoś dawnego procesu naukowego. Ale potem zaczęto tak nazywać sektę. Sektę szaleńców - fanatyków - która powstała z popiołów po drugiej wojnie światowej. Słyszałeś o zakładach Norsk Hydro?

Middleton przecząco pokręcił głową.

- To była fabryka w Norwegii, należąca do Norsk Hydro i I.G. Farben.

- Wielkiego koncernu nazistów.

- Zgadza się. Fabryka została zniszczona przez aliantów i norweski ruch oporu. W jednym z najbardziej niezwykłych aktów sabotażu w ciągu wojny.

- Co produkowała ta fabryka - broń?

- W pewnym sensie. System miedzianych bransolet wytwarzał ciężką wodę. To była rewolucyjna metoda produkcji materiału jądrowego.

Middleton natychmiast pomyślał o spostrzeżeniach Felicji i jej zaszyfrowanej wiadomości. Ciężka woda. Patenty Sikariego.

- Naziści potrzebowali go do konstrukcji broni atomowej.

Ale po zniszczeniu fabryki zakończył się ich program jądrowy. Podobno, Garroldzie - jak głosi skazka - mimo zniszczenia fabryki, część dokumentacji i technologii ocalała.

Grupa Rosjan i Niemców - można ich nazwać spadkobiercami

nazistów - ma nadzieję znaleźć kogoś, kto mógłby

zrekonstruować podstawy naukowe tej metody.

- To ma związek z Czerniajewem?

- O niczym takim nie słyszałem.

- W każdym razie muszę się dowiedzieć. Jak go mogę znaleźć?

- Chyba... - Korowin zamilkł, ponieważ podeszła do nich zgrzybiała kelnerka. Powiedziała coś do niego półgłosem.

- Przepraszam na chwilę - rzekł Korowin. Wstał od stołu i chrupnęło mu w kolanach. - Jest do mnie telefon.

Rusłan Korowin wyszedł za kelnerką z sali do

niewielkiego przedsionka obok kuchni. Na ścianie była tu

zamontowana staroświecka drewniana budka z czarnym

telefonem. Korowin podniósł słuchawkę, ale nic nie usłyszał.

Kilka razy wcisnął widełki, po czym odwrócił się do kelnerki i powiedział:

- Nie ma połączenia.

- Tak - odparła kelnerka. Jej głos zabrzmiał dziwnie

mocno i głęboko. - Nie ma. - Zamknęła drzwi kuchni na zasuwkę.

Nagle rzuciła się na niego, zaciskając jego szyję

muskularnym ramieniem zgiętym w łokciu jak w imadle.

Korowin szamotał się, ale kobieta - która na pewno nie była

zasuszoną staruszką - skutecznie go obezwładniła. Skręciła

jego głowę w jedną stronę, a tułów w drugą.

Rozległ się okropny trzask i Korowin osunął się na podłogę, a ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, była miedziana bransoleta na lewym przegubie napastniczki, ledwie widoczna pod zwiewnym koronkowym mankietem bluzki.

ROZDZIAŁ 7

LISA SCOTTOLINE

Devras Sikari potrzebował czasu do namysłu i gdy nie mógł być w ukochanym Kaszmirze, przyjeżdżał tu, do swojego drugiego ulubionego miejsca na świecie - kolonialnego domu na wsi w Pensylwanii.

A dokładniej do kojca przy kurniku.

Sikari siedział na pastwisku na składanym krzeselku, obserwując kury wygrzewające się na słońcu. Uwielbiał swoją małą, trzydziestosześćhektarową farmę, gdzie trzymał konie rasy quarter horse i stadko kurcząt, a choć był Hindusem, który przyjechał tu z londyńskiej Belgravii, najlepiej odpoczywał właśnie w tym niezwykłym miejscu. Na farmie mógł zrzucić smoking, krawaty Hermes, cały ten kostium, i wreszcie stać się sobą. Nawet jemu wydawało się to niezbyt zrozumiałe. Sikari nie wychował się na wsi, ale traktował farmę jak swój dom z dala od prawdziwego domu.

W powietrzu wyczuwało się przenikliwy październikowy chłód, ale było mu ciepło w luźnych dżinsach, flanelowej

koszuli i impregnowanej kurtce, pokrytej jeszcze kurzem po porannej przejażdżce. Gdy założył nogę na nogę, z cholewek zdartych blundstone'ów wychynęły czerwone kaszmirowe skarpetki. W rękę trzymał kubek Phillies z kiepską kawą, którą sam zaparzył. Najbardziej lubił kawę przygotowaną przez swoją gospodynię, ale dziś miała wolne, więc Sikari był skazany na pomyje własnej produkcji. Pociągnął łyk gorzkiego i już zimnego napoju. Pokręcił głową nad ironią losu. Opatentował technologię, która zabiłaby ćwieka wielu fizykom jądrowym, ale przegrywał sromotnie z Dunkin' Donuts.

Z zamyślenia wyrwało go gdakanie kury. Skierował wzrok na gromadkę ptaków.

- Spokój, Yum - Yum - powiedział cicho, w odpowiedzi kura błysnęła tylko okrągłym, złotym okiem. Yum - Yum była źle wychowaną araukaną o wspaniałym rdzawo - brązowym upierzeniu, przetykanym czarnymi plamkami. Sikari miał trzy araukany ze względu na niezwykle zielono - niebieskie jajka, dwie brązowe kury rasy sussex, które przypominały mu Anglię, a także kilka plymouth rock, przedstawicieli rozpieszczonej amerykańskiej rasy, oraz

efekowną

wyandotte, którą nazwał Księżniczka Ida. Wszystkie kury nosiły imiona związane z jego prywatną pasją, operetkami Gilberta i Sullivana, choć plymouth rock były do siebie tak podobne, że nazywał je po prostu Chórem Kobiet. Zarządca farmy tolerował to dziwactwo, uważając Sikariego za ekscentrycznego multimilionera, co zresztą było dla niego korzystne. Pracownicy sądzili, że ich pracodawca jest ważną figurą w międzynarodowym biznesie reasekuracyjnym, a płacił im na tyle dobrze, że nie zadawali żadnych pytań.

Sikari przyjrzał się kurom i ich widok go rozbawił. Część zbiła się w ciasną grupkę, siedząc skrzydło w skrzydło, podwinąwszy nogi, tworząc rząd pierzastych kul w kojcu. Inne leżały płasko na boku, z głowami wspartymi na pulchnej ziemi jak na poduszce, rozcapierzając żółte nogi. Sikari nigdy wcześniej nie widział, żeby kury robiły coś takiego. Kiedy pierwszy raz zobaczył, jak leżą w ten sposób, pomyślał, że nie żyją. Znow pomyślał o Kavim Balanie i przez chwilę spoglądał na kury niewidzącym wzrokiem, pogrążony w myślach, zapominając o kawie.

Sikari musiał przyjąć do wiadomości fakt, że sprawy nie układały się dla niego pomyślnie. Wszyscy byli gotowi - geologowie, personel, nawet Skorpion - lecz Middleton wciąż żył, a Kavi Balan nie. Tylko ten szczegół wystarczył, by

poważnie pokrzyżować jego plany. Sikari przygotowywał

Balana na swojego człowieka numer jeden, ale jego projekty

obróciły się wniwecz, a dziewięć lat pracy poszło na marne.

Niestabilna sytuacja zagrażała jego przyszłości i fortunie,

burząc mu spokój. Zastanawiał się nad rozwiązaniem, ale nie

podjął jeszcze ostatecznej decyzji. Bezczylnie spędzał czas,

wierząc jednak, że we właściwym momencie odnajdzie drogę.

Sikari działał bez pośpiechu i temu między innymi

zawdzięczał swoje sukcesy. Jednym słowem planował, gdzie

inni nie planowali. Każdy ruch był podporządkowany celowi,

bez względu na to, czy chodziło o odchudzanie czy

konstrukcję broni masowego rażenia.

Zawsze osiągał swój cel.

Pociągnął łyk zimnej kawy, a Księżniczka Ida ocknęła się

i wstała, wyciągając do tyłu najpierw jedną, a potem drugą

żółtą nogę. Sikari uśmiechnął się na widok swojej drobiowej

diwy, która przeciągała się, prostując pierzastą szyję, by

wyglądać na wyższą i silniejszą. Księżniczka Ida była

dominującą kurą w stadzie i gdy nastroszyła pióra na

skrzydłach, a potem zaczęła je wygładzać, jej ruchy

poderwały na nogi Yum - Yum, To - ja i Chór Kobiet, które

zaczęły grzebać i dziobać w brązowawej trawie, idąc za

przykładem Księżniczki Idy. Ich zachowanie przypomniało

Sikariemu, że w całej naturze istnieje hierarchia oparta na

porządku dziobania, która zapewnia poczucie stabilności.

Jeżeli przywrócę swój porządek dziobania, przywrócę stabilność, pomyślał. To proste. Nie trzeba nic więcej.

Ten wniosek pomógł mu podjąć decyzję. Nie było czasu do stracenia. Postawił kubek na ziemi, sięgnął do kieszeni

kurtki, wyciągnął telefon komórkowy i wcisnął klawisz. Kiedy usłyszał głos w słuchawce, powiedział:

- Przyjdź do kojca. I przyprowadź brata. - Zamknął z trzaskiem komórkę, schował do kieszeni i skierował spojrzenie na Księżniczkę Idę.

Popatrzyła na niego z aprobatą.

Dziesięć minut później stanęli przed nim jego synowie

bliźniacy z identycznym półuśmiechem na twarzy. Ich widok

jak zawsze sprawił mu radość. Oni także byli elementem

planu. Nie potrafił powiedzieć, czy ich kocha, ponieważ za

dużo podróżował, aby ich poznać, lecz cieszyła go

świadomość, że ma dwóch tak bystrych, pełnych energii i

przystojnych synów. Archer i Harris mieli metr osiemdziesiąt

wzrostu, kręcone ciemnoblonde włosy, okrągłe oczy, pewny

siebie uśmiech i byli niemal nie do odróżnienia. Stanowili

zupełne przeciwieństwo Sikanego, który oczywiście nie był

ich biologicznym ojcem. Kupił ich jako niemowlęta na uliczce

Pragi; nie miał pojęcia, skąd pochodzą, zresztą to i tak nie

miało dla niego znaczenia. Powiedział im, a także

pracownikom farmy i nauczycielom, przychodzącym uczyć

ich prywatnie, że jest ich ojcem chrzestnym, dobrym

przyjacielem

ich

nieżyjących rodziców, którzy byli

Francuzami, bo wiedział, że na głuchej prowincji uchodzi to za szczyt egzotyki.

- Nie jest wam zimno? - spytał Sikari, bo żaden z braci

nie miał kurtki. Byli ubrani, jak mawiali tutejsi, z fasonem: w golfy, spodnie khaki i granatowe swetry.

Chłopcy pokręcili głowami.

- Nie, tato - odrzekli niemal chórem. Byli dla siebie kimś

więcej niż najlepsi przyjaciele; czasem zdawało się, że bracia

są niemal jedną osobą. Tego właśnie chciał Sikari, mając na

uwadze swoje oczekiwania wobec synów. Trenowali sztuki

walki i obaj zdradzali nieprzeciętny talent, szczególnie do

geologii i nauk ścisłych. W testach na iloraz inteligencji

osiągnęli wynik lepszy niż ojciec. Obaj w przyszłym roku

mieli iść na Harvard, ale teraz jego plany musiały ulec

zmianie. College nie mógł ich nauczyć tego co Sikari; a on

mógł zaofiarować im dosłownie cały świat. Byli za młodzi,

aby przejąć po nim schedę, nawet za dziesięć lat, ale śmierć

Balana nie pozostawiała mu innego wyjścia. Sikari zamierzał

przez najbliższe trzydzieści lat udzielać im rad i czuwać nad

nimi, a gdyby zaczął ich sposobić już teraz, w końcu byliby gotowi przejąć stery.

Kłopot w tym, że potrzebował tylko jednego z nich.

Wiedział, że ten dzień kiedyś nadejdzie, dlatego właśnie kupił bliźniaków, żeby zawsze mieć w rezerwie drugiego

następcę. Dziś jednak musiał dokonać wyboru i nie był pewien, jak to zrobić. Byli jak dwie krople wody i zdaniem

Sikariego mieli identyczny temperament.

- Kiedy przyjechałeś, ojcze? - zapytał Archer od niechcienia i spoczęły na nim dwie pary niebieskich oczu.

- Dzisiaj rano. Byliście na treningu. Słuchajcie, mamy problem.

- Jaki? - zainteresował się Archer. Harris uniósł brew.

- To zrobił Arch - powiedział i bliźniacy wybuchnęli śmiechem, wtórując sobie nawzajem.

Sikari uśmiechnął się sztucznie.

- Posłuchajcie, to poważna sprawa. Przez całe życie przygotowywaliście się do tego dnia. Tyle że nic o tym nie wiedzieliście.

Chłopcy zamilkli i dokładnie w tym samym momencie zamrugali oczami, co wyglądało dość dziwnie. Jako małe dzieci mieli swój własny język i Sikariego zawsze ciekawiło, czy mówią o nim.

Księżniczka Ida zaczęła dziobać mokasyn Archera, ale

chłopiec tego nie zauważył.

- Chcę, żeby jeden z was we właściwym czasie zastąpił mnie w rodzinnym interesie - ciągnął Sikari. - Ale będę potrzebował tylko jednego z was. Przypuszczam, że obaj chcecie zająć moje miejsce.

- Oczywiście - odpowiedzieli chłopcy i nie patrząc na siebie, nagle obaj wlepili wzrok w Sikariego.

- Jak mam wybrać jednego z was? Archer uśmiechnął się krzywo.

- Posadę dostanie ten, który złapie Księżniczkę Idę.

- Świetny pomysł! - Harris klasnął w dłonie, jak gdyby akcentując koniec zdania. - Co ty na to, ojcze?

- Ha! - zaśmiał się Sikari, tym razem szczerze. Chłopcy nie mieli pojęcia o ogromnym znaczeniu i wpływach związanych z pozycją, o jaką rywalizowali. Jakby ciągnęli zapałki, żeby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych. Absurdalność tego porównania bardzo mu się spodobała.

Uśmiechnął się pod nosem. - Ale nikt nie potrafi złapać Księżniczki Idy.

- Ja potrafię - oświadczył Archer, a Harris dał mu sójkę w bok.

- Ja też, ofiaro. Archer otworzył usta.

- Przecież to ja łapię je w nocy.

- Ale ja ci pomagam - odparował Harris.

- No więc ten który złapie ją pierwszy - uciał Sikari, wstając. Nie wymyślił lepszego sposobu dokonania wyboru, równie dobrze mógł więc zdecydować przypadek. Skoro bliźniacy byli tacy sami, wszystko jedno, który wygra. Sikari uniósł prawą rękę. - Kiedy powiem „Start”.

Archer i Harris stanęli na miękkiej ziemi i lekko ugięli kolana, przyjmując wzorową postawę futbolistów. Kury natychmiast zareagowały, wyczuwając, że coś się święci.

Księżniczka Ida zatrzepotała skrzydłami, dając znak Chórowi Kobiet, a To - ja i Kto - tam zagdakały głośno, poderwały się z kąpieli i czmychnęły na boki.

- Do biegu, gotowi, start! - krzyknął Sikari i machnął ręką. - Łapaj! - zawołał Archer, ruszając za kurą, ale

Księżniczka

Ida pobiegła co sił w nogach do kurnika. Harris pędził tuż za nimi. Sprytny ptak tuż przed małymi drzwiczkami kurnika skręcił w lewo i Archer zderzył się ze ścianą, a Harris ruszył w pościg za Księżniczką Idą, przebierając mocno nogami i komicznie wymachując rękami jak wiatrak. Kura, klucząc, biegnąc i od czasu do czasu polatując, uciekała przed chłopcami, skrzecząc w popłochu i proteście.

- Szybciej, Ida, szybciej! - krzyczał Sikari, który na chwilę dał się ponieść emocjom wyścigu. Z ogromną przyjemnością obserwował rosnących młodzieńców. Roześmiani

biegali za kurą z rozwianymi w słońcu złotymi włosami -
wspaniałe okazy tęczy młodości, w których można
pokładać wielkie nadzieje na przyszłość - a Sikari poczuł w
sercu żal, że nie jest ich prawdziwym ojcem.

- Ookkch! Ookkch! - wrzasnęła Księżniczka Ida, gdy
chłopcy zapędzili ją w stronę Sikariego, który odsunął się na
bok, żeby go nie staranowali. Bliźniacy pędzili łeb w łeb, z
twarzami płonącymi z napięcia wywołanego walką i kiedy
Sikari chciał znów zawołać, zauważył, że rysy Archera nagle
stężały,

jakby

przysłoniła

je

burzowa

chmura.

Nieoczekiwanym ruchem Archer uniósł rękę i machnął nią do
tyłu, w kierunku szyi Harrisa.

- Nie! - usłyszał swój krzyk, ale jego głos zagłuszył
obrzydliwy gardłowy dźwięk wydobywający się z gardła
Harrisa. Oczy chłopca rozszerzyły się w szoku, ręce
odruchowo złapały zmiażdżoną grdykę, a z otwartych ust
buchnął strumień jasnoczerwonej krwi.

Sikari nie mógł uwierzyć własnym oczom. Był
przyzwyczajony do przemocy, ale nie tu, nie u siebie, nie

teraz. Nie potrafił pojąć tego, co się działo. Ze zgrozą patrzył, jak Harris pada na twarz, groteskowo podwijając nogi. Sikari instynktownie podbiegł do chłopca i rzucił się na ziemię obok niego, wołając:

- Harris, Harris, Harris!

Złapał go za ramię i obrócił, ale Harris już nie żył. Patrzył w niebo nieruchomymi oczami, a z jego ust sączyła się strużka krwi. Tuląc go w ramionach, wstrząśnięty Sikari uniósł wzrok. Stał nad nim Archer, trzymając pod pachą Księżniczkę Idę.

- Wygrałem - powiedział tylko. Sikari wreszcie odzyskał głos.

- Dlaczego? - wykrztusił.

- Bo jestem silniejszy, sprytniejszy i lepszy od niego. I dlatego, że nadszedł mój czas.

- Ależ... to był twój brat.

- Co z tego? Nie martw się, ojczy. Poradzę sobie. Wiem, za co będę musiał wziąć odpowiedzialność. Wiem wszystko.

- Co? Skąd? - zdumiał się Sikari.

- Przejrzałem twoje papiery. Włamałem się do twojego komputera. Złamałem nawet twoje hasła. Wiem wszystko, co muszę wiedzieć. Rozumiesz, co to znaczy?

Sikari zrozumiał, ale sięgnął do kabury po berettę ułamek sekundy za późno. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, był czubek mokasyna Archera, który miał mu wbić nos w mózg.

Devras Sikari uświadomił sobie, że jego następca już zajął tron i że nowy król jest silniejszy, młodszy, bardziej przebiegły i jeszcze bardziej bezwzględny od dawnego władcy.

Umierając, pomyślał: co ja wypuściłem na świat?

ROZDZIAŁ 8

DAVID CORBETT

Harold Middleton patrzył na zduszony niedopałek marlboro Korowina, rozgnieciony w talerzu zakusek, którego widok z niewiadomego powodu przypomniał mu o wyrzutach Felicji, że zbyt często nie ma czasu albo ochoty zobaczyć więcej niż to, co ma przed nosem. Bardzo chciałby zobaczyć teraz coś więcej: widział okruchy tytoniu na marynowanej cebuli, czuł spaleniznę wystygłego popiołu, zmieszaną z kwaśną wonią gotowanych buraków i wędzonego śledzia.

Zerknął na zegarek - z kim Rusłan mógł tak długo rozmawiać przez telefon? Middleton pomyślał z niepokojem, że być może jego potajemny wjazd do Rosji przez Domodjedowo przestał być tajemnicą. Może Korowin dostawał właśnie ochrzan od młodszego, nadgorliwego i mniej wyrozumiałego funkcjonariusza, który zastąpił go w nowym megalicie rosyjskiego wywiadu - FSB.

A może biedny Rusłan kłóci się po prostu z żoną. Albo kochanką - Azerką czy zmysłową Uzbeczką.

Nie patrz na to, co masz przed nosem, powtórzył sobie.

Ogarnęło go poczucie winy. Pobytu w jego londyńskim domu Felicjaomal nie przypłaciła życiem. Ile nieszczęść można sprowadzić na przyjaciela, zanim przyjaźń przerodzi się w klątwę? A Charley - czyż nie naraził jej na takie samo niebezpieczeństwo, nalegając, żeby ruszyła z nim na tę donkiszotowską krucjatę? Jaki ojciec wyrządziłby coś podobnego własnej córce?

W głowie kłębiło mu się tyle pytań, że wstał z wyściełanego krzesła i wolnym krokiem ruszył w stronę okna. Na horyzoncie, pod chmurą miejskich wyziewów zasnuwającą szarawe, rozjaśnione księżycem niebo, rozciągały się peryferie Moskwy. Po pierwszym wrażeniu, jakie zrobiła na nim odmieniona Rosja, nie było już śladu. W wielu punktach miasta odległych od centrum palono śmieci - niewątpliwe dziedzictwo statusu państwa Trzeciego Świata. Gryzący, ohydny dym wciskał się do sali przez nieszczelne, tandetnie oszklone okna: kolejny relikw robotniczego raj.

Blichtr prosperity, który dostrzegł w drodze do Moskwy, miał tyle wspólnego z rzeczywistością co malowanie rdzy w czasach radzieckich, a pozory bogactwa zawdzięczano przede wszystkim nagłemu wzrostowi dochodów petrobiznesu z kilku ostatnich lat. Ale i to źródło znalazło się nagle w niebezpieczeństwie, kiedy ceny ropy zaczęły spadać - do tego

stopnia, że nawet oligarchowie tacy jak Arkady Czerniajew

musieli szukać wsparcia finansowego ze strony rządu.

Zaledwie przed tygodniem tylko krok dzielił go od utraty

najważniejszej filii na rzecz europejskich banków.

Ropa, pomyślał Middleton. Cuchnący ściek współczesnej

polityki. Nie, poprawił się w myśli: ropa i narkotyki. Z

powodu bolesnego niedostatku jednego i drugiego Stany

Zjednoczone pozostawały dłużnikiem nadętych despotów

takich jak Putin, Chavez i Ahmadineżad, wiązały się z tak

podejrzanymi przyjaciółmi, jak Arabia Saudyjska i Kolumbia,

czy wiecznie niedomagającymi państwami, takimi jak Nigeria

czy Meksyk. W którymś momencie mojego życia, rozmyślał,

ziemia, na której się wychowałem, ojczyzna samodzielności i

inicjatywy, zdegenerowała się i zmieniła w talk - show z

udziałem

grubasów,

malkontentów

i

nałogowców.

Przygnębiający wniosek dla każdego patrioty.

Znów stanęła mu w myślach Felicja - z pochodzenia Polka

- , ale w rzeczywistości Cyganka. Nagle ogarnęła go

niewytłumaczalna i dojmująca zazdrość, która mu

uzmysłowiła, że przyszłość i związane z nią nadzieje należą

do Felicji całego świata - zdolnych młodych osób z paszportem, pod warunkiem że będą się zawsze trzymać z daleka od ludzi opętanych patriotyczną obsesją, z pretensjami do idealizmu - takich jak Devrás Sikari. Takich jak Harold Middleton.

Otworzyły się drzwi i Middleton odwrócił się od okna, żeby powitać Korowina wracającego wreszcie po przedłużającej się w nieskończoność rozmowie telefonicznej - tyle że nie zobaczył swojego niedźwiedziowatego przyjaciela.

Do sali weszła wiekowa kelnerka. Może spowodowało to wspomnienie Felicji - a raczej jej komentarzy na temat jego nieuwagi - ale dostrzegł coś, co powinien zauważyć wcześniej. W powolnym kroku i niezdatnych ruchach kelnerki było coś sztucznego, subtelna nuta energii, która nie pasowała do jej wieku. Srebrzystobiałe włosy wyglądały na odrobinę przekrzywione: peruka.

W momencie, gdy Middleton spojrział w jasnoszare oczy oszustki, intuicja podpowiedziała mu natychmiast, że jego przyjaciel, Rusłan Korowin nie żyje.

Sięgnął za połę marynarki, wyszarpnął zza pasa sig sauera P229, a kelnerka porzuciła wszelkie pozory i rzuciła się na niego. Middleton odbezpieczył broń i nacisnął spust, mierząc z bliska - nic się nie stało. Pistolet nie wypalił. Adrenalina wypełniła mu żyły i przez głowę przemknęła mu myśl, że

może go nie naładował. Pamiętał, że magazynek był pełen, nawet w komorze był pocisk. Ale fałszywa kelnerka już do niego przypadła, wymierzając mu kopniaka w pierś, który cisnął go w głąb sali i Middleton zderzył się tyłem z niskim barkiem z tacą zakusek. Napastniczce spadła peruka, ukazując jej prawdziwe włosy, obcięte na krótkiego języka jak u mężczyzny. Zza sfatygowanej białej bluzki wyciągnęła nóż. Middleton wstał i ślizgając się w słonej mazi sosów i sałatek, chwycił pistolet jak pałkę, czując za plecami poruszenie wśród byłych funkcjonariuszy KGB, wstających od stołów.

Napastniczka nie spodziewała się po Middletonie biełości w walce. Chciała błyskawicznie zabić i uciec. Zaatakowała, nie próbując go ciąć, ale pchnąć nożem, bez namysłu i litości - tną tylko tchórze. Middleton sparował cios pistoletem, lecz kobieta odpowiedziała potężnym lewym prostym, trafiając go w skroń - przed oczami zawirowały mu białe płyty i ugięły się pod nim kolana. W myślach rozbłysło mu jedno słowo: Charley.

Obok rozległ się charakterystyczny trzask makarowa, który, jak mu się zdawało, strzelił w środku jego ucha. Do akcji postanowił włączyć się jeden z byłych aparatczyków, biorąc stronę Amerykanina, z którym przyjaźnił się jego dawny kamrat.

Jak gdyby przez płynną mgłę Middleton zobaczył, jak

kelnerka łapie się za ramię, cofa o krok i osuwa się na jedno kolano.

Stary kagebista podszedł bliżej i mruknął jakieś krótkie i dosadne rosyjskie słowo. Z dłoni ostrzyżonej na jeża kobiety wypadł nóż.

Mężczyzna kopniakiem posłał go na drugi koniec sali, a jeden z byłych funkcjonariuszy żwawo poczłapał, żeby go podnieść.

Kobieta dyszała, ściskając bladą dłonią coraz większą krwawą plamę na ramieniu.

Stary kagebista popatrzył na leżącego Middletona, przyglądając się bezużytecznemu sig sauerowi, którego pułkownik ściskał w ręku. Wykrzywił usta w pogardliwym uśmiechu i z twardym akcentem powiedział po angielsku:

- Wspaniała ikona. Szkoła nowogrodzka, tak?

- Nie ma nic lepszego na angloamerykańską nostalgię niż porządna porcja owsianki.

Charley uniosła wzrok znad „Wall Street Journal Europe”.

Zagadnął ją ten sam szykowny mężczyzna, który wczoraj ją śledził, gdy spacerowała po Polach Elizejskich i jadła lunch w słońcu z widokiem na plac Gwiazdy i Łuk Triumfalny.

Przystojny, w typie starzejącego się twardziela, opalony i wysportowany, o szpakowatych włosach. Był kosztownie ubrany, wyzywająco kosztownie, jak nuworysz pragnący

dokonać niemożliwego - wyrzec się swojej grupy społecznej.

Jakie to brytyjskie, pomyślała. Zbyt brytyjskie.

Tylko dlaczego chce mnie zabić?

- Mogę się przysiąc? - zapytał.

Usłyszała akcent liverpoolski, który pamiętała z

programów telewizyjnych o Beatlesach. Nie rozumiała wtedy,

że John Lennon nie mówi z akcentem z wyższych sfer. Jeżeli

Beatlesi nie należeli do arystokracji, to kto?

- Proszę - odrzekła, powstrzymując impuls, by spojrzeć na

Leonorę Tesłę siedzącą po drugiej stronie eleganckiej sali

restauracyjnej. Przyleciała z Londynu, aby ją ostrzec, że jej

życie jest w niebezpieczeństwie i żeby nad nią czuwać. Z

domu Middletona w Bloomsbury ktoś porwał Felicję

Kamińską, biorąc ją za Charley.

Dandys wysunął krzesło naprzeciwko niej i usiadł.

- Ian - przedstawił się i z czarującym uśmiechem

wyciągnął rękę.

- Charlotte.

- Wiem.

Zjawił się ciemnoskóry pomocnik kelnera - Algierczyk

albo może Turek - niosąc dzbanek kawy. Barrett - Bone

podziękował. Charley zdumiała się, udając pierwszą naiwną.

- Zna pan moje imię?

- Grozi pani poważne niebezpieczeństwo, pani Middleton.

Chciałbym pani pomóc...

Za jego plecami zmaterializowała się Leonora i trąciła oparcie krzesła, na którym siedział. Trzymając jedną rękę w kieszeni, drugą łagodnym ruchem położyła mu na ramieniu. Ręka w kieszeni ścisnęła pistolet, którym lekko dźgnęła mężczyznę w tył głowy.

Uśmiechnął się bezradnie.

- Ech, jankesi...

- Wygląda na to, że wszędzie grozi poważne niebezpieczeństwo - odrzekła Charley, dając kelnerowi znak, że chce zapłacić.

- To naprawdę nie było konieczne.

Siedzieli w taksówce, jeżdżąc bez celu po ósmej dzielnicy.

Taksówkarz ściszył muzykę rai, żeby mogli rozmawiać. Na wstecznym lusterku wisiał różaniec, który grzechotał przy każdym zakręcie. Ian Barrett - Bone siedział między Ochotniczkami; Leonora Tesla wciąż trzymała go na muszce ukrytego w kieszeni pistoletu. Charlotte Middleton zerknęła przez tylną szybę, sprawdzając, czy nie śledzi ich żaden samochód.

- Czego chcesz od Charlotte? - spytała ostro Tesla.

Niepokoili się, ale nie czuli strachu. Odczytała jego nazwisko z brytyjskiego paszportu - jednego z wielu oczywiście - i zadzwoniła do kogoś za granicą; odgadł to po liczbie

wstukanych cyfr. Wiedział, jakie uzyskała informacje: że Ian

Barrett - Bone jest nienotowanym konsultantem biznesowym i

nie figuruje na żadnej liście poszukiwanych przestępców.

- W tej sprawie w grę wchodzi duże pieniądze. - W jakiej sprawie?

- Och, mówię o staraniach Sikariego, jego firmach...

Chciałbym mieć w tym swój skromny udział. W tym celu

chciałbym przekazać wiadomość Haroldowi Middletonowi. -

Był absolutnie spokojny, nawet nieco rozbawiony. - Mógłbym mu zdradzić kilka szczegółów na temat Sikariego.

- Na przykład?

- Rozumie pani chyba, że wolałbym rozmawiać o tym wyłącznie z pułkownikiem Middletonem.

- A ty rozumiesz, że do tego nie dojdzie. Barrett - Bone nadał się teatralnie.

- Szkoda.

- Porozmawiasz z nami.

- A jeżeli nie? Proszę nie rzucać czczych pogroźek. To i owo o was słyszałem. Na tym właśnie polega problem szlachetnych ludzi. Diabło trudno im kogokolwiek przerazić.

Tesla chwyciła go mocno za twarz, dopóki nie zacisnęła ust.

- Próbowaleś zabić niewinną kobietę.

Strząsnął jej rękę, ale na moment porzucił niefrasobliwy

ton.

- Ach, tu właśnie się pani myli. Ludzie, których reprezentuję, i ja nie mamy z tym nic wspólnego. To Sikari spaprał robotę. Konkretnie pracująca dla niego kobieta, niejaka Jana. Dziewczyna z Azji Południowej, ładniutka, ale charakter paskudny. I nie bardzo można jej ufać.

- A kogo reprezentujesz?

- Wydaje mi się, że pani uwadze umknął subtelny szczegół mojej wypowiedzi. Tej Janie nie bardzo można ufać.

To taki wolny strzelec. Zgodzi się być posłuszna, jeżeli wymagają tego warunki. I za odpowiednią cenę.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

- Do jasnej cholery, a dlaczego ludzie sobie wierzą, złotko? Tesla nachyliła się bliżej i szepnęła mu do ucha:

- Jeżeli jeszcze raz powiesz do mnie „złotko”, zastrzelę cię dla samej przyjemności.

Spojrzał na nią z udawaną zgrozą.

- Co jest z tymi Amerykankami?

- Kogo reprezentujesz?

- Już wyłożyłem na stół parę kart.

- Kto to jest Skorpion?

Ukrył się za maską zaskoczenia.

- Nie jestem pewien, o kim pani mówi. Brzmi jak imię bohatera komiksu.

- Założę się, że czarnego charakteru.

Wzruszył ramionami.

- Urok małych różnic.

Taksówkarz zatrąbił na niesforne rowerzystę, który odpowiedział obraźliwym gestem.

- Pracujesz dla niego - powiedziała Tesla. - Dla

Skorpiona. - Rozmawiam z wami z własnej, nieprzymuszonej

woli. Żeby potwierdzić swoje szczerze intencje chcę paniom

zdradzić pewien szczegół, który powinien udowodnić, że

wiem, o czym mówię. - Uniósł brew. Kobiety patrzyły na

niego wyczekująco. - Nie ma wątpliwości, że widziała pani

bransoletę. Zdjęliście ją temu biedakowi Kaviemu Balanowi.

To Jana rozwaliła mu łeb - starą pocziwą sztuczką z

eksplodującą komórką. Podobno o mały włos nie załatwiła

was laptopem.

- A więc to ona była na Cap d'Antibes.

- Zgadza się. Bransoleta ma pewne przesłanie czy,

powiedzmy, znaczenie. Słoń, strumień wody i...

- Księżyc - dokończyła Tesla.

- Otóż to.

- Powiedz mi, co oznacza księżyc. Barrett - Bone uniósł

brew.

- A wtedy pani...

- Zastanowię się poważniej nad twoją prośbą o rozmowę

z pułkownikiem Middletonem.

Westchnął.

- Trudno się z panią rozmawia.

- Księżyc. Słucham.

- Na pewno zorientowaliście się, że nie ma nic wspólnego z islamem. Wiadomo, że Sikari to hindus.

- Mów dalej.

- Otóż symbol półksiężyca jest starszy od islamu.

Funkcjonował w Bizancjum przed pojawieniem się na scenie

Mahometa. Półksiężyc symbolizował boginię Dianę,

łowczynię - proszę mi przerwać, jeżeli mówię o rzeczach

znanych - która chroniła także słabych i bezbronnych. Och,

niebiańskie światło w mroku. - Wodewilowym gestem

zatrzepotał dłonią. - Czasami przedstawiano ją z pochodnią w

ręku, oświetlającą innym drogę. Władcza, dumna,

majestatyczna, jechała rydwanem przez pustkowie.

- Co to ma wspólnego z Sikarim? Pokręcił głową.

- Pytanie powinno brzmieć: co to ma wspólnego z Janą?

- No więc?

- Jana szuka Skorpiona. Wszyscy szukają Skorpiona.

- Przypuszczam, że Sikari też.

- A gdybym pani powiedział, że Sikari nie żyje?

Tesla z trudem ukryła zaskoczenie. Człowiek, który był

głównym obiektem misji Ochotników - nie żył!

- I chyba zabił go jego własny syn - ciągnął Barrett -

Bone. - Ale Jana wciąż grasuje na wolności.

- Szuka Skorpiona.

- Być może nie tylko.

- Dalej - warknęła Tesla. - Chcemy wiedzieć.

- Jeszcze jeden szczegół i kończę, dobrze? Słyszają panie o elektrowni na zaporze Baglihar?

Charley Middleton wbrew sobie zeszywniała. Przez kilka ostatnich dni Wiki spędzał przy komputerze niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę, buszując w sieci i przedzierając się przez gąszcz zaszyfrowanych danych, walcząc z przeszkodami - wirusami, trojanami, rootkitami, keyloggerami i botami - i próbował ustalić następny ruch Sikariego. Dzięki jego wysiłkom dowiedzieli się o istnieniu Skorpiona - choć nie poznali żadnych szczegółów - i kilka razy usłyszeli nazwę zapory Baglihar.

Tesla wzruszyła ramionami.

- To zaporą budowaną w Indiach.

- W Kaszmirze - poprawił Barrett - Bone. - A dokładniej w regionie Dżammu, w części Kaszmiru administrowanej przez Indie.

- Stamtąd pochodzi Sikari.

- Otóż to.

- Co ma do tego zaporą?

- Wiadomo, że toczy się o nią diablo poważny spór.

Pakistan złożył w ONZ - ecie protest, twierdząc, że zapora na rzece Cenjab stanowi zagrożenie dla systemów irygacyjnych, od których było uzależnione krajowe rolnictwo. Posunęli się nawet do oskarżenia Indii, że realizują projekt właśnie po to, aby pozbawić Pakistan wody potrzebnej do przetrwania.

Negocjacje międzypaństwowe rozbiły się o kwestię islamskiego terroryzmu w regionie, tak więc Bank Światowy, który uczestniczył w wypracowaniu traktatu o podziale wód Indusu w 1960 roku, wyznaczył mediatora, który miał przeanalizować punkty sporne. Niedawno mediator ogłosił swoją decyzję: Indie, które twierdziły, że zapora jest niezbędna, by dostarczyć potrzebnej krajowi energii elektrycznej, mają pełne prawo dokończyć projekt, a jedynym ustępstwem miało być obniżenie przelewu spływowego o półtora metra.

- Co ten spór ma wspólnego z Sikarim? - spytała Tesla. -

Przecież jego strona wygrała.

- Doprawdy? - Barrett - Bone zagłębił się w siedzeniu taksówki, założył ręce i mrugnął. - Niestety, to wszystko, co mogę powiedzieć. Na razie. Dopóki nie spotkam się oko w oko z legendarnym Haroldem Middletonem.

Cela, w porównaniu z innymi, wyglądała nie najgorzej - przestronny pokój w prowincjonalnej posiadłości na

obrzeżach Moskwy, ewentualnie w jakiejś sąsiedniej wsi. Była reliktem z czasów Romanowów, noszącym ślady zniszczenia, które wyraźnie świadczyło o świadomych zaniedbaniach stulecia władzy radzieckiej.

Deski podłogowe były wytarte i podziurawione, ściany brudne i pokryte zaciekami. Z powodu zabitych na głucho okien w pokoju panował stęchły zaduch, a w zapachu zgnilizny można było wyczuć woń palonego drewna, która nie wiadomo skąd sączyła się do wnętrza. Na zimnym kominku nie płonął ogień, postawiono tu tylko absurdalnie mały grzejnik, przypominający hełm z rozgrzaną do czerwoności twarzą za przyłbicą z kraty. Dawał tyle ciepła co nocna lampka. Był to jedyny mebel w pomieszczeniu, nie licząc trzech rozchwierutanych krzeseł.

Middleton okrył się szczelnie płaszczem, przy każdym oddechu puszczając nozdrzami kłęby pary. Czuł, że zdrętwiały mu usta.

Ile godzin już go tu trzymali? Jak długo będzie tu jeszcze siedział - i co będzie potem?

Przynajmniej nie zamierzano stosować tortur - w każdym razie nie wobec niego. Słyszał krzyki dobiegające z głębi wielkiego domu - przypuszczał, że wydawała je ogolona na jeża kobieta, która go zaatakowała. Morderczyni Rusłana. Nie będą się z nią cackać. Przesłuchanie miało raczej drugorzędne

znaczenie.

Spojrzał na zaplamiony sufit - kawał żółknącego tynku, tak popękanego i poznaczonego pęcherzami, że przypominał mapę poziomicową. Siedział tak, gapiąc się na niego godzinami, i tworzył wyimaginowane krajobrazy, odnajdując nieistniejące rzeki, strumienie, dopływy, tereny zalewowe, dorzecza, tarasowe zbocza, bagniste mokradła i wspaniałe, otwarte stepy. Gdzie się znajdują miasta, zastanawiał się, gdzie odległe wioski? Z której strony zaatakują mongolska jazda albo osławiona niemiecka szósta armia?

Kiedy ta forma spędzania czasu zaczynała go nudzić, zamykał oczy i próbował odtwarzać w myślach późne sonaty Beethovena, zwłaszcza Hammerklavier, gdzie w fudze w czwartej części pobrzmiwają echa Bacha - wtedy oczywiście znów w pamięci stawała mu Felicja.

To był trzeci sposób spędzania czasu: zastanawiał się, gdzie jest dziewczyna, czy nic się jej nie stało. Czy żyje. Jego poczucie winy przerodziło się w gniew, który z kolei osłabł i zmienił się w ojcowski niepokój, by na koniec przybrać postać pełnego rezygnacji żalu. Z czasem rozpacz zaczynała go ogarniać na myśl o Charley, potem o Leonorze - która nosiła imię na cześć bohaterki jedynej opery Beethovena Fidelio - i znów wracał do odtwarzania sonat, dopóki sufit kolejny raz nie przyciągnął jego wzroku.

Starał się nie myśleć o Rusłanie. Niedźwiedziowaty

Rosjanin zdawał sobie sprawę z ryzyka, jak wszyscy. Mimo to...

Otworzyły się jedyne drzwi w pokoju. Zapewne pora posiłku. Śniadanie? Obiad? Kolacja? Zupełnie stracił poczucie czasu. Ale zamiast zgarbionej staruchy o szurzej twarzy - tym razem prawdziwej - która wcześniej przynosiła mu barszcz i czarny chleb z pokrojoną surową cebulą i szklaneczką wódki, na progu stanął wysoki i dobrze ubrany mężczyzna: energiczny, o prezencji wojskowego, grubo ciosanej słowiańskiej sylwetce i wyjątkowo smutnych oczach. Miał na sobie prosty czarny garnitur i gruby wełniany płaszcz; jego buty pokrywała warstwa błota. Wszedł sam i zamknął za sobą drzwi, po czym rozległ się szcęk zamków.

- Panie Middleton - powiedział niezłą angielszczyzną z akcentem świadczącym, że jego nauczycielem był Anglik, a nie Amerykanin. - Mam nadzieję, że nie został pan narażony na zbytne niewygody?

Jego uśmiech wydawał się szczery, a ton rzeczowy.

Middleton przypomniał sobie wrzaski, które słyszał przez ściany zaledwie kilka godzin wcześniej. Niewygody?

- Bynajmniej. - Owinął się szczelniej płaszczem i spojrzał na sufit. - Podziwiam widok.

Nieznajomy uprzejmie podążył za jego wzrokiem.

- Przepraszam, że tak długo kazaliśmy panu czekać.

Chcieliśmy mieć pewność, że znamy fakty.

Fakty. Oczywiście. Temu właśnie służą tortury -

ujawnianiu ukrytych faktów.

- Przypuszczam, że byłaby to impertynencja z mojej

strony, gdybym zapytał, kogo ma pan na myśli, mówiąc „my”

- rzekł Middleton. Przypuszczał, że dawni funkcjonariusze

KGB, którzy go uratowali, opchnęli go jakimś podejrzanym

ludziom działającym w aparacie bezpieczeństwa. Może

gangsterom. Albo jednym i drugim.

Nieznajomy uśmiechnął się, przysunął sobie rozklekotane

krzesło, starł z niego kurz i usiadł.

- Wolno mi powiedzieć tylko tyle: kilku grupom bardzo

zależy, aby pana... hm, jak to ująć?... aby pana pozyskać.

Zaoferowano nam spore sumy. Naprawdę nęcące. Ale nas -

nie, nie powiem panu, kim jesteśmy - interesują nie tyle

korzyści finansowe, co satysfakcja, jaką sprawia nam jedna

jedyna rzecz: informacje. Lubimy wiedzieć, co się dzieje. To

nasza racja bytu.

Bingo, pomyślał Middleton. Z pokerową twarzą spytał:

- Czy zażądam za dużo, jeżeli zapytam pana o nazwisko?

- Tak. Przykro mi. - Uśmiech nie schodził z jego twarzy. -

Bez nazwisk. Panie Middleton, jesteśmy gotowi chronić pana

przed każdym, kto chętnie zapłaciłby za możliwość

przebywania w pańskim towarzystwie. Przed ludźmi, przez których z pewnością miałby pan ogromne kłopoty. Ale oczekujemy czegoś od pana w zamian za tę ochronę. Bezimienny zawiesił głos, rozkładając szeroko ręce, co miało oznaczać ogrom wiedzy - informacji, jaką spodziewał się otrzymać.

- Kilka grup - powiedział Middleton. - Wiem tylko o dwóch, które mogą się mną interesować.

- Nie docenia pan własnej wartości.

- Czy chodzi im o bieżące sprawy?

- Nie. Część ich zainteresowania dotyczy odległej przeszłości. Przysporzył pan sobie sporo wrogów, panie Middleton. Co, nawiasem mówiąc, jest godne podziwu.

Zgadza

się,

początkowo

nieoficjalnymi

kanałami

skontaktowały się z nami dwie grupy i zaczęły o pana wypytywać. Potem zgłosiła się trzecia - powiedzmy, że pochodząca z tej samej sfery interesów. Pozostali chyba żywią do pana dawne urazy, ale kiedy się dowiedzieli, że trwa ostra licytacja, stali się nadzwyczaj uprzejmi.

Trzy grupy, myślał Middleton. Sikari, Skorpion i kto

jeszcze? Czerniajew? Ale dlaczego miałby stawać do licytacji przeciwko Sikariemu? I skąd wiedział, że Middleton się nim interesuje?

- Wygląda na to, że nie mam wielkiego wyboru.

Bezimienny wzruszył ramionami, lecz na jego twarzy wciąż igrał szelmowski uśmiech.

- Jak powiada Sartre, zawsze ma się wybór, choćby w kwestii rodzaju śmierci.

Middleton się zamyślił. Mógłby się oddać w ręce wrogów, ale po co? Nie zawahaliby się ani przez chwilę. Najpewniej „miałby przez nich ogromne kłopoty”. Naraziliby go na „znaczne niewygody”. Wzdrygnął się, wyobrażając to sobie.

Zdawał sobie sprawę z własnych zalet, wiedział, że jest bezinteresowny i w miarę odważny, ale nie miał pewności, czy potrafiłby wytrzymać tortury trwające godzinami, dniami i tygodniami. Może miałby na tyle charakteru, żeby skłamać i zyskać na czasie. Ale co się stanie, gdy nie będzie już czasu?

Brał pod uwagę, że nie tylko on mógłby być torturowany.

Dawni aparaczczyki z KGB zabrali mu obie komórki, zwykłą i szyfrowaną. Wystarczyłby jeden telefon do Wikiego, Leonory, Felicji czy Charley - sygnał od razu by ich zlokalizował.

Middleton zatarł ręce, żeby je ogrzać.

- Jak to zrobimy?

Nieznajomy zrobił minę, jak gdyby właśnie usłyszał

pochwałę swojego gustu w wyborze kochanek. Jego twarz rozjaśnił łaskawy uśmiech, a smutne oczy rozbłysły.

- Proszę się nie śmiać, ale wolę metodę dialektyczną. Co to za figura? - pomyślał Middleton.

- Śmiało.

- Zaczniemy od najprostszego. Interesuje pana Devas Sikari, tak?

Middleton nie namyślał się nad odpowiedzią. - Tak.

- Doskonale. Dlaczego szukając go, przyjechał pan tu, do Rosji? To nie było pytanie. To był test.

- Jeden z moich ludzi zginął, drugi został poważnie ranny w eksplozji na Florydzie, w miejscu związanym z Sikarim.

Wykorzystano ładunek termobaryczny, co wskazywało na pochodzenie rosyjskie, ponieważ armia używała tego rodzaju broni w Czeczenii i...

Mężczyzna uniósł rękę.

- Panie Middleton, proszę mnie nie obrażać. - Uśmiech

przybladł. - Marines wykorzystywali broń termobaryczną w Iraku. Na największą skalę podczas drugiej bitwy o Faludżę.

To były granatniki przeciwpancerne SMAW, używane do ataków na umocnione obiekty - domy, meczety. Sądzi pan, że tego nie wiemy? Boże, tyle może mi powiedzieć sześciolatek, który umie używać Google'a.

- A pan sądzi, że nie mam innych tropów? - odciął się

Middleton.

- Mówię serio, panie Middleton. Jeżeli nie będzie pan ze mną szczery, wartość pańskiej osoby zacznie gwałtownie spadać. Zwłaszcza wobec proponowanych nam kwot.

Middleton postawił kołnierz płaszcza, próbując chronić się przed chłodem.

- Pozwoli mi pan dokończyć? Rosyjskim tropem był Arkady Czerniajew. Mam nadzieję, że uda mi się z nim porozmawiać. Chcę zapytać o te ładunki.

Uśmiech raptownie zniknął.

- Zamierzał pan rozmawiać z Arkadym Czerniajewem?

- Próbowałem.

- Co pan chciał osiągnąć? Słyszysz pan, co pan wygaduje?

- Grupa, którą reprezentuję, nie dysponuje innymi środkami poza perswazją.

- Miał pan nadzieję go przekonać. - Tak.

- Albo jest pan głupi, albo pan kłamie.

Przez moment Middletonowi wydawało się, że się pomylił. Może facet nie był jednak żadnym zdegenerowanym agentem wywiadu, ale człowiekiem Czerniajewa - choć jego protesty trąciły teatralnością.

Zwodził go, próbując sprowokować do jakiejś reakcji. Co

Middleton miał mu powiedzieć - prawdę? Że w jego

przekonaniu Czerniajew i wielu innych Rosjan uważają

wyścig zbrojeń na subkontynencie indyjskim za nieunikniony.

Że na domiar złego Chiny, zanim wyścig rozpocznie się na dobre, zaatakują Kaszmir z kontrolowanych przez siebie Aksai Chin i obszaru Trans - Karakorum, walcząc o wodę, pod pretekstem ochrony jakiejś mniejszości etnicznej, którą w innej sytuacji spisaliby na straty. Rosja mogła albo dać się wciągnąć w wojnę lądową z Chinami, albo pozwolić, by walkę w jej imieniu toczyli inni - na scenę wchodzi

Czerniajew. Jego firma dostała wsparcie finansowe podczas niedawnego kryzysu, ponieważ zobowiązał się wykorzystać swoje

prywatne

wojsko,

by

ułatwić

sformowanie

sojuszniczych sił w Kaszmirze - złożonych być może z nacjonalistów, a na pewno z fanatycznych idealistów, którzy mimo to nie byli odporni na zwykłe przekupstwo. Czy tacy pozostaną, mając do dyspozycji tajne źródło ciężkiej wody i skład broni jądrowej? Czy Czerniajew wiedział o miedzianej bransolecie? Wiedzieli jego rosyjscy sprzymierzeńcy?

Wszystkie te kwestie przemknęły Middletonowi przez

głowę, gdy zastanawiał się nad pytaniem mężczyzny: po co

Czerniajew miałby się angażować w tak dziwaczne przedsięwzięcie?

Tak czy inaczej, Middleton potrzebował informacji.

Postanowił zagrać tą samą kartą. Zaryzykować.

- Nie miałem innego wyjścia, tylko tu przyjechać. Trop

Skorpiona się urwał. Został mi tylko Czerniajew - zablefował.

Reakcja była subtelna, lecz znamienita. Starając się

zamaskować ciekawość, mężczyzna zapytał:

- Co pan wie o Skorpionie?

- A więc nie złożył na mnie oferty? Odpowiedziało mu milczenie.

Middleton wpadł na pewien pomysł. Zaryzykował jeszcze raz.

- Wiem niewiele - powiedział. - Ale byliśmy w kropce.

Nie mogliśmy zrozumieć, jak jeden człowiek mógł zapłacić za całą edukację Sikariego, a po ukończeniu studiów zainwestować w jego spółki? Musiały w tym uczestniczyć firmy albo fundacje.

Bezimienny odpowiedział, jak gdyby było powszechnie wiadomo, że Skorpion wspierał Sikariego.

- Nie pomyśleliście, że zakładano fikcyjne spółki, które należały do jednej osoby. Wielopiętrowe spółki. Takie jak BlueWatch.

- BlueWatch? - Middleton zmarszczył brwi. - Ta firma

ochrony z Dubaju?

BlueWatch był obiektem licznych śledztw, jakie prowadzono w sprawie zabójstw dokonanych na całym świecie przez jego zbyt gorliwych pracowników. Większość dochodzeń zakończyła się bez aktów oskarżenia - podobno firma zastraszała prokuratorów i sędziów, zmuszając ich do odstąpienia od zarzutów.

- Ale pieniądze pochodziły od jednego człowieka kontrolującego wszystkie spółki - ciągnął nieznajomy. - Od Skorpiona.

A więc nie tylko potwierdził, że Skorpion zapłacił za wykształcenie Sikariego i finansował jego firmy, ale przyznał też, że z jakiegoś powodu Bezimienny i jego organizacja pilnie śledziły losy Kaszmirczyka. I niewątpliwie także pragnęli znaleźć Skorpiona.

Co powiedziało Middletonowi, że ta osoba jest kluczem do wszystkich zagadek.

- Jak już mówiłem - rzekł - nie udało się nam znaleźć Skorpiona.

- Wie pan, jak Sikari opisał swojego dobroczyńcę? - ciągnął Bezimienny. - Powiedział o nim, że to „święty, ale z tego świata”.

- Owszem, ale wydaje mi się, że to był błąd w tłumaczeniu. Sikari użył słów jnana i vijnana. Przedrostek „vi”

dodany do rzeczownika zwykle pomniejsza lub odwraca jego znaczenie. Jnana to wiedza duchowa. Vijnana oznacza więc wiedzę praktyczną albo świecką. Czasem vijnana i jnana użyte razem mają oznaczać wiedzę i mądrość. Sikari miał na myśli człowieka, który jest oddany nie tylko sprawom doczesnym, ale i filozofii.

Bezimienny wzruszył ramionami.

- Co jeszcze wie pan o Skorpionie? Proszę powiedzieć, a postaram się zapewnić tu panu lepsze warunki.

- Niewiele... - Jeszcze raz zagrał w ciemno, myśląc o e-mailu od Felicji. - Poza oczywiście miedzianą bransoletą.

Wysiłki Bezimiennego, by ukryć swoje zaskoczenie, spełzły na niczym. Jego reakcja była bardziej widoczna niż przy wzmiance o Skorpionie. Jakby wbrew własnej woli zapytał:

- Jaki jest związek między Skorpionem a miedzianą bransoletą? Co pan ma na myśli, pułkowniku?

Middleton chciał wydobyć z niego coś więcej, wiedział jednak, że gdyby zdradził za dużo, straciłby na wartości, o której mówił Bezimienny.

-

Chyba na razie powiedziałem wszystko, co zamierzałem. Mężczyzna pochylił się, naciskając go:

- Wie pan coś o zastosowanej technologii? Czego się pan

dowiedział?

Middleton z uśmiechem pokręcił głową.

Bezimienny przyglądał mu się przez chwilę, po czym wstał i ruszył do drzwi.

Gdy Middleton patrzył na tył wełnianego płaszcza, tknęło go dziwne przeczucie, jak gdyby los miał go tu zostawić samego. Potwierdził swoją wartość i poznał pewne fakty, ale czy równocześnie nie naraził się przez własną nieuwagę na długie tortury, podczas których będą się chcieli przekonać, co jeszcze wie?

- Co teraz? - Starał się ukryć lęk. - Poszedłem na współpracę. Jak długo zamierzacie mnie tu jeszcze trzymać?

Mężczyzna zastukał lekko w drzwi. Szczęknęły zamki.

Nie oglądając się za siebie, powiedział:

- Niestety, nie ja o tym będę decydował.

Ian Barrett - Bone stał przed kościołem Św. Magdaleny.

Pochylił się, by jego twarz znalazła się na tym samym poziomie co twarze Charley Middleton i Leonory Tesli.

- Wiecie, że popełniacie błąd - powiedział.

- Zawsze może pan ze mną porozmawiać - odrzekła

Tesla. Przeciągle westchnął.

- Nie przyjmuję takiej możliwości. Ile razy...

- W takim razie przekażę wiadomość pułkownikowi

Middletonowi. Jeżeli zechce się z panem skontaktować, mamy

pański numer.

Pochylił się bliżej, kładąc dłoń na dachu taksówki.

- Oferta jest aktualna do północy, ani sekundy dłużej.

Potem niestety rozpocznie się wyścig. Zostaniecie w tyle.

Cały czas krok za stawką zawodników. Mogę to zmienić.

Naprawdę. Ale w zamian oczekuję pewnej rekompensaty.

Uczciwej.

- Powiedziała, że przekażę. - Dała znak taksówkarzowi.

- Dziękuję za pańską...

Zanim znalazła odpowiednie słowo, nie mógł jej już usłyszeć. Obie kobiety patrzyły przez tylną szybę na malejącą sylwetkę eleganckiego w stylu mafiosa, enigmatycznego

Anglika, który patrzył na nie przez czarną chmurę spalin.

Tesla jeszcze raz próbowała się dodzwonić do Middletona, ale bezskutecznie. Z rozmowy z Wiki Changiem dowiedziała

się, że wysłał ich szefowi informacje na temat firm przewozowych podejrzanych o transport materiałów

wybuchowych w Rosji na Florydę i że Middleton wyjechał do Moskwy zbadać ten trop. Ale ich ekspert techniczny także nie

mógł się do niego dodzwonić.

Taksówka skręciła na plac Zgody i włączyła się w gęsty

strumień samochodów płynący na Pola Elizejskie. Charley

odwróciła się od okna z tyłu i głuchym szeptem powiedziała:

- Wiesz, Nora, co w tobie podziwiam najbardziej? -

Zaplotła palce i położyła dłonie na kolanach, patrząc na nie, jak gdyby nie była pewna, do kogo należą. - Przekonałaś tego człowieka i pewnie sama siebie, że mój ojciec żyje.

ROZDZIAŁ 9

LINDA BARNES

W pokoju królowało wielkie łoże niczym tron na podium. Na ściany koloru kości słoniowej spływały szafirowe zasłony. Łóżko przykryte turkusową narzutą z atłasu przypominało połyskującą taflę basenu. Wokół kunsztownie zdobionego gzymsu goniły się pulchne cherubiny. Kochankowie, którzy pocałowali się, obserwując jaskrawo pomalowane łodzie dau, sunące kanałem Creek, mogli trafić za kratki. Tu, w jednym z najelegantszych hoteli w Dubaju, na suficie nad łóżkiem, które pomieściłoby cztery osoby, zamontowano lustro.

Janę drażnił ten prowokacyjny element dekadencji. Jak przystało na kobietę podróżującą po Bliskim Wschodzie, miała na sobie granatową sukienkę z długimi rękawami, o konserwatywnym kroju, jaki wybrałaby stewardessa albo zakonnica, choć żadna z nich nie ściągnęłaby stroju szerokim skórzanym paskiem.

Bez trudu odnalazła telefon BlackBerry, zgodnie z umową ukryty w środkowej szufladzie komody po lewej stronie łóżka.

Punktualnie o ósmej nacisnęła odpowiednie przyciski.

Połączenie trwało dłuższą chwilę, ale gdy w słuchawce

odezwał się głos, nie miała wątpliwości, do kogo należy. To była właściwa osoba.

Archer nauczył się hindi od człowieka, którego nazywał swoim ojcem, Devrasa Sikariego. Jana rozmawiała z nim w tym języku, dumna z biegłej znajomości ojczystej mowy swojej matki. Rzadko jej używała, pozwalając, by uważano ją za niedouczoną Azjatkę, która nie potrafi wykrztusić prawie ani słowa, tak jak po angielsku i francusku. Męczyły ją domysły innych ludzi, zwłaszcza mężczyzn.

- Tak - powiedziała - jest ze mną. Zapewniał mnie, że ma trop i wierzę mu. - Słuchała przez chwilę, kiwając głową i cały czas próbując przyjąć do wiadomości fakt, o którym Archer właśnie ją zawiadomił jak gdyby mimochodem - informację o śmierci jego ojca Devrasa Sikariego. Do tego oczywiście musiało dojść, choć okoliczności nadawały zdarzeniu posmak szekspirowskiej tragedii. Gdy zaczęła się zastanawiać nad konsekwencjami śmierci Sikariego, serce gwałtownie jej zabiło. Naliczyła ich mnóstwo.

- Są jakieś sygnały o Middletonie? - zapytała.

- Zatrzymany przez Rosjan. Wątpię, żebyśmy musieli się jeszcze zajmować tymi amatorami.

- Z Balanem nas przechytrzyli - odparła. - Ale obróciliśmy to na swoją korzyść, prawda?

Pierre'a Crane'a zdradziło lustro na suficie. Jana nie

zauważyłaby dziennikarza, gdyby rozglądała się po pokoju, nie unosząc wzroku nad poziom oczu, lecz dostrzegłszy w lustrze drgnienie drzwi prowadzące do salonu, nie miała wątpliwości co do przyczyny.

Nie ścisząc głosu i nie zmieniając tonu, spytała:

- No więc kiedy transportujemy sprzęt?

- Niedługo - odrzekł Archer. - Zrobimy to. Mędracy panują nad światem.

- Mędracy panują nad sobą - powiedziała szybko i wcisnęła klawisz, przerywając połączenie.

Jana odłożyła komórkę do szuflady i rozpakowując niewielką torbę podróżną, pomyślała o Cranie, który czaił się w sąsiednim pokoju. Reporter budził w niej mieszane uczucia.

Ze swoich źródeł otrzymała na jego temat mnóstwo informacji. Nie chodziło mu o pieniądze ani władzę. Chodziło mu tylko o dziennikarstwo i Artykuł - przez wielkie A. Czyli do pewnego stopnia mogła mu zaufać. Jana nigdy jednak nie wierzyła w zaufanie; to rzadka wiara u córek, których ojców zamordowano. Mimo to Crane miał dostęp do istotnych faktów.

A w tej mętnej sprawie potrzebowała właśnie faktów.

Poza tym niezgrabny reporter jej pożądał, tym łatwiej więc będzie jej wyciągnąć z niego wszystko, co wiedział o Skorpionie, Middletonie i innych.

Kiedy w Londynie uciekła jej dziewczyna, którą wzięła za Charlotte Middleton, Jana puściła Crane'a wolno i zachował się dokładnie tak, jak przypuszczała: niczym szczeniak, który bez względu na smycz czy jej brak nie zamierza oddalić się od swojej pani. Próbowwała wykorzystać swój urok i nakłonić go do puszczenia farby, ale uparcie odmawiał podania szczegółów, twierdząc jedynie, że główny trop znajduje się w Dubaju. Jana natychmiast pojęła, o co chodzi, i zaproponowała, aby pojechali tam razem. Miała zdobyć z pierwszej ręki kontakt ze Skorpionem, a on miał kontynuować zbieranie materiałów do artykułu.

Na to liczył od początku. Zgodził się bez namysłu.

Rozległo się umyślnie głośnie stąpanie, a potem Crane zapukał do drzwi.

- Wejdz.

- Dogadzacie tu sobie - powiedział po francusku. -

Sypialnia po drugiej stronie salonu jest imponująca. Mnóstwo miejsca. I piękny widok. Można zobaczyć te wszystkie dziwne łódeczki. - Trajkotał coraz szybciej. - Opowiedz mi o sobie.

- Pytania - powiedziała Jana. - Ciągłe pytania.

- Dałem ci Dubaj. Za moją historię obiecałaś mi prawdę.

No więc?

- Doprawdy, Pierre, znowu pytanie? Nie możemy się skupić na czymś innym, tylko ciągle rozmawiać? Spędziliśmy

w samolotach długie godziny. - Jana zamilkła, ale nie odrywała od niego spojrzenia. Wiedziała, jak należy prowadzić tę grę, w której ton głosu i ruchy ciała liczyły się bardziej niż słowa.

Crane połknął haczyk.

- Jana, jesteś bardzo atrakcyjną kobietą.

- Ile jest wart komplement od człowieka, który zarabia na kłamstwie? - Słowa znów niewiele znaczyły.

- Jestem dziennikarzem. Nie kłamię... w każdym razie nie za często. Poza tym piękne kobiety nie potrzebują komplementów od brzydkich mężczyzn.

- Ach, więc jestem piękna?

- Dobrze wiesz, że tak.

- A ty nazywasz siebie brzydkim? To absurd. Mężczyzna jest przystojny, kiedy potrafi sprawić, że kobieta czuje się przy nim jak kobieta. Chyba rozumiesz, co mam na myśli. - Jana z uśmiechem założyła ręce pod biustem, unosząc go odrobinę, co było zupełnie zbyteczne.

- Na ogół bardziej się staramy - rzekł Crane.

- Ale jak możemy sobie nawzajem zaufać?

Na tęczówkach Jany Crane dostrzegł karmelowe, prawie złote plamki. Rzęsy miała długie i gęste jak włosy.

- Może powinniśmy zacząć od wzajemnej rewizji osobistej — zaproponował.

Jana uniosła podbródek, przysłaniając oczy rzęsami.

- Doprawdy?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

Na moment utkwiała wzrok w jego oczach, po czym wolno odwróciła się, lewą dłonią unosząc z karku ciężkie włosy i ukazując wąski zamek błyskawiczny, który jak wąż biegł przez całą długość granatowej sukienki.

- Jak wiesz, kobiety należy rewidować starannie i dokładnie.

Gdy Connie Carson ocknęła się po raz trzeci, nie odczuwała mdłości. Wiedziała, że leży w szpitalnej sali i zimne białe światło już jej nie przerażało. Podobnie jak utrata czucia w prawej ręce, tak wyraźna, że Carson bała się spojrzeć, by nie zobaczyć kikuta.

Ale zaskoczył ją widok twarzy, która się nad nią pochylała. Langer, pomyślała. Glina podobny do Kena.

- Jak myślisz, możesz wstać? Chodzić? - spytał szybko.

Słyszając gorączkowy, ściszony głos policjanta, poczuła, jak adrenalina wypełnia jej żyły.

- Musiałaś wsadzić kij w mrowisko. - Rozejrzał się, jak gdyby w obawie, że za chwilę rozgorzeje tu walka. - Chodź.

Musimy iść.

Gdyby Carson nie musiała wyteńczyć wszystkich sił, by usiąść i spuścić nogi z wąskiego łóżka, powiedziałyby, że

właśnie taki ma zamiar. Jej telefon i odpowiedź Middletona musiały zwrócić czyjąś uwagę.

- Pomogę ci. - Langer chciał ją przytrzymać za łokieć lewej ręki.

- Dziękuję, poradzę sobie. Czy doktor Ahmed wie, że pan...

- Ahmed już za bardzo się tobą interesuje. To nie jest nasz sojusznik. - Gdy stanęła o własnych siłach, Langer rzucił jej szlafrok, zerwał z ramy łóżka jej kartę i wcisnął do torby. - Dzwonił do swoich przyjaciół w Pakistanie.

Pokój nie zawinął jej w oczach, ale wykonał pół obrotu - niedokończony piruet.

- Hej, spokojnie, Connie, trzymaj się. - Langer podskoczył do niej, złapał ją w pasie i pomógł jej włożyć niebieski puszysty szlafrok, o dwa rozmiary za duży na jej drobną figurę. - Jesteśmy na trzecim piętrze. Za drzwiami skręcamy w prawo, idziemy dwadzieścia kroków do drugich drzwi po lewej, trzy piętra schodami w dół, do końca jest poręcz. Słyszysz? Automatyczne drzwi na dole wychodzą bezpośrednio na zewnątrz. Na końcu chodnika stoi czarny van. Kiedy podejdziesz, otworzą się drzwi z tyłu. W samochodzie znajdziesz ubranie.

- Dlaczego? - szepnęła Carson, opadając z powrotem na łóżko i postanawiając na razie nie wciskać guzika

wzywającego pielęgniarkę. Zastanawiała się, czy można

zaufać Langerowi - czy może całe zdarzenie było

halucynacyjnym przywidzeniem. Nagle drzwi otworzyły się i

Langer wrócił, tym razem pchając nosze na kółkach.

- Kładź się.

- Nie odpowiedziałeś.

- Jak brzmiało pytanie?

- Dlaczego mam ci zaufać?

Langer uniósł ją, jak gdyby ważyła nie więcej niż

trzyletnia dziewczynka, i położył na noszach. Już rozchyliła

usta, żeby krzyknąć, gdy usłyszała odpowiedź.

- Wiki Chang.

- Wiki...

- Connie, próbujemy uratować ci życie.

W łóżku Jana nie uważała się za dziewczynę z filmu,

dziwkę rozkładającą nogi przed każdym bohaterem, każdym

czarnym charakterem, ale za wielką reżyserkę. Owszem, była

tą dziewczyną, ale miała pełną kontrolę. Czasem dziewczyna

wyglądała jak wierne odbicie Jany - zmysłowa bliźniaczka o

ciemnych, lśniących włosach. Czasem była młodszą Janą,

Janą, którą kiedyś była, młodszą siostrą braci, którzy zbyt

wcześnie ją nauczyli, do czego nadają się dziewczyny takie

jak ona. Czasami była wyniosłą blondynką o alabastrowo

białej skórze. Jej reżyserska dusza rzadko miała pole do

popisu, jakie dawał apartament w Dubaju: kieliszki szampana na nocnym stoliku; jedwabna pościel połyskująca w przytłumionym świetle. To nie było tandetne porno, ale thriller, luksusowa fantazja w stylu Jamesa Bonda.

Musiała przyznać, że Crane nie został najlepiej obsadzony w swojej roli. Jego długie kończyny były blade jak brzuch ryby. Miał nijakie, matowe włosy i długi nos, ale zaskakująco muskularne, mocno zbudowane ciało. Jana patrzyła na odbicie w lustrze na suficie, przyglądając się rękom i nogom Crane'a leżącym na jej ciemnej skórze jak biała rozgwiazda.

Jana niewiele pragnęłaby zmienić w swoim wyglądzie.

Podobały się jej krągłości biustu i bioder. Wolałaby mieć nieco krótszy, bardziej zadarty nos. Poza tym wolałaby się nie pocić. Dziewczyny w filmach zawsze wyglądały w łóżku efektownie i olśniewająco, w trakcie i po najbardziej namiętnym z wysiłków. Dziewczyny Bonda były uroczo zaróżowione. Jana się pociła, więc ujęcia w zbliżeniu wyglądały realistycznie i nieestetycznie.

Crane parsknął. Jana przycisnęła dłoń do dolnej części jego pleców, mrucząc mu do ucha, poruszając wolno biodrami, zachęcając go, by został dłużej. Zauważyła, że reżyserzy filmowi skupiają się na przyjemności mężczyzny.

Reżyserka Jana skupiła się na własnej. Czemu nie? - pomyślała. Musiała jakoś zabić czas.

Crane uważał, że w niezwykle sprytny, subtelny i zawołowany sposób wypytywał ją o Skorpiona i Iana Barrett - Bone'a. Jak gdyby to oni pociągali za sznurki i rozdawali karty w tym przedsięwzięciu. Tak jak w słowach Buddy z sanskryckiego motta, które wyryto na miedzianej bransolecie:

Budowniczość kanałów regulują rzeki; wytwórcy strzał prostują je; cieśle nadają kształty drewnu; mędrcy panują nad sobą samymi.

Być może Archer miał rację, zmieniając brzmienie ostatniej części, mędrcy panują nad sobą samymi na mędrcy panują nad światem. Wcześniej zmienił już drugą frazę: zamiast wytwórcy strzał prostują je, brzmiała łucznik wypuszcza strzałę (Archer - łucznik (przyp. tłum.)).

Ten przykład zarozumiałstwa wywołał uśmiech na jej twarzy. Po chwili Archer odpłynął na drugi plan i Jana zobaczyła w myślach Devrasa Sikariego.

Natychmiast zmienił się jej nastrój. Udała drugi, bardziej teatralny orgazm. Kiedy się wiała, przygnieciona ciężarem jego ciała, Crane zsunął się z niej i położył obok, obejmując jej brzuch kłocowatym ramieniem.

Wyglądał na zupełnie zadowolonego z siebie, jak uczeń, który celująco zdał egzamin. Gdy wreszcie odzyskał oddech, powiedział:

- Nie sądzisz, że teraz zasługuję na odpowiedź na parę

pytań?

- Oczywiście, Pierre. - Tak powiedziałyby każda z uległych dziewczyn Bonda. - Ale najpierw muszę skorzystać z łazienki, kochanie.

Gdyby miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy przeciągnął ją na swoją stronę, teraz dotarli do punktu krytycznego, teraz mężczyzna mógłby protestować, próbować ją zatrzymać albo uciec. Reżyserka Jana obserwowała akcję na ekranie na suficie.

- Pospiesz się - rzekł Crane.

Brzęk dzwonka oznajmił przyjazd windy. Odwracając głowę na bok, Carson przeczytała tabliczkę, która przestrzegała personel szpitalny, aby nie dyskutował w miejscach publicznych o stanie zdrowia pacjentów. Langer wciąż trzymał sig sauera P226 pod prześcieradłem, gdzie miała do niego łatwy dostęp. Carson zastanawiała się, czy zdołałaby dosięgnąć pistoletu - Langer przekonał ją, że mogła go potrzebować.

Jadąc windą, patrzyła na białe światło. Przy każdym mijanym piętrze Langer mówił:

- Spokojnie, Connie. Już niedaleko. Niedaleko.

Gdy dotarli na poziom sutereny, Langer wypchnął nosze z windy, rozglądając się w lewo i prawo.

- Ten korytarz prowadzi do rampy rozładunkowej -

powiedział. Carson bezsilnie patrzyła w sufit.

- Gotowa? - spytał Langer.

Skinęła głową, czując suchość w gardle.

Nagle Langer zaczął biec, tocząc nosze nieskończenie długim korytarzem. Za automatycznymi drzwiami, które rozsunęły się z szelestem, poczuła ciepłe powietrze, zapach oceanu, promienie słońca.

Gdy nosze zaczęły zjeżdżać po rampie, Carson zobaczyła czarnego chevroleta express, który czekał na jej końcu.

Usłyszała dobiegający z niedaleka pisk opon.

Langer popędził z nią w kierunku furgonetki, gdzie przy odsuniętych drzwiach czekał Jimmy Chang, którego Jean - Marc Lespasse ochrzcił „Wiki”. Zawołał do niej, rozpaczliwie machając ręką, oczy miał szeroko otwarte.

W kierunku rampy mknął czarny lincoln town car.

Carson wiedziała, że to ktoś związany z Sindhu Power.

Firma mogła nie istnieć, ale ludzie strzegący jej sekretów żyli i mieli się doskonale.

- Tu się musimy pożegnać, Connie - powiedział detektyw.

- Co?

- Chyba nie przypuszczasz, że moje kompetencje sięgają spraw, którymi zajmujesz się ze swoimi ludźmi. W tym momencie mogę tylko przejść do obrony. Ruszaj się!

Wyciągnął sig sauera i odwrócił się w stronę

nadjeżdżającego lincolna.

Samochód zwolnił.

- Langer...

- Idź!

- Dziękuję.

Chang przyskoczył do Carson i podniósł ją z noszy, czując, jak jej poturbowane ciało sztywnieje mu w ramionach.

Zapakował ją do vana, który z rykiem silnika ruszył do wyjazdu.

- Hej, świetnie wyglądasz - powiedział Chang, sadwiąc się na fotelu.

Carson mogła sobie wyobrazić, jak wygląda bez makijażu, w za dużym szlafroku, boso. Poczowała mrowienie w prawej ręce.

- Znaczy, jesteś podobna do siebie. Błada, ale poza tym...

Przebudowane

wnętrze

furgonetki

wyglądało

jak

skrzyżowanie ambulansu z pracownią komputerową, gdzie

Wiki miał kąt do pracy i łóżko. Na jednej ścianie umocowano

długą półkę oplataną kablami, na której stały trzy włączone

panoramiczne monitory LCD oraz dwie biurowe lampki.

Pulsowały małe zielone światelka.

- Chcesz iść do łóżka? - zapytał Chang. - Cholera, głupio to zabrzmiało. Znaczący... mogłabyś się położyć... przecież miałaś operację. Ta ręka musi cię piekielnie boleć.

- Cieszę się, że cię widzę, Wiki. - Też był podobny do samego siebie, w ogóle nie przypominając przystojnego, postawnego awatara z Second Life. Prawdziwy Chang wyglądał jak wyrośnięty dwunastolatek o okrągłej twarzy, w za dużych okularach i źle ostrzyżony. - Nie wiem, co zrobiłeś temu gliniarzowi, ale złagodniał jak baranek. Kiedy się ocknęłam, myślałam, że zaraz mnie aresztuje.

- Langer nie jest taki zły. Jego ludzie mieli oko na dzielnicę przemysłową, która...

Wyleciała w powietrze. Ta, w której zginął Jean - Marc.

Chang chyba odgadł jej myśli.

- Tak, policja z Tampa miała informacje, że jedna z tamtejszych firm to przykrywka szajki meksykańskich handlarzy narkotyków z kartelu Juarez. Obserwowali biuro.

Gliny umieściły nawet swojego człowieka w recepcji.

Przed oczami Carson mignęła twarz Jean - Marka.

- Szkoda, że nie mógł...

- Zamknęli biznes parę miesięcy temu, zanim Sindhu

Power & Electric zwinęło żagle. Gliniarze z Tampa mówią, że

Sindhu wyglądało jak zwykła firma.

- Ale jeżeli mieli człowieka w recepcji, musieli coś zauważyć.

-
Lepiej: zachowali kopie wszystkiego, listów przewozowych i tak dalej. Przetrzęsali pojemniki na śmieci, szukając haków na kurierów narkotyków, ale praktycznie przeglądali każdy papierek. Langer mówił mi, że w Sindhu niszczyli wszystko jak leci, ale raz zespół obserwacyjny znalazł płytę. Pewnie wpadła pod biurko czy coś i sprzątacze ją wyrzucili.

- Masz ją?

Chevrolet pędził w kierunku drogi 275.

- Langer próbował ją odczytać, mówił, że jest zaszyfrowana na amen. Doszedł do wniosku, że jeżeli zwinęła się firma z taką nazwą jak „Sindhu”, ktoś powinien to sprawdzić. Zawiadomił swojego kumpla z Bezpieczeństwa Krajowego. Facet odezwałby się do niego za cztery czy pięć lat.

- Ale masz tę płytę?

- Pewnie. Jasne, że tak.

Ręka pulsowała bólem; Carson była wyczerpana i chciało się jej pić, ale widząc jego entuzjazm, musiała się uśmiechnąć. Potem przypomniała sobie Jean - Marka i poczuła dławienie w gardle. Chang był taki młody. Choć miała zaledwie kilka lat

więcej, w porównaniu z nim czuła się stara.

- Gadaj co i jak - powiedziała. - Co robimy? Kto prowadzi tego busa?

- Przyjaciel. Jest w porządku. Był sanitariuszem w wojsku, na wypadek, gdybyś...

- Pomyślałeś o wszystkim. Jego uśmiech był zaraźliwy.

- Jak dasz radę, to jedziemy do wojskowej bazy lotniczej.

- Do MacDill? Na polecenie Middletona? Młody człowiek spoważniał.

- Niezupełnie... Connie, pułkownik Middleton zaginał. -
Co?

- Nie da się namierzyć żadnego telefonu, nie ma śladu.

Wyjechał do Rosji i przepadł.

- Nie miałeś od niego żadnej wiadomości?

- Ani słowa. Tesla przekaże ci szczegóły.

- Nie pojedziesz ze mną?

- Mam zostać na gospodarstwie.

- Jasne. Masz nie wychodzić z pracowni, tak?

- Popatrz - odrzekł, rozpromieniając się i szeroko rozkładając ręce, by pokazać wnętrze furgonetki. - Zabrałem ją ze sobą.

Pierre Crane uważał, że ogólnie rzecz biorąc, nie poszło mu źle. Żył. Jeżeli nie był bliższy rozwiązania zagadki sfinansowania edukacji Sikariego i tożsamości Skorpiona, to

przynajmniej zbliżył się do kobiety, której los w jakiś sposób splątał się z życiem Skorpiona. Która chciała go zabić albo wykorzystać. Kobiety, która najprawdopodobniej mu dorównywała. Dobrze spisał się w łóżku. Podobno Casanova był jeśli nie brzydki, to na pewno niewyróżniał się żadnymi walorami fizycznymi.

Ocenił sytuację, stwierdzając, że niebezpieczeństwo jest minimalne. Udowodnił to ich seks. Poza tym Crane miał świadomość, że co najmniej dorównuje jej pod względem sprawności fizycznej. W końcu znalazł się na kilku formach walki wręcz, a był pewien, że nie dojdzie do użycia broni.

Przecież był z nią, gdy pozbywała się pistoletu przed wejściem na terminal Heathrow. Przecież siedział obok niej przez cały długi lot i towarzyszył jej w taksówce, którą pojechali prosto do hotelu. A teraz była naga...

Zastanawiał się, co mogłaby dodać do historii trzech młodzieńców z Azji Południowej, którym zafundowano wykształcenie i kapitał założycielski ich firm - czyli do odkrytej przez niego „ciekawej anomalii”. Do historii Skorpiona. Jako dziennikarz Crane hołdował maksymie „idź tropem pieniędzy”. Skorpion zdobywał pieniądze i miał pieniądze, ale Crane irytował się, że mimo upływu miesięcy wciąż nie znalazł żadnej wskazówki, kim ten człowiek właściwie jest. Nie ulegało wątpliwości, że nie wiąże go

lojalność wobec żadnej władzy; tacy ludzie działają ponad granicami państw. Skoro pieniądze i gospodarka były globalne, przestępczość także miała globalny wymiar. Być może powinien mniej zwracać uwagę na bohaterów politycznych intryg, a bardziej na figury przestępczości zorganizowanej. Przestępczość zorganizowana dysponowała sieciami, których potrzebował międzynarodowy terroryzm, miała kanały przerzutowe, dostawców fałszywych dokumentów, broń i kontakty umożliwiające pranie brudnych pieniędzy. Pieniądze krążyły z prędkością światła, rodząc jeszcze więcej pieniędzy i fortuny, za które budowano pałace na pustyni, całe miasta takie jak Dubaj. Czyj majątek stał za tak błyskawicznym rozwojem? Oczywiście, pieniądze z ropy, ale Crane słyszał opowieści o bogactwie potężnych oligarchów rosyjskich.

Z łazienki dobiegł szum wody.

Znow pomyślał o ciele Jany.

I myśli o Skorpionie zeszyły na odległy plan.

Wiki Chang włączył górne światło. Carson zaczęła

mrużyć powiekami, dopóki źrenice nie przyzwyczyły się do

ostrego blasku. Przypomniała sobie, że jest w czarnej

furgonetce - która zmierzała do wojskowej bazy lotniczej - i

leży na łożku, niewiele różniącym się od noszy na kółkach, na

których uciekła ze szpitala, tyle że było przyśrubowane do

ściany naprzeciwko monitorów.

- Czyja...

- Próbowałaś się zdrzemnąć na stojąco. Złapałem cię,

zanim upadłaś, i przyniosłem tutaj. Jestem silniejszy, niż się

wydaje. - Twarz Changa oblała się purpurą. - Nie żebyś była

ciężka, nie to chciałem powiedzieć, hm... mam nadzieję, że się

nie obrazisz.

Jest naprawdę rozkoszny, pomyślała Carson.

- Nie, nie, nie wstawaj - powstrzymał ją. - Powinnaś

leżeć. Sprawdziłem, jak ma wyglądać opieka pooperacyjna,

ale naprawdę dobrze, że mam twoją kartę. Za dwadzieścia

minut

musisz

wziąć

środki

przeciwbólowe.

Już

przygotowałem. Antybiotyki będą...

- Na pewno masz wszystko pod kontrolą - przerwała mu

Carson. - Proszę cię, wracaj do pracy. Mówiłeś, że płyta była

zaszyfrowana...

- Niezła zagwozdka.

- Nie udało ci się jej odszyfrować? - Carson nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna, starała się więc nie dać po sobie poznać, że jest zawiedziona. Wszyscy mówili, że Wiki Chang jest najlepszy, ale jeżeli Langer, hobbysta, i policja z Tampa nie potrafili złamać szyfru, a kumpel z Bezpieczeństwa Krajowego, zawodowiec, też już próbował...

- No nie, rozpracowałem płytkę. Widzisz? - Chang pokazał jej cienkiego laptopa, jak gdyby trzy wielkie monitory były tylko dekoracją. Przechylił ekran w jej stronę i Carson z aprobatą pokiwała głową.

- Nie wiem nawet, na co patrzę.

- To jest plik zip, archiwum zawierające inne pliki.

Otworzyłem go fcrackzipem, fantastycznym programem do łamania haseł na Linuksa. Znaczy, hasło nie było specjalnie skomplikowane, ale gdyby nawet było, mógłbym użyć masy innych narzędzi kryptoanalitycznych. Szyfrowanie zipów jest po prostu za słabe.

- Wierzę ci na słowo - powiedziała Carson. Chang tłumaczył dalej, pokazując palcem na ekran.

- Wszystkie zakodowane pliki to grafika, widzisz?

Zdjęcia zrobione aparatem Nikon. Z wyjątkiem tego. Bardzo fajny, ale to nie fotografia tylko schemat, popatrz, plan zapory

hydroelektrowni. Ustaliłem, że pochodzi z rysunków architektonicznych i projektów zapory Baglihar.

- W Dżammu i Kaszmirze.

- Zgadza się, ale widzisz to? Schematy zostały przerobione.

- Przerobione?

- Coś tu dodano. Wygląda to na plan zainstalowania reaktora ciężkowodnego wewnątrz zapory. W czymś w rodzaju podziemnej komory.

Carson nie potrafiła ukryć podniecenia w głosie.

- Ależ to może być to, czego szukaliśmy, co Sindhu

Power & Electric wywoziło za granicę, części reaktora ciężkowodnego. Jest tam informacja, kiedy reaktor zacznie działać? Podają datę? Musimy się skontaktować z Middletonem.

- Spokojnie, Connie. Te plany - poprawki - wpakowania reaktora ciężkowodnego do zapory... Przyglądałem się im, i przepraszam, ale albo są totalną bzdurą, albo są niekompletne.

W takiej formie wyglądają na doskonały kant, sprytny sposób, żeby usprawiedliwić jakieś kosmiczne wydatki, ale tak naprawdę do niczego się nie nadają. Nie bez powodu złożyli wniosek, ale nie opatentowali tej metody. Zdaje się, że ta cała technologia „miedzianej bransolety” opiera się na błędnych założeniach.

- Miedzianej bransolety?

- Tak ją nazywają z powodu kształtu miedzianych rur -
wyjaśnił.

- No dobra, czyli reaktor nie zacznie działać? - Od
wielkich szkieł Changa odbiło się światło i Carson przechyliła
głowę, aby mieć lepszy widok na ekran laptopa.

- Na to wygląda - odparł młody człowiek. - Możliwe, że
istnieje jakiś sposób, żeby rozwiązać ten problem, ale na razie
nikt chyba nie opracował odpowiedniej technologii. W
każdym razie na zaporze nie będzie reaktora ciężkowodnego...
Connie, ta sprawa śmierdzi z daleka.

- Myślisz, że te pliki to jakaś pułapka, taka jak biuro
Sindhu?

- Myślę, że na dysku jest coś więcej.

- To znaczy?

- Popatrz na te zdjęcia. - Change wyświetlił na ekranie
rząd fotografii.

Gdyby Carson miała sprawną rękę i bark, wzruszyłaby
ramionami.

- Wygląda jak biuro, biuro Sindhu. - Obraz tego
pomieszczenia był wypalony w jej siatkówkach, tak jak widok
leżącego Jean - Marka, wpatrującego się szklanym wzrokiem
w przestrzeń.

- Pomyślałabyś, żeby zaszyfrować coś takiego? - zapytał

Chang. - Zdjęcia biurka, krzesła, stołu?

- Może po prostu zapisali je na tej samej płycie.

- Może. Albo chodzi tu o coś innego. No bo po co

pakować niewinne fotografie razem z takim skomplikowanym planem? Doszedłem do wniosku, że w zdjęciach musi się kryć coś więcej.

- Ale jak mógłbyś to odkryć, jeżeli...

- Steganografia - powiedział Chang. - Dzięki tej technice można wbudować informację w plik, ale żeby ją odczytać, nie wystarczy prosty program deszyfrujący - trzeba dojść, jak to zrobiono, bo jest masa sposobów. Kiedy byłaś nieprzytomna, próbowałem kombinować paroma metodami i w końcu rozgryzłem to programem Digital Invisible Ink Toolkit. No i w zdjęciu na pewno jest ukryta informacja. Odczytałem ją, ale też jest zaszyfrowana.

- I nie masz klucza. - Zagadki się nawarstwiają,

pomyślała Carson. Ile piętér trzeba będzie jeszcze pokonać?

- Jeszcze nie - odrzekł Chang. - To oldskulowy ręczny

szyfr - widać po tym, że to same litery - ale zaraz, zaraz...

popatrz na ich częstotliwość! Od lat nie widziałem niczego

takiego, ale to może być szyfr Playfair.

- Playfair? - powtórzyła Carson. - Używali go szpiedzy

dawno temu, podczas drugiej wojny światowej, prawda? Jak

znajdziesz słowo - klucz?

- Jeżeli to rzeczywiście Playfair, to będzie ciąg dziesięciu do piętnastu niepowtarzających się liter. Jedno słowo, ale czasem kluczem jest dłuższa fraza z książki, tekstu piosenki...

- Fraza, którą na pewno znają wszyscy członkowie grupy.

Chang skinął głową.

- Każdy, kto musi rozszyfrować wiadomości.

- Wiki, nazwałś technologię wykorzystaną w tym ciężkowodnym reaktorze „miedzianą bransoletą”, zgadza się?

- Aha.

- Kiedy byliśmy we Francji, widzieliśmy prawdziwą „miedzianą bransoletę”. Ozdobę na rękę. - Carson chciała to zilustrować, próbując objąć prawą dłońią lewy nadgarstek, ale syknęła z bólu. - Były na niej wygrawerowane słowa, w hindi albo...

- W sanskrycie. Chcesz wziąć leki przeciwbólowe?

Trochę za wcześnie, ale...

- Poczekam. Widziałeś ją? Tę bransoletę?

- Ze słoniem i księżycem? No pewnie. Middleton przysłał mi ją do pracowni. Mam ją przy sobie.

- Wiesz, co tam jest napisane?

- Pewnie, że wiem. To cytat z Buddy. „Budownicowie kanałów regulują rzeki; wytwórcy strzał prostują je; cieśle nadają kształty drewnu; mędrcy panują nad sobą samymi”.

- Skąd pochodzi ten cytat?

- Z tekstu Dhammapada (Rozdział 6 „Mędrzec”, wers 80,
przekład Zbigniewa Beckera (na podstawie tłumaczenia na
angielski) (przyp. tłum.).). Ze zbioru słów Buddy.

- Czy to może być słowo - klucz? Ta Dhamma... coś tam?

Chang pokręcił głową.

- Za dużo powtarzających się liter.

- W takim razie może sam cytat jest kluczem?

- Dość długi - odparł Wiki. - Spróbujmy.

- Chyba pamiętam, jak to się robi - powiedziała Carson. -

Zapisuje się kwadrat pięć na pięć, prawda?

- Aha. Najczęściej bierze się do tego pierwszą literę

każdego słowa frazy (W angielskim oryginale cytat brzmi:

"Irrigators direct the waters; fletchers fashion the shaft;

carpenters bend the wood; the wise control themselves"

(przyp. tłum.).) Czyli zaczynamy od „I”, potem „D”, „W”,

„F”, a potem „A”, drugą literę ze słowa „fashion”, bo użyliśmy

już „F”, później „H”, „S” i tak dalej. Wstawiasz te litery na

początku kwadratu, po jednej w każdej kratce, a po nich w

kolejności pozostałe litery alfabetu, pomijając „Q”, a czasem

„J”. Jeżeli się okaże, że to nie to, próbujemy z ostatnimi

literami albo...

- Czyli jest mnóstwo możliwości. To może trochę

potrwać.

- W parę minut napiszę programik w Perlu. To naprawdę

o wiele szybciej, niż gdybyśmy mieli wypełniać kwadrat na chybił trafił.

- W Perlu?

- Przepraszam. To naprawdę prosty język komputerowy...

pewnie zanudzam cię na śmierć.

- Nie, Wiki, uwielbiam łamigłówki. - Urwała. Ból

zaczynał dokuczać jej nie na żarty; w całej ręce czuła palący

ogień. - Może dałbyś mi jakąś tabletkę?

- Oj, przepraszam. Zapomniałem.

Chang z hałasem odjechał na krześle w głąb furgonetki,

znikając Connie z oczu. Z torby na ramię wydobył fiolkę

tabletek, a z półki z monitorami wziął papierowy kubek i

butelkę wody, po czym wrócił do jej łóżka.

- Połóż się i odpręż, dobra? Bledniesz z każdą sekundą.

- Ale...

- Hej, zalecenie lekarza.

Carson posłusznie połknęła tabletki. Chang podjechał z

powrotem do półki, skierował lampkę na klawiaturę laptopa,

poruszył palcami i zabrał się do pracy.

- To nie pierwsza litera każdego słowa - powiedział. - Ani

ostatnia. Cholera.

Carson zamknęła oczy. Ukrycie klucza szyfru w cytacie z

bransolety miało sens.

- No i wierz tu w przeczucia. Co teraz?

- Hej, spokojnie. Jeżeli potrafią coś zaszyfrować, to ja potrafię to złamać. Chwila. Mam! Dokładnie to, o co chodzi, program cacuszko, który napisałem kiedyś na turniej zagadek.

- Turniej zagadek?

- Aha, trochę żenada, co? Dla Amerykańskiego Związku Kryptograficznego.

Taka

zbieranina

emerytów

krzyżówkowiczów i paru maniaków komputerowych. Nigdy nie sądziłem, że to mi się kiedyś przyda, ale zobaczmy... Tak, wystarczą najwyżej dwie minuty. Na tym maluchu program będzie działał znacznie szybciej niż na komputerze, na którym go napisałem.

Palce Changa tańczyły na klawiaturze laptopa.

- Jak się czujesz, Connie? Tabletki działają?

- Aha, chyba tak. - Ogień ustąpił i Carson z ulgą powitała pulsujący ból, który pojawił się w jego miejsce.

- Hej, hej, mamy ich. Kurczę, patrz, jakie diabelstwo, czwarta litera w każdym słowie. - I co to za wiadomość?

- O cholera - mruknął pod nosem Chang. - Niech to szlag jasny. - Nie udało się... - Porażka głęboko przygnębiła Carson.

Skrzypnęły kółka krzesła i Connie zobaczyła ciemne oczy

Changa spoglądające na nią zza okularów.

- Udało się jak diabli - powiedział. - Ale posłuchaj, co się okazało: nie zamierzają uruchomić reaktora. W ogóle nie ma żadnego ciężkowodnego reaktora i nigdy nie było. Sindhu nie wysyłało żadnej „miedzianej bransolety”. „Miedziana bransoletka” to nie jest element ułatwiający działanie reaktora jądrowego, tylko organizacja.

- A listy przewozowe? Przecież Sindhu coś wysyłało.

- Wiesz, gdzie jest ta elektrownia, nie?

- Na rzece Cenab.

- Projekt finansują Indie, ale zaporę zbudowano na spornym terytorium, między Pakistanem a Indiami.

- Wiem - odparła zniecierpliwiona Connie. - To odwieczni wrogowie.

- Którzy mają broń jądrową - dodał Chang.

- Aha. I co z tego?

- To, że nie wysyłali elementów żadnej miedzianej

instalacji

rurowej.

Wysyłali

termobaryczne

ładunki

wybuchowe. Zamierzają wysadzić w powietrze całą zaporę

Baglihar.

Tak jak w szufladzie komody ukryto telefon BlackBerry,

wewnątrz spłuczki w łazience przyklejono pistolet browning

buck mark .22. Jana uznała to za komplement.

Dwudziestkadwójka była dla strzelców wyborowych. Większa broń urządziłaby tylko niepotrzebną masakrę.

Łazienka z pewnością nie była mniejsza od pokoju, który dzieliła w dzieciństwie z dwoma braćmi. Wannę i prysznic parowy obramowano białym, żyłkowanym marmurem, na ścianach i podłodze lśniły płytki w morskim kolorze.

Szybko skorzystała z toalety, spuściła wodę i odkręciła ciepłą wodę w jacuzzi, aby szum zagłuszył odgłos nakręcania tłumika gemtech na gwintowaną lufę trail - lite.

Zajrzała do sypialni. Crane siedział nago na łóżku, przeglądając menu room service'u.

- Pierre - powiedziała. - Chodź tu. Crane nie uniósł wzroku znad menu.

- Chciałem nam zamówić...

- Tu będzie lepiej - przerwała mu, podnosząc głos, żeby usłyszał ją przez plusk wody.

- Za moment - odrzekł, sięgając po telefon. Zamówił coś.

Na chwilę położyła pistolet na brzegu jacuzzi, otworzyła słoiczek z solą do kąpieli i głęboko wciągnęła w nozdrza aromat jaśminu. Na skraju wanny leżał gruby stos złożonych w kostkę ręczników.

Zerkając w lustro nad podwójną umywalką, poprawiała

włosy.

- Pierre, proszę.

Crane zsunął się z łóżka, otworzył drzwi łazienki i stanął w nich nago.

- Zamówiłem nam kawior...

Jana zatrzymała go w progu, mierząc z pistoletu z tłumikiem w jego kolano. Była za daleko, by mógł wytrącić jej broń z ręki jednym z ciosów karate.

W oczach Crane'a odmalował się szok.

- Zdziwiony, Pierre? Masz jedno wyjście. Jeżeli chcesz żyć, odpowiedz na moje pytania. Po pierwsze, co wiesz o Haroldzie Middletonie?

Błysk zrozumienia w oczach. Crane nie próbował blefować.

- To były oficer amerykańskiego wywiadu wojskowego.

Być może morderca. Nie jestem pewien. Należy się domyślać, że coś go łączy ze Skorpionem. Dlatego trafiłem do Londynu.

Posłuchaj, jestem po twojej stronie.

- Gdzie on jest?

- Nie wiem. Przysięgam.

- Co jeszcze o nim wiesz? Gadaj.

- Jak pamiętasz, miałem niewiele czasu, żeby cokolwiek ustalić. Zatrzymałaś mnie w jego domu.

- Kłamiesz. - Ależ...

- Mów. - Powiedziała to spokojnie, nie wymachując teatralnie pistoletem, co jeszcze bardziej go przestraszyło.

- Widziałem coś w jego domu. Notatkę. O jego córce.

- Jaką?

- To był jej adres w Paryżu. Miała się zatrzymać w hotelu Queen Elizabeth. I zameldować pod panińskim nazwiskiem matki.

Jana wiedziała, że córka czasem współpracuje z Ochotnikami. Odnotowała tę informację w pamięci.

- Jakim nazwiskiem?

- Chyba Rosewald.

- Dobrze. Teraz powiedz mi wszystko, co wiesz o Skorpionie. Tylko bez żadnych sztuczek. Żadnego gruchania. Tylko fakty.

Jego wzrok błędził w poszukiwaniu szansy na kontratak.

Ale był nagi i stał za daleko, by próbować sztuk walki.

Poczucie zdrady malujące się na jego twarzy było udawane; nie ufał jej, a w każdym razie w głębi duszy wiedział, że nie wzruszą jej urażone spojrzenia ani błagania o litość.

- Sponsorował Sikariego i paru innych. Anonimowo. Ale nie jestem pewien, czego od nich chciał. Bierze udział w tej sprawie - czymkolwiek jest - dla pieniędzy. Jeżeli to w ogóle „on”. Nawet tego nie jestem pewien. Możliwe, że to grupa ludzi. Pomyśl o tym.

- Jaki trop prowadzi do Dubaju? Dlaczego tu jesteśmy?

Kiedy przyjrzał się jej minie, w jego oczach zgasły ostatnie ogniki wesołości.

- Skorpion jest powiązany z BlueWatch - powiedział Crane, z coraz większym wysiłkiem starając się zachować spokój w głosie. - Firma ma tutaj siedzibę.

Na tę wiadomość jej oczy rozbliły.

- Ta wielka agencja ochrony. Tak... Mów dalej.

- Firma - i prawdopodobnie Skorpion - prowadzą jakieś interesy z Indiami i Pakistanem.

- Co to za interesy?

- Nie wiem. Naprawdę.

Dziennikarz zaczynał już drżeć ze strachu. Zastanawiała się, czy nie wybuchnie płaczem.

- Pytam jeszcze raz: wiesz coś więcej o jego tożsamości?

- Nie, przysięgam. Błagam, Jana...

Uwierzyła mu.

- Jeszcze jedno pytanie. Kim byli ci ludzie w limuzynie wtedy wieczorem, pod Paryżem?

- Myślałem, że wiesz. Próbowłaś ich zabić.

- Próbowalam ich zabić, bo ich nie rozpoznałam. Mów.

- Zasugerowałem się, że jeden z nich to Skorpion.

Pomyliłem się. Nie powiedzieli mi o sobie nic więcej.

Przypuszczam, że próbowali wyciągnąć ze mnie jakieś

informacje. Wysłali mnie do domu Middletona w Londynie.

Ale nie wiem po co.

Ton i barwa jego głosu przekonał ją, że mówi prawdę.

Crane uśmiechnął się blado.

- No więc zrobiłem swoje. Teraz twoja kolej

odpowiedzieć na moje pytania. - Sięgnął po ręcznik, żeby przykryć nagość.

Natychmiast zorientowała się, że to zmyłka - zdradziła go

uległa postawa ciała. Była więc przygotowana, gdy cisnął

ręcznik w jej stronę i skoczył naprzód w jakimś klasycznym

ataku

karate, biorąc zamach długim ramieniem i

wyprostowaną dłońią celując prosto w jej szyję.

Wystarczyło cofnąć się o pół metra i kilka razy nacisnąć

spust.

Odrzut był minimalny.

ROZDZIAŁ 10

JENNY SILER

Coś się dzieje, pomyślał Harold Middleton, słuchając

stłumionych dźwięków dochodzących ze świata za spękany

tynką ścian jego celi. Po tak długim czasie spędzonym w

odosobnieniu Middleton przypominał ślepcę o zmysłach

nastrojonych precyzyjnie jak struny skrzypiec Szepessyego,

ukochanego instrumentu Felicji. Nauczył się rozróżniać

odgłos kroków w korytarzu za drzwiami i rozpoznać ich
znaczenie: czy codzienną porcję zupy zalatującej zjełczalym
tłuszczem podadzą mu ze złośliwym, czy tylko apatycznym
uśmiechem; czy pytania, jakie za chwilę zostaną mu zadane,
mają konkretny cel, czy przesłuchanie będzie jedynie
sposobem zabicia czasu.

Tym razem było jednak inaczej. Nerwowa bieganina i

podniesione

głosy

na

zewnątrz

świadczyły

o

rozgorączkowaniu, jakiego dotąd nie słyszał. Zza zabitych
okien dobiegało słabe, ale nieprzerwane dudnienie silnika,
któremu towarzyszył wyraźny zapach spalin.

Zamierzali przenieść go gdzie indziej; Middleton był tego
niemal pewien, choć nie bardzo wiedział dlaczego. Czyżby
jedna z zainteresowanych nim stron w końcu wygrała
licytację? A może Rosjanie się znecierpliwili i postanowili
umyć ręce od jego sprawy - na dobre? Zważywszy na
sytuację, żadna z tych możliwości nie wróżyła mu nic
dobrego. Middleton uznał, że jeżeli chce wyjść z tego żywy,
musi natychmiast działać.

Rozejrzał się szybko po pokoju, szukając czegoś, co nadawałoby się na broń. Jego wzrok spoczął na przedpotopowym grzejniku. Middleton rzucił się w jego stronę i kopnął osłonę podeszwą buta; poczuł, jak puszczają zardzewiałe śruby, którymi zamocowano grzejnik do ściany. Po drugim kopniaku osłona uchyliła się, ukazując rozżarzony element grzejny - poprzeczny pręt z nagiego metalu. Ostry i gorący, pomyślał Middleton i kopnął trzeci raz. Trysnął snop iskier i element grzejny odpadł. Middleton miał nadzieję, że w jego rękach okaże się skuteczniejszy niż w roli, do jakiej był przeznaczony.

W korytarzu tuż pod drzwiami rozległ się tupot pospiesznych kroków i Middleton rozpoznał głos człowieka o smutnych oczach, który przedtem złożył mu wizytę. Naciągnął na dłoń rękaw marynarki, ostrożnie podniósł rozgrzany pręt, wsunął go do kieszeni i błyskawicznie zamknął kopniakiem osłonę, modląc się w duchu, żeby Rosjanin w pośpiechu nie zauważył pokiereszowanego grzejnika.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i do pokoju wkroczył znany mu inkwizytor w towarzystwie kolegi - niższego, mocniej zbudowanego i o zdecydowanie mniej przyjemnych rysach, ubranego w czarną skórzaną kurtkę i sztywne dzinsy.

- Wychodzić! - zakomenderował ten o twarzy gbura,

wyciągając zza pasa broń i wskazując lufą drzwi.

- O co chodzi? - ostro zapytał Middleton, zauważając, że Rosjanin ma w ręku wojskowy pistolet Jarygina.

Mężczyzna o smutnych oczach wyciągnął z kieszeni worek z czarnej tkaniny i podał Middletonowi.

- Będzie pan łaskaw to nałożyć - rzekł łagodnie ze swoim wyćwiczonym brytyjskim akcentem.

Middleton zawahał się, czując ciężar i temperaturę kawałka metalu w kieszeni, zastanawiając się, jaki ma wybór.

Jeżeli rzeczywiście przynosili go do innego miejsca, lepiej będzie poczekać i użyć prowizorycznej broni dopiero na zewnątrz.

- Znam inne sposoby perswazji, mniej przyjemne - przypomniał mu Rosjanin.

Middleton niechętnie wziął worek i zarzucił sobie na głowę.

Czyjaś ręka brutalnie złapała go za ramię i popchnęła naprzód, na korytarz, a potem w dół krętymi, wąskimi schodami. Idąc na oślep, potknął się o stopień i runął głową naprzód, uderzając boleśnie ramieniem w ścianę.

- Wstawać! Wstawać! Wstawać! - wrzasnął człowiek z jaryginem, rzucając rosyjskie przekleństwa i dźgając go lufą w plecy. Middleton poczuł zapach smażonej cebuli, taniego tytoniu i mdły odór na wpół przetrawionej wódki. W wąskiej

klatce schodowej smród był szczególnie nieznosny.

Opanowując odruch wymiotny, Middleton podniósł się i pospiesznie ruszył dalej. Słyszał więcej głosów, nawołujących się nerwowo po rosyjsku. „Szybciej! Szybciej!”. I znów warkot silnika, tym razem głośniejszy i bliższy. Nagle uderzył go w twarz podmuch zimnego powietrza. Znaleźli się na zewnątrz.

Middleton głęboko odetchnął, próbując ustalić, co się wokół niego dzieje. Przez czarny worek sączyło się przyćmione poranne światło. Powietrze było gęste od zapachu tłustego fast foodu i przemysłowych wyziewów. Z odgłosów wokół niego odgadł, że jest tu co najmniej czterech ludzi, na pewno uzbrojonych. Mimo to gdyby udało mu się wyrwać jarygina eskortującemu go mężczyźnie, miałby szansę. Teraz albo nigdy.

Wsuwając dłoń do kieszeni i łapiąc pręt, Middleton drugą ręką zdarł worek z głowy.

Zanim

strażnik

zdażył

zareagować,

Middleton

błyskawicznie się obrócił, wbijając mu w oko ostry koniec elementu grzejnika. Prowizoryczna broń dosięgła celu, z

obrzydliwym pac! wbijając się głęboko w górną część policzka Rosjanina.

Mężczyzna jęknął z bólu. Middleton złapał jarygina, wykręcając go do tyłu. Wymierzając łokciem drugiej ręki potężny cios między żebra Rosjanina, wyszarpnął mu pistolet i natychmiast odwrócił się do pozostałych.

Miał ułamek sekundy na ocenę sytuacji, ale wystarczyło, aby się zorientować, że mają nad nim poważną przewagę liczebną. Miał rację: wokół nivy, taniej rosyjskiej wersji range rovera, stało pięciu uzbrojonych ludzi. Nie spodziewał się tylko, że wysokiej żelaznej bramy przy wjeździe na dziedziniec przed willą, będzie pilnowało jeszcze czterech strażników. Wszyscy mieli lekkie karabiny maszynowe, prawdopodobnie izraelskie negevy.

Pierwszy otworzył ogień jeden z mężczyzn przy samochodzie, a potem posypał się grad pocisków. Middleton, pobudzony zastrzykiem adrenaliny, schronił się za jedyną zasłonę, jaką miał w pobliżu: za drzwi, przez które przed chwilą wyszedł. Kątem oka zobaczył, jak krępy strażnik pada na ziemię z piersią rozoraną pociskami.

Kuląc się w półmroku, Middleton dokonał błyskawicznej analizy topniejących możliwości. Próba przedarcia się przez dziedziniec była równoznaczną z samobójstwem. Rosjanie właśnie zastrzelili jednego ze swoich; zabiją go, gdy tylko

przestąpi próg. Pozostało mu tylko wycofać się do willi, choć ten krok też nie dawał mu większych szans. Słyszał już dudnienie kroków nad głową. Rozpaczliwie przestąpił z nogi na nogę, siłą woli zmuszając się do działania.

Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, rozległo się przeraźliwe wycie. Middleton świetnie znał ten dźwięk - charakterystyczny

ryk

pocisku

z

granatnika

przeciwpancernego. Zobaczył oślepiająco biały błysk, a potem domem wstrząsnął potężny grzmot. Siła eksplozji zwała Middletona z nóg, rzucając go o ścianę, z której posypał się na niego tynk. Willa zadygotała, kołysząc się jak łódź na fali. Z głośnym trzaskiem pękł jeden z dźwigarów podtrzymujących sufit. W jednej chwili wszystko zalała ciemność.

- Nie możesz spać?

Leonora Tesla odwróciła się od rozjarzonego ekranu laptopa i zobaczyła Charley Middleton stojącą w drzwiach sypialni apartamentu.

- Wygląda na to, że nie tylko ja. Powinnaś spróbować się zdrzemnąć. Charley uśmiechnęła się blado.

- Ty też - odparła, bezgłośnie wchodząc do pokoju i

siadając na kanapie. - Zresztą już jest rano.

Tesla zerknęła na zegar w dolnym rogu ekranu i z zaskoczeniem zobaczyła, że dochodzi piąta.

- Prawie - powiedziała. - Co robisz?

- Sprawdzam, czy przeczucie mnie nie myli.

- Wtajemniczysz mnie? Nigdzie się nie wybieram.

Hotel Queen Elizabeth ze swoją przytulną, domową atmosferą i uslužnym personelem był wyjątkowo przyjemną klatką, ale jednak klatką, przynajmniej na razie. Po konfrontacji z eleganckim Brytyjczykiem nie chciały ryzykować i opuszczać murów hotelu. Tesla wiedziała, że jeśli ten człowiek je odnalazł, inni też mogą to zrobić.

- Znalazłam co nieco o młodości Sikariego, o której mówił twój ojciec - powiedziała Tesla. - Kiedy był nastolatkiem, razem z dwoma innymi chłopcami posłano go do szkoły w Anglii. Całe przedsięwzięcie zostało sfinansowane z anonimowego źródła. Sześć lat w prywatnej szkole, potem Cambridge. Po ukończeniu studiów każdy z nich dostał kapitał na założenie firmy. Nie udało się nam ustalić celów tego projektu, ale przypuszczamy, że chodziło o jakiś eksperyment społeczny. Wszyscy trzej chłopcy byli wyznawcami hinduizmu, ale jeden był Pakistańczykiem, drugi Hindusem, a Sikari Kaszmirczykiem.

- Eksperyment społeczny - to brzmi groźnie - zauważyła

Charley. - Dlaczego sądzicie, że to nie była po prostu zwykła filantropia?

- Tak myśleliśmy, zanim nie odkryliśmy, że z tej trójki tylko Sikari pozostał przy życiu. Hindus, niejaki Sanjiv Das, dwadzieścia lat temu utonął w Nowym Delhi, a Pakistańczyk, Santash Grover, kilka lat później otrął się wodą ze skażonej studni. Widzisz już analogię?

Charley miała sceptyczną minę.

- To nie wszystko - ciągnęła Tesla. - Zgadnij, co wszyscy trzej studiowali na Cambridge.

- Nie mów.

- Zgadłaś; inżynierię - energetykę i hydrologię.

- No więc kim jest ten sponsor? - spytała Charley.

- Wygląda na to, że było ich więcej. Jak dotąd Wiki ułożył imponującą listę firm słupów. Ale nie to mnie interesuje.

- Nie?

- Cała uwaga skupiła się na Sikarim i nikt nie przyjrzał się bliżej jego dwóm nieżyjącym towarzyszom - wyjaśniła Tesla.

- Pomyślałam sobie, że nie zaszkodzi trochę poszperać.

Charley Middleton wyprostowała się, podpierając brodę rękami. - I co znalazłaś? Tesla się nachmurzyła.

- Na razie niewiele.

Charley wskazała czarno - białą fotografię grupy ludzi na

ekranie.

- Co to jest?

- Uroczyste wbicie pierwszej łopaty. Rozpoczęcie jakiegoś projektu firmy Santasha Grovera. Ściągnęłam to zdjęcie z archiwum „Daily Dawn”. - Pokazała szczupłego mężczyznę w garniturze, trzymającego łopatę. - To Grover.

- A ta dziewczynka? - zapytała Charley, nachylając się, by zobaczyć z bliska szczupłą nastolatkę trzymającą się nieco z boku grupy. Miała rozbijającą przejętą minę.

Tesla zmrużyła oczy, czytając podpis pod zdjęciem. -

Dziwne...

- Co?

- Piszą, że to córka Grovera, Jana. Ale na razie nigdzie nie znalazłam żadnej wzmianki o dziecku. W jego nekrologu w „Dawn” nie wymieniono żadnych członków rodziny.

- Może to pomyłka.

Tesla spojrzała na mężczyznę z łopatą, potem na dziewczynkę i znów na Grovera. Kręcone włosy dziecka i śródziemnomorskie rysy wyraźnie nie pasowały do grupy złożonej głównie ze śniadych mieszkańców subkontynentu indyjskiego. Równocześnie jednak podobieństwo dziewczynki do Grovera było uderzające. Oboje mieli wysokie czoła, takie same pełne usta.

- A może zadała sobie wiele trudu, żeby ukryć swoją

tożsamość.

- Na co się gapisz? - warknęła Jana, wsiadając do limuzyny przed podparyskim lotniskiem Le Bourget.

Kierowca, młody Marokańczyk, nie odrywał od niej oczu, odkąd spotkali się po odprawie celnej, lecz teraz szybko odwrócił wzrok, spoglądając na szpice swoich tanich lakierków.

W innych okolicznościach Jana przyjęłaby takie pochlebstwo z zadowoleniem, nawet od takiego mieszańca, ale tego ranka nie miała nastroju. Była wściekła, że musiała zabić Crane'a. Mógł jej jeszcze sporo powiedzieć.

Przez kilka godzin próbowała się czegoś dowiedzieć o związkach Skorpiona z agencją ochrony BlueWatch. Co ciekawe, mimo wysiłku, udało się jej ustalić bardzo niewiele: firma kryła się za wielowarstwową strukturą organizacyjną, przypominając biznesową matrioszkę. Na szczęście jednak jedną z przyczyn, dla których jej poszukiwania utknęły w martwym punkcie, był fakt, że wielu pracowników BlueWatch wyjechało ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich na jakąś dużą akcję. To było ważne odkrycie, tym bardziej że polecieeli do Mumbaju i Nowego Delhi.

Na razie nie była pewna, jak ma to rozumieć. Ale miała parę hipotez.

Walczyła ze zmęczeniem. Powtarzała sobie jednak, że za

dwa dni będzie miała mnóstwo czasu na sen. Ale teraz

koniecznie musiała się skupić na swoim zadaniu. Uzgodnili z

Archerem, że zbadają trop, który zdradził jej Crane: Jana

miała polecieć do Paryża i porwać Charlotte Middleton, aby

zneutralizować zagrożenie ze strony jej ojca i zbadać, ile

pułkownik wie. Przekonała Archera, że Middleton naprawdę

jest dla nich niebezpieczny. W najgorszym razie mogła ją

zabić; śmierć córki wytrąci Middletona z równowagi i być

może sprawi, że w ogóle przerwie operację.

- Aleja Pierre ler de Serbie - rzuciła krótko Jana, podając

adres hotelu Queen Elizabeth, gdy kierowca wszedł do

samochodu. Marokańczyk skinął głową i ruszył, dołączając do

strumienia firmowych czarnych limuzyn, płynącego z Le

Bourget w kierunku Paryża. Jana wcisnęła guzik w skórzanym

podłokietniku i uniosła przegrodę oddzielającą część

pasażerską od kierowcy.

Na małym barku przygotowano francuskie śniadanie:

mnóstwo rodzajów ciastek na porcelanowym talerzu, termos

café au lait, porcję masła w kształcie różyczki, małe słoiczki

miodu lawendowego i konfitur morelowych, obok

których

spoczywały

wytworne

srebrne

łyżeczki.

Wystarczyłoby, żeby nakarmić mały naród, pomyślała Jana, czując się dziwnie nieswojo wobec takiego przepychu.

Nie tykając śniadania, sięgnęła pod fotel i nacisnęła małą, umieszczoną w dyskretnym miejscu dźwigienkę. Podłokietnik otworzył się, ukazując dziewięciomilimetrowego hawlana z tłumikiem i sześcioma zapasowymi magazynkami. Jana wyciągnęła pistolet ze skrytki i pieszczotliwie pogładziła go palcami. Ten luksus potrafiła docenić.

Otworzywszy oczy, Harold Middleton ujrzał skłębiony obłok czarnego dymu. Był nieprzytomny najwyżej minutę lub dwie, ale w tym krótkim czasie przestronna willa zmieniła się w piekło na ziemi. Sufit, tam, gdzie się zachował, lizały jęzory ognia, ściany paliły żarem. W powietrzu unosiła się woń palonego ciała.

Middleton wygramolił się na nogi, próbując się zorientować w sytuacji. W wybuchu stracił jaryginą, ale to był najmniejszy problem. Schody, po których zszedł kilka chwil wcześniej, zniknęły, a w ich miejscu ziała ogromna dziura.

Jedynym wyjściem - drzwi - zagradzała płonąca belka. Middleton szybko zdarł z siebie płaszcz i rzucił na belkę, mając na dzieję, że na chwilę zdusi płomienie i zrobi sobie wąskie przejście.

Plan się powiódł, choć nie do końca. Middleton wyczekał stosownej chwili, przeskoczył przez belkę i pędem wybiegł z

willi.

Na zewnątrz sytuacja przedstawiała się prawie równie tragicznie. Rozglądając się po dziedzińcu, Middleton przypomniał sobie łamigłówki, które Charley uwielbiała w dzieciństwie: rysunki, na których wszystko było odrobinę zdeformowane. Na które można było bardzo długo patrzeć i nie dostrzec mężczyzny w bucie na głowie albo koła rowerowego, które w rzeczywistości było guzikiem. Wszędzie leżały porzucane ciała, kilka z nich płonęło, jednemu brakowało głowy, innemu ręki. Niva płonęła jak pochodnia. Ziemię pokrywała warstwa odłamków szkła i gruzu z willi.

Żelazna brama została wyrwana z zawiasów.

Zwykły ładunek wybuchowy nie wyrządziłby takich szkód, pomyślał Middleton. Gdy nie groziło mu już bezpośrednio niebezpieczeństwo, jego mózg z wolna zaczynał funkcjonować. Nie, takie zniszczenia musiały być skutkiem wybuchu bomby termobarycznej.

Brnąc w gruzie w stronę bramy, Middleton nasłuchiwał odgłosów nadjeżdżających wozów ratunkowych. Lada chwila zjawi się tu straż pożarna, a nie miał ochoty witać ich w ruinach. Dziwne, ale nie słyszał żadnych syren.

Nagle uświadomił sobie, że niczego nie słyszy. Ani huku pożogi. Ani wrzasków bólu strażnika przy bramie, któremu wbił się w udo metalowy pręt. Eksplozja całkowicie go

ogłuszyła.

Walcząc z falą paniki i usiłując myśleć o wszystkim innym, byle nie o tym, że może ma popękane bębunki, Middleton zmusił się, by ostrożnie stawiać kroki i posuwać się naprzód.

- Zaczekaj tu - poleciła kierowcy Jana, kiedy zatrzymali się przed wejściem do hotelu.

Marokańczyk sięgnął do kluczyka, ale Jana go powstrzymała.

- Nie gaś - powiedziała, otwierając sama drzwi i stawiając na chodniku nogi w wysokich czarnych butach. - Zaraz wracam.

Gdy wchodziła do hotelu Queen Elizabeth, dochodziła szósta. Wybrała jeśli nie najlepszy, to bardzo korzystny moment. Gdyby zjawiała się tu pół godziny później, musiałaby stawić czoło portierowi i boyowi, ale o tak wczesnej porze w recepcji siedział tylko jeden człowiek.

- Czym mogę służyć? - spytał recepcjonista, unosząc wzrok znad ekranu komputera i przyglądając się Janie, która wkroczyła do małego, lecz eleganckiego holu. Zwrócił się do niej, używając oficjalnej formy vous, ale ton jego głos zdradzał nieskrywaną pogardę.

Jana świetnie wiedziała, co sobie pomyślał: „Co ta arabska dziwka robi w moim hotelu?”. Zaraz się miał przekonać.

- Daj mi klucz do pokoju Charlotte Rosewald - zażądała

Jana, podchodząc do recepcji.

Mężczyzna uniósł czarną brew.

- Czy madame pragnie też poznać kod do sejfu? - spytał
zgryźliwie.

- Klucz! - warknęła Jana, wyciągając spod żakietu
hawlena i unosząc lufę z tłumikiem na wysokość jego serca. -

Już!

Recepcjonista spokojnie popatrzył na pistolet.

- Nie używamy kluczy - powiedział, pokazując jej
plastikową

kartę. Miał nienagannie wypielęgnowane

paznokcie, pokryte cienką warstwą bezbarwnego lakieru. -

Będę ją musiał zaprogramować.

- Zrób to - rozkazała Jana, mierząc prosto w jego pierś.

Przyłożywszy ucho do drzwi łazienki, Charley z

zadowoleniem słuchała szumu wody z prysznicza. Rozumiała

niechęć Leonory do opuszczania hotelu, ale od siedzenia w

jednym miejscu zaczynała już wariować. Wiedziała, że jeśli

nie wyjdzie na świeże powietrze, będzie gotowa zrobić komuś
krzywdę.

Nie prosiła o wiele, tylko o wypad do ciastkarni po drugiej

stronie alei George V, żeby kupić coś innego niż marne

rogaliki serwowane przez hotel Queen Elizabeth. Gdy Tesla

spróbuję prawdziwego pain au chocolat, wybaczy jej wszystko.

Poza tym wcale się nie wykradała. Zostawiła Leonorze liścik, w którym wyjaśniała, dokąd idzie i że wróci ze śniadaniem za jakąś godzinę. Mimo to wkładając strój do biegania i wymykając się na korytarz, czuła wyrzuty sumienia.

Winda była naprzeciwko ich pokoju, ale jeździła nieznośnie powoli i skrzypiała. Charley najczęściej wybierała schody zamiast czekać, aż winda z mozołem wtoczy się na górę. Ale z niewiadomego powodu - może przez brak snu, który zakłócił pracę mózgu - wcisnęła guzik. Gdzieś w głębi trzewi budynku zgrzytnął wiekowy mechanizm i kabina ruszyła.

Recepcjonista wstukał coś w klawiaturę, po czym przesunął kartę przez urządzenie kodujące przy komputerze i podał Janie.

- Numer pokoju? - zapytała.

- Dwieście dziewiętnaście - odparł z szyderczym uśmiechem.

- Ile osób?

- Dwie kobiety. Starsza i madame Rosewald.

Wciąż miał na ustach ten uśmiezek, gdy Jana nacisnęła spust.

Zepchnęła ciało recepcjonisty za ladę, aby nie było go

widać, a potem wbiegła po schodach na drugie piętro.

Wchodząc do korytarza, usłyszała zamykające się drzwi windy. Ranny ptaszek, pomyślała rozdrażniona. Na pewno nie jedyny. Trzeba działać szybko.

Ruszając korytarzem, metodycznie sprawdzała numery mijanych pokoi: 215, 217. Przystanęła przed drzwiami z numerem 219, nasłuchując. Winda w żółwym tempie sunęła z hałasem w dół. Z pokoju dobiegał cichy szum wody.

Jana lewą ręką wsunęła kartę do szczeliny elektronicznego zamka i patrzyła, jak gaśnie czerwona i zapala się zielona lampka. Trzymając w pogotowiu hawlana, przekręciła miedzianą gałkę i bezszelestnie weszła do pokoju. A więc zajmowały

go dwie osoby: Charlotte Middleton i prawdopodobnie jakaś niańka przysłana przez jej ojca.

Jana cicho zamknęła za sobą drzwi i przeszła przez niewielki salon, kierując się w stronę odgłosu prysznic. Miała sztywne nadgarstki, opierając lekko palec o spust, słuchając z napiętą uwagą każdego szmeru. Łokciem otworzyła uchylone drzwi do sypialni i przystanęła, rozglądając się po pokoju, w którym stały dwa niezaścielone łóżka.

O ile nie zaczęły chodzić razem pod prysznic, w pokoju była w tej chwili tylko jedna.

Nagle szum wody umilkł. Jana usłyszała szelest

odsuwanej zasłony i stąpięcie osoby wychodzącej z wanny.

- Charley? - zawołał kobiecy głos.

Niańka, pomyślała Jana, stając na wprost drzwi łazienki i unosząc broń na wysokość głowy kobiety średniego wzrostu.

- Charley? - W głosie zabrzmiała nuta zaniepokojenia.

Otworzyły się drzwi, ukazując ciemnowłosą kobietę, starszą, lecz z pewnością nie starą, owiniętą białym ręcznikiem. Na widok Jany z pistoletem cofnęła się o krok.

- Gdzie jest Charlotte Middleton? - spytała ostro Jana.

Kobieta nie odpowiedziała. Nie odrywała wzroku od twarzy Jany, jak gdyby czegoś szukała. Nagle w jej oczach pojawił się triumfalny błysk.

- Jesteś córką Santasha Grovera - oznajmiła.

Jana wzdrygnęła się. Niemożliwe, żeby ta kobieta wiedziała o jej ojcu, a jednak tak było.

- Gdzie jest Charlotte Middleton?! - powtórzyła, mówiąc sobie, że i tak wiedza tej kobiety niebawem nie będzie miała żadnego znaczenia.

Kobieta się uśmiechnęła.

- Idź do diabła.

- Ty pierwsza - odrzekła Jana i nacisnęła spust.

ROZDZIAŁ 11

DAVID LISS

Dym, żar płomieni, spadający gruz, popiół, który zalepiał

mu usta i zatykał płuca - wszystko to było niemal nie do
zniesienia, tak jak zimny oddech śmierci na plecach, ale gdy
biegł przez ruiny i zgliszcza, największy ból sprawiała mu
świadomość, że przez resztę życia - czy miałoby to trwać
dziesiątki lat czy kilka minut - już nigdy nie usłyszy
ukochanej muzyki. Stracił słuch. Nie było żadnego
dzwonienia. Żadnego szumu. Nic. Harold Middleton czuł się,
jakby uwięziono go w strasznej, pędzącej śnieżnej kuli, z
której może tylko bezradnie przyglądać się światu. Biegł przez
fragmenty zburzonej willi, przeskakując przez resztki ścian,
przewrócone meble, martwe ciała, szukając drogi ucieczki z
terenu zniszczenia w dziwnym, dzieciennym przeświadczeniu,
że jeżeli zdąży stąd szybko zniknąć, być może w nagrodę
słuch zostanie mu przywrócony. Był poturbowany i
sponiewierany, było mu gorąco, ale jednak czuł, że poza utratą
słuchu nie odniósł żadnych poważnych i trwałych obrażeń.
W prawej ręce ścisnął wysłużony karabin AK - 47, który
znalazł w ruinach - poobijany, ale nie aż tak gorący.
Middleton najpierw go wypróbował - zdezorientowany,
ponieważ strzałowi nie towarzyszył żaden dźwięk - a po
chwili przekonał się, że dobrze zrobił, ponieważ skręciwszy za
fragmentem
zawalonego
muru,

zobaczył

dwóch

spanikowanych Rosjan, którzy szli prosto na niego.

Roztrzaskana ściana za ich plecami pluła językami ognia jak

wściekły demon. Jeden z nich stanął jak wryty, jak gdyby

zdmumiony obecnością innej żywej istoty, natomiast drugi

zachował więcej spokoju. Uniósł broń i zaczął strzelać

bezgłośnymi seriami.

Middleton padł na ziemię i przetoczył się za zasłonę ze

splątanej masy kamienia i metalu. Poczuł, jak w dłoń wbija

mu się odłamek szkła, a w jego świecie ciszy ból wydawał się

bardziej żywy i rzeczywisty niż dotąd. Bardziej czuł, niż

słyszał pociski padające wokół jego kryjówek. Skulił się,

próbując ocenić sytuację. Tu miał osłonę. Był bezpieczny

przez następne kilka sekund. Mógł opracować plan.

Znalazł się w absurdalnym położeniu. Owszem, z

Ochotnikami nieraz podejmował się niebezpiecznych zadań,

ale nie tak dawno temu był wykładowcą muzyki, który badał i

potwierdzał autentyczność partytur. Teraz tkwił w

zniszczonej, płonącej posesji gdzieś pod Moskwą i

ostrzeliwali go ludzie, o których nic nie wiedział - po czyjej są

stronie i komu służą. Wszystko było dla niego wielką

niewiadomą. Od tamtego dnia na plaży w południowej Francji

tylko się wydarzyło i nic nie miało logicznego wytłumaczenia.

W poczuciu nierealności, jakie zwykle towarzyszy utracie jednego ze zmysłów, Middleton wyjrzał zza osłony. Jeden z Rosjan stał zgarbiony, na szeroko rozstawionych nogach, przesuając lufę tam i z powrotem. Miał desperacką minę i obłąd w oczach, które wyraźnie wskazywały, iż Rosjanin wierzy, że jeżeli zabije Middletona, będzie bezpieczny, tak jak Middleton wierzył, że jeśli szybko stąd ucieknie, odzyska słuch.

Middleton wystrzelił krótką serię i Rosjanin runął na ziemię. Drugi, który wciąż stał jak sparaliżowany, uniósł karabin. Middleton zaczął robić uniki, ale zahaczył koszulą o wystający kawałek metalu. Wyszwolecił się po zaledwie sekundzie, ale ta sekunda mogła oznaczać jego koniec, gdyby Rosjanin nie padł w rozbryzgu krwi i chmurze popiołu.

Middleton poczuł dalekie łup, łup, łup, a dopiero potem ujrzał helikopter. Gdy uniósł wzrok, śmigłowiec unosił się około piętnastu metrów nad ruiną posesji, około dwustu metrów od jego kryjówki. Jeden z ludzi w helikopterze kucnął z bronią w ręku, penetrując wzrokiem chaos panujący wokół willi, a drugi wyrzucił sznurową drabinkę, machając ręką Middletonowi. Coś krzyknął, ale Middleton nie usłyszał go przez ryk śmigłowca.

Ale usłyszał ten ryk. Słuch wracał, wprawdzie razem z dzwonieniem w uszach, ale na pewno wracał.

Middleton miał niewielki wybór. Mógł próbować przedrzeć się przez płonące ruiny, walcząc z kolejnymi napotkanymi po drodze Rosjanami, albo zdecydować się uciec helikopterem. Drugie wyjście wydawało się lepsze. Uznał, że potem będzie się martwił symbolem widniejącym na śmigłowcu - logo BlueWatch.

W paryskim apartamencie Leonora Tesla osunęła się na kolana. Przyciskała prawą rękę do rany na lewym barku, która choć okropnie krwawiła, nie zagrażała życiu - pod warunkiem że szybko zajęliby się nią ratownicy medyczni. Bolało jak diabli, ale Tesla starała się zachować jasność myśli mimo bólu i jasność spojrzenia mimo łez, które zamglily jej oczy. Wciąż miała na sobie tylko obszerny ręcznik i czuła się niedorzecznie zakłopotana. Na własną śmierć powinna się stosowniej ubrać. Stała nad nią córka Santasha Grovera, człowieka, który studiował z Sikarim. Jana była wysoka jak na osobę pochodzącą z Azji Południowej, piękna, o ciemnej karnacji i poruszała się z naturalnym wdziękiem, który nie mógł nie wzbudzić podziwu Tesli. Była też bardzo okrutna. Tesla widziała to w jej oczach.

- Teraz widzisz, że nie żartuję - powiedziała po francusku z silnym akcentem, wskazując lufą ranę Tesli. - Tylko tyle.

Pewnie ci się wydaje, że to boli, ale to nic w porównaniu z tym, co cię czeka, jeżeli strzelę w kolano. Będiesz też miała

świadomość, że już nigdy nie będziesz mogła samodzielnie chodzić. Pomyśl o tym, co się stanie potem, jeżeli strzelę w obydwa kolana. Zastanów się dobrze nad tym, zanim znowu cię o coś zapytam.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek mogła jeszcze sama chodzić - odparła po francusku Tesla, starając się wymyślić cokolwiek, by zyskać na czasie i wytrącić tę kobietę z równowagi. - Nie darujesz mi życia. Podejrzewam, że to w twoim stylu, ale gdyby nawet było inaczej, wiem, że jesteś córką Grovera. Myślisz, że kiedy mnie zabijesz, tajemnica nie wyjdzie na jaw, ale już się wydała. Wysłałam kilkanaście e-maili.

Przez twarz kobiety przemknął cień, ale zaraz pojawił się na niej okrutny uśmiech.

- W takim razie będę miała więcej pytań. Mam tylko nadzieję, że grzecznie odpowiesz. Kiedy wpakuję ci kulki w kolana i łokcie, strzały w inne miejsca będą miały niewielki skutek. Nieraz to widziałam.

- Nie wątpię - jęknęła Tesla. Jej wzrok bezradnie błędził po pokoju w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby wykorzystać jako broń: lampy, telefonu, kabla telefonicznego, krzesła, wazonu, czegokolwiek... Prawdę mówiąc, Tesla nie wiedziała, jak długo zniesie tortury, zanim wyjawি wszystko, co wie.

Chyba

dobrze,

że

tak

mało

wiedziała.

Charley

najprawdopodobniej nie było w apartamencie; pod wpływem

impulsu wymknęła się z hotelu. Na szczęście dla niej. Ale

wróci. Tyle Tesla wiedziała, a przynajmniej przypuszczała.

Charley prędzej czy później wróci, i co zastanie? Ciało Tesli i

czekającą na nią morderczynię?

Jana uniosła pistolet z przykręconym tłumikiem.

- Jeżeli będziesz ignorować moje pytania, przestrelę ci

kolano, więc mam nadzieję, że jesteś gotowa odpowiadać.

Gdzie jest Charlotte Middleton?

Tesla zmusiła się do szerokiego uśmiechu.

- No przecież tuż za tobą.

Podstęp mógł się nie udać i z pewnością by się nie udał,

gdyby Tesla nie wypowiedziała tych słów z tak wielką

satysfakcją. Instykt i wyszkolenie Jany - na pewno świetne -

zupełnie zawiodły w obliczu prawdziwej emocji. Kobieta

obejrzała się za siebie.

Co kosztowało ją największe cierpienie, jakiego

kiedykolwiek w życiu zaznała. Tesla zerwała się na nogi i

natarła zdrowym ramieniem, taranując ją jak amerykański futbolista. Zadała napastniczce cios tuż pod żebra, czując przy tym ból, który poraził całe ciało, jak gdyby ktoś wbił jej w ranę rozgrzany do czerwoności pogrzebacz. Obie kobiety wrzasnęły.

Śniada napastniczka zatoczyła się do tyłu i zderzyła z krzesłem, przewróciła się o nie i upadła, uderzając głową w podłogę. Wykładzina była cienka, a beton pod spodem twardy.

Tesla usłyszała zgrzyt zębów i z ust kobiety zaczęła ciec struzka krwi; córka Grovera musiała sobie przygryźć język.

Wciąż jednak ścisnęła pistolet, a Tesla nie mogła czekać, żeby się przekonać, czy napastniczka została skutecznie ogłuszona.

Płynnym i zdecydowanym ruchem uniosła krzesło tak wysoko, jak pozwalał zraniony bark, i z całej siły uderzyła w plecy kobiety. Chciała ją ogłuszyć, unieszkodliwić, ale nie zabić. Chciała, żeby Jana mogła odpowiedzieć jej na kilka pytań, ale Tesla nie zawahałaby się jej zabić, gdyby została zmuszona.

Ból przeszywał ją na wylot i bała się, że zemdleje, lecz przemogła to uczucie, tłumiąc w sobie cierpienie. Nie zauważyła nawet, że spadł z niej ręcznik. Znów uniosła krzesło, tym razem tylko na wysokość pasa. Wydawało się niewiarygodnie ciężkie i Tesla zachwiała się, czując, jak z wysiłku kręci się jej w głowie. Kiedy szykowała się do

drugiego ciosu, pociemniało jej w oczach. W tym momencie otworzyły się drzwi.

Do pokoju wkroczyła Charley Middleton z twarzą błyszczącą od potu, niosąc torbę z paryskiej ciastkarni.

Zamarła w pół kroku. Tesla wyobrażała sobie, jaki szok wywołał w niej widok tej sceny: na podłodze leżała nieruchomo nieznamiona kobieta, z której ust ciekła krew zmieszana ze śliną, a Tesla, naga i zakrwawiona, wymachiwała krzesłem jak maczugą.

Tesla upuściła krzesło, upadła na podłogę i wybuchnęła płaczem i obłąkanym śmiechem jednocześnie.

Na dobrą sprawę Archer powinien się bać. Każdy rozsądny człowiek bałby się na jego miejscu. Każdy rozsądny i normalny człowiek, poprawił w myślach, choć sam nigdy nie był normalnym człowiekiem i nie potrafiłby zrozumieć, co to znaczy. Normalnym człowiekiem był jego brat Harris, lecz Harris nie żył. Ten prosty fakt był wystarczająco wymowny. Siedział przy niskim stole w małej wiosce pod Dźhelam w Pakistanie, niedaleko granicy Dżammu i Kaszmiru. Był w towarzystwie trzech mężczyzn, ciemnoskórych mieszkańców subkontynentu indyjskiego, wiedząc, że jego jasna karnacja stanowi największą przeszkodę. Zawsze o tym wiedział i opracował rozwiązanie. Archerowi wydawało się niemożliwe, by ci ludzie podejrzliwi wobec intruzów z zewnątrz -

właściwie podejrzliwi wobec każdego - mogli go przechytrzyć. Mimo to Archer przez chwilę zazdrościł Sikariemu swobody, jaką dawał mu wygląd. Jako pobożny hindus wyprowadził w pole tych muzułmanów - głupców, którzy mieli jednak swój rozum. To nie mogło być proste, a przed Archerem stało znacznie trudniejsze zadanie.

Co z tego? Kłamał i oszukiwał przez całe życie. Niemal codziennie oszukiwał brata, posuwając się coraz dalej, sprawdzając, ile mu ujdzie na sucho. Nie, Harris, nie wiem, co się stało z twoimi książkami. Nie, Harris, nie mam pojęcia, jak ta skradziona butelka whisky znalazła się w twoim pokoju.

Nie, Harris, nie zaprenumerowałem tych magazynów porno na twoje nazwisko. Oczywiście chodziło o drobiazgi, dziecinne psikusy, ale przecież byli dziećmi. Nauczył się jednak kłamać, znajdować wytłumaczenie rzeczy niemożliwych, przekonywać innych, aby mu wierzyli, nawet gdy fałsz rzucał się w oczy.

Dziś siedział z trzema mężczyznami w nędznej chacie, którą oświetlała jedynie wisząca nad stołem naga żarówka zasilana przez szumiący na zewnątrz generator. Wszyscy trzej wlepili w niego podejrzliwe i zwyczajnie zaciekawione spojrzenia, ale odzywał się głównie jeden, ich przywódca Sanam, bardzo wysoki i przeraźliwie chudy mężczyzna z długą brodą i o niezwykle wyrazistych oczach. Miał na sobie biały strój i tagiyah jak Archer.

Sanam pociągnął łyk herbaty.

- Wszystko dzieje się tak niespodziewanie - powiedział w urdu. Przez cały wieczór przechodził z angielskiego na urdu, potem na kaszmirski i arabski, jak gdyby chciał przetestować czujność Archera i przyłapać go na pomyłce, lecz Archer biegle posługiwał się wszystkimi tymi językami, dzięki staraniom Sikariego.

- Śmierć często jest niespodziewana - rzekł Archer. -

Śmierć ojca to ogromny cios dla mnie osobiście i oczywiście dla naszej sprawy, ale to także wola Allaha. Mój ojciec nie żyje i będę go opłakiwał, ale będę też czcił pamięć o nim, kontynuując jego dzieło. Na nieszczęście umarł właśnie teraz, gdy zbliża się najważniejszy moment, ale zmartwienia nie mogą nam przysłaniać naszych celów.

- Nie podoba mi się, że ten jasnowłosy Amerykanin mówi o Allahu, Proroku i świętym Koranie - odezwał się Umer, jeden z pozostałych mężczyzn. To on z całej trójki najgorzej przyjął wiadomość o zniknięciu Sikariego ze sceny. - Cały wieczór okraszasz rozmowę takimi rzeczami, jak gdybyś solił mięso, ale myślisz, że jesteśmy dziećmi i damy się tak łatwo oszukać? Nie wyglądasz na muzułmanina. Wyglądasz jak amerykański model reklamujący bieliznę.

Archer wyczuł, że Umer będzie największą przeszkodą. -

Nie rozumiem, dlaczego przez swoich europejskich przodków

nie mogę kroczyć drogą islamu - powiedział, przechodząc na arabski.

- Ojciec wychował mnie tak jak muzułmanin powinien wychować syna. Nie ma żadnego znaczenia fakt, że zostałem adoptowany. Samam skinał głowę.

- Popełnilibyśmy grzech, wątpiąc w jego wiarę z powodu wyglądu. Musisz jednak zrozumieć nasze podejrzania. Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Ściga nas rząd Pakistanu, twój rząd, rząd Indii. Musimy uważać. Musimy być przekonani, że jesteś tym, za kogo się podajesz.

Archer parsknął śmiechem.

- A kim innym mogę być? Wiem, że ojciec mówił wam o swoich synach, więc moje istnienie nie może was dziwić. Być może jestem agentem CIA, której kierownictwo doszło do wniosku, że najlepszym sposobem infiltracji waszej grupy będzie podestanie wam białego człowieka o niebieskich oczach. No i oczywiście CIA nie ma pilniejszych zadań niż infiltracja

organizacji

zainteresowanych

przyszłością

Kaszmiru. - Tym samym sarkastycznym tonem dodał: -

Wiadomo też, że CIA ma wielu agentów znających arabski i oczywiście urdu i kaszmirski.

Sanam prychnął.

- Masz słusność. Twoja znajomość języków powinna nas wystarczająco przekonać, że nie jesteś amerykańskim agentem. Twoja znajomość naszych tradycji i obyczajów jest imponująca i wydaje się naturalna. Informacje, które nam przekazałeś, są nie tylko istotne, ale zgadzają się z tym, co sami zdołaliśmy ustalić. Pytanie tylko, dlaczego w ogóle przejmujesz się Kaszmiem. Twojemu ojcu zależało, bo dorastał w Kaszmirze i doskonale wiedział, co to znaczy kraj w rękach niewiernych. A ty, chociaż wyznajesz islam, jesteś Amerykaninem. Czym dla ciebie jest Kaszmir?

- Jest dla mnie ważny - odparł Archer - bo był ważny dla mojego ojca. To był jego dżihad, więc teraz stał się moim. Czy któremuś z was wydaje się, że to niewystarczający powód?

Rozległy się pomruki aprobaty. Nawet Umer wyglądał na zadowolonego z wyjaśnienia, a Archer starał się zachować kamienną twarz, nie pokazując po sobie satysfakcji, do której miał pełne prawo. Sanam z większą ufnością rzekł:

- Chętnie posłucham, jak twoim zdaniem powinniśmy przystąpić do dzieła, i mam nadzieję, że powiesz mi, skąd taki pośpiech.

Planowaliśmy atak od dawna. Dlaczego musimy zaatakować w ciągu pięciu dni?

Archer sądził, że Sanam jest ich naturalnym przywódcą.

Jego ludzie darzyli go szacunkiem, tak jak ludzie Sikariego

darzyli szacunkiem Archera. Dowodził grupą około

pięćdziesięciu bojowników, odłamem organizacji Harakat - ul

- Mudżahedin. To Sikari przekonał Sanama, aby oddzielił się

od Harakat - ul - Mudżahedin i stworzył własną grupę, która

miała przygotować prawdziwą, rozstrzygającą, a być może

nawet ostateczną akcję w Kaszmirze. Od lat planowali tę

operację pod czujnym okiem Sikariego, który używając

fałszywego nazwiska, przekonał ich, że jest islamskim

ekstremistą, i zamierzał użyć tych ludzi jak pionki na swojej

szachownicy. Rozstawił figury, a rozegranie partii należało

teraz do Archera.

- Za pięć dni niezapowiedzianą wizytę na Baglihar złoży

amerykańska sekretarz stanu - powiedział Archer. - Nie ma

lepszego momentu na atak. Zniszczycie nie tylko tę przeklętą

zaporę, która grozi osłabieniem rzeki Cenab, ale zadacie cios

amerykańskiemu reżimowi, który odczuje cały świat.

Sekretarz stanu jest popularna - jej nazwisko jest znane we

wszystkich krajach. Jej śmierć uświadomi światu, jak

niebezpiecznie jest stawać po stronie Indii, gdy próbują kraść

muzułmańską ziemię.

Sanam pokiwał głową.

- Zgadzam się. Nie będzie lepszego momentu.

- Nawet gdyby sekretarz stanu nie przyjechała - ciągnął

Archer - czas nagli. Niedługo na Bagliharze ruszy tajna instalacja produkcji ciężkiej wody. Nie możemy do tego dopuścić. Musimy uderzyć, a jeżeli można uderzyć i jednocześnie upokorzyć amerykański reżim, uważam, że gdybyśmy nie wykorzystali takiej okazji, popełnilibyśmy niewybaczalny błąd.

Sanam ponownie skinął głową.

- Możesz nam dostarczyć potrzebne materiały? To, co obiecał twój ojciec?

- Materiały wybuchowe, tak.

- Przemyślę wszystko, co powiedziałeś - oznajmił Sanam, wstając od stołu. - Omówię ze swoimi ludźmi i damy ci znać.

- Spieszcie się - odparł Archer, także się podnosząc. -

Mamy dużo pracy i mało czasu na przygotowania.

- Będiesz znał odpowiedź w ciągu dwunastu godzin.

Jadąc samochodem w kierunku przejścia granicznego,

Archer słuchał trzech mężczyzn zastanawiających się nad

decyzją. Zajęli pierwszy z brzegu dom we wsi i po

zakończeniu narady nie zamierzali nigdy do niego wracać.

Sądziли, że dzięki temu są bezpieczni. Dlatego Archer mógł

spokojnie założyć w chacie podsłuch. Był pewien, że nigdy

nie znajdą urządzenia, które zostawił pod stołem, bo nie mieli

powodu przeszukiwać domu.

- Musimy to zrobić - powiedział Umer. - Ostatecznie pozbyć się zapory i zabić tę nikczemną kobietę jednocześnie.

Okryjemy chwałą imię Allaha.

- A więc już bardziej mu ufasz? - zapytał Sanam. Archer usłyszał pogardliwe prychnięcie Umera.

- Wiesz, że nie ufam nikomu. Ale Amerykanin ma argumenty nie do odparcia. Kto mógłby go wysłać, żeby działał przeciwko nam? I co mamy do stracenia? Przyjmijmy jego plan i jeżeli materiały wybuchowe zostaną dostarczone tam, gdzie obiecał, użyjemy ich. Jeżeli ich nie będzie, nie zrobimy tego i nie poniesiemy żadnych ofiar. Czy mogą nas jeszcze zajadlej prześladować? Nie możemy być bardziej ostrożni. Jesteśmy po to, żeby działać, i teraz nadarza się okazja.

- Też tak sędzę - zgodził się Sanam. - Prawdę powiedziawszy, podoba mi się ten Amerykanin. Chociaż jest biały i ma jasne włosy, jest jednym z nas. Czuję to.

Archer zaśmiał się za kierownicą. Rzeczywiście, jest jednym z nich. Właśnie udało mu się namówić tych głupców, żeby z własnej woli stracili Kaszmir, żeby sami ściągnęli zagładę na swoje głowy i prawdopodobnie na cały Pakistan.

Grupa Sanama miała zabić amerykańską sekretarz stanu.

Rząd Pakistanu, który wówczas dostanie już sfalszowane plany zapory Baglihar, oczywiście nie zgodzi się potępić

zamachu, oskarżając Indie o skażenie wód Cenabu.

Amerykanie oburzeni zabójstwem szefowej dyplomacji, wezmą stronę Indii, zwłaszcza że słusznie uznają za brednie twierdzenia Pakistanu o projektach instalacji do produkcji ciężkiej wody. Obie strony zostaną oszukane i obie będą święcie przekonane o swojej racji. Indie, pewne, że kłamstwa Pakistanu to propaganda na użytek społeczności islamskiej, będą dyszeć żądzą odwetu.

Pakistan, czując się pokrzywdzony, nigdy nie wybaczy Indiom i ich zachodnim sojusznikom. Sytuacja nieuchronnie doprowadzi do totalnej wojny, w której Amerykanie wesprą Indie. Archer sprowokuje Sanama do kolejnych ataków przeciwko Amerykanom i wkrótce Pakistan stanie się głównym celem absurdalnej wojny z terroryzmem.

Niełatwo było przedostać się niepostrzeżenie z Pakistanu do Kaszmiru i Archera czekała trudna noc, ale ogarnęło go uczucie spokoju i zadowolenia. Od niego zależał bieg wydarzeń na całym globie. Niedługo zginą setki, potem tysiące, ale traktował ich jak żołnierzyki walające się na dziecięcym stoliku. Niebawem miała się rozpocząć walka o ostateczne rozwiązanie sprawy Kaszmiru. Pozostał jedynie problem Middletona i jego idiotycznych Ochotników.

Przeglądając notatki Sikariego, Archer doszedł do wniosku, że jego ojciec popełnił straszny błąd, biorąc na cel Middletona.

Między innymi z tego powodu postanowił zabić nie tylko brata, ale również Sikariego. Gdyby ojciec dał sobie z nim spokój, Middleton nigdy nie poznałby wagi informacji, jakie zebrał podczas podróży do Indii. Być może zorientowałby się po fakcie, lecz nie zdążyłby przeszkodzić biegowi wypadków.

Teraz, gdy go ścigano, Middleton i jego zespół będą próbowali zrozumieć sens planu i istniało niebezpieczeństwo, że pułkownik odkryje to, z czego dotąd nie zdawał sobie sprawy, i w porę złoży wszystkie elementy układanki.

Takie niebezpieczeństwo istniało za życia Sikariego, ale zostało już zażegnane. Córka Middletona na pewno jest już z Janą, a Ochotnicy tracą czas, usiłując ją odnaleźć. Być może Jana od czasu do czasu wyśle im palec albo ucho, żeby podtrzymać ich zapał. Zanim się zorientują, że porwanie Charlotte Middleton miało tylko odwrócić ich uwagę, będzie za późno.

Na myśl o Janie Archer poczuł erekcję. Kochał ją szaleńczo i szaleńczo jej pożądał. Sikari zawsze pouczał Archera i Harrisa, żeby traktowali ją jak siostrę. Archerowi nawet się to podobało. Dzięki temu było ciekawiej. Pragnął mieć teraz przy sobie siostrę, ale wiedział, że już niebawem będą razem.

Lot helikopterem nie trwał długo, ale gdy lądowali, Middleton prawie w pełni odzyskał słuch. Wspaniale,

pomyślał sarkastycznie, że świat dźwięków wraca przy potwornym huku śmigłowca. Rosjanie, którzy wzięli go na pokład, byli małomówni i Middleton podejrzewał, że polecono im o niczym mu nie mówić, ale się tym nie przejmował.

Wiedział, że wkrótce pozna odpowiedzi.

Middleton spojrział na budynek, na którym lądowali:

piękną rezydencję patrolowaną przez pracowników „firmy” w mundurach BlueWatch - tej samej agencji, której filia finansowała edukację Devasa Sikariego - i którą zdradził, zabierając swoje zabawki i wracając do domu.

Zrozumiał, że Skorpion dowiedział się o nim i postanowił sprowadzić go tutaj.

Gdy siadali na lądowisku na dachu jednej z wież

rezydencji, Middleton zaśmiał się w duchu z ironii losu.

Dlaczego BlueWatch go uratowało? I co chcieli zrobić ze swoim trofeum?

Rosjanie z helikoptera BlueWatch stanowczo, choć bez użycia siły, zaprowadzili go przez lądowisko do wieży.

Dopiero gdy znaleźli się w środku, z dala od nieustannego hałasu, Middleton uświadomił sobie, jak bardzo ciągle dzwoni mu w uszach. Mimo to słyszał odgłos własnych kroków, szelest odzieży, chrapliwy dźwięk, jaki wydawał, wciągając nosem powietrze.

Jeden z Rosjan o bladej, ziemistej twarzy i niepokojąco

cofniętej szczęce, a równocześnie o posturze kulturysty,

poprowadził Middletona do windy.

- Pułkowniku Middleton - powiedział po angielsku z

twardym rosyjskim akcentem - rozumiem, że chciałby pan się

doprowadzić do porządku przed spotkaniem z gospodarzem,

ale sprawa jest bardzo pilna. Oczywiście potem będzie się pan

mógł umyć.

- Wynika z tego, że będę żył - odrzekł Middleton, ciesząc

się brzmieniem swojego głosu. - To dobra wiadomość. Nie

pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem coś porządnego. Czy

podczas tej niezwykle pilnej rozmowy z gospodarzem

mógłbym dostać coś do jedzenia?

Rosjanin uśmiechnął się, jak gdyby miał do czynienia z

rozkapryszonym dzieckiem.

- Pan Czerniajew może załatwić wszystko.

- To musi być przyjemne - powiedział Middleton.

Winda zawiozła ich do ogromnego pomieszczenia

przypominającego hotelowy hol, choć Middleton nie potrafił

pojąć, po co komuś hol we własnym domu. Sala była

urządzona w barokowym stylu i wszędzie stały złocone

posągi, na ścianach wisiały osiemnastowieczne obrazy w

złoczonych ramach, a pod nimi ustawiono barokowe kanapy.

Kulturysta

poprowadził

Middletona

korytarzem

utrzymanym w tym samym rokokowym stylu i po chwili

weszli do surowego i nowoczesnego salonu, umeblowanego

prostymi, kanciastymi krzesłami i stołami. Ściany były

udekorowane stosunkowo współczesnymi portretami, lecz

Middleton nie rozpoznał uwiecznionych na nich osób.

Kulturysta przeprosił go i wyszedł. Middleton został sam

w przestronnym pokoju. Specjalnie nie przemarzł, ale

podszedł do kominka i zatarł dłonie przed ogniem, żeby po

prostu coś zrobić i nie myśleć o głodzie, smrodzie, zmęczeniu

i bólu. Poza tym miał brudne, zakrwawione ręce i nie chciał

czegokolwiek dotykać.

Po niecałej minucie otworzyły się jedne z wielu drzwi i

ładna służąca postawiła na stole tacę. Ku rozbawieniu

Middletona, podano na niej hamburgera, frytki i szklankę coli.

Być może kulturysta sądził, że Amerykanie nie potrafią tknąć

niczego innego. Nie było to ulubione menu Middletona, ale na

razie mógł się i tym zadowolić. Wytarł ręce w ciepły ręcznik

leżący obok tacy i w kilka minut pochłonął jedzenie.

Ledwie skończył, a drzwi otworzyły się ponownie.

Middleton miał nadzieję, że ładna służąca chce mu dolać coli,

ale zjawił się ktoś inny. Na progu stał mężczyzna, którego

twarz dobrze znał z raportów wywiadu i zdjęć w prasie.

Arkady Czerniajew.

Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Czerniajew był Skorpionem.

Wysoki i przystojny gospodarz należał do kręgu niestarzejących się mężczyzn w wieku od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu kilku lat, którzy cieszyli się doskonałą kondycją i nienagannie się ubierali. Czerniajew miał na sobie ciemny garnitur, modelowo zawiązany krawat i białą koszulę z wysokim kołnierzykiem. Przypominał polityka, który ma wygłosić przemówienie w telewizji.

- Pułkowniku Middleton, cieszę się, że jest pan cały i zdrow. Mam nadzieję, że został pan nakarmiony i napojony - powiedział Arkady Czerniajew.

Middleton uniósł szklankę.

- Chętnie napiłbym się jeszcze coli.

- Tak - odrzekł Czerniajew - człowiek ocalony z pożaru musi mieć pragnienie.

Błyskawicznie zjawiała się służąca z colą. Zabrała pustą szklankę Middletona i wyszła. Czerniajew zaprosił gestem

Middletona, by usiadł na jednym z krzeseł przy kominku.

Pułkownik zajął wskazane miejsce. Rosjanin zasiadł naprzeciwko.

- A więc przypuszczam, że pragnie mi pan zadać kilka pytań - zaczął Czerniajew.

- Owszem. I kilka następnych właśnie przyszło mi do głowy. Czerniajew nieznacznie się uśmiechnął.

- Domyślam się. Być może chce pan wiedzieć, dlaczego zaatakowałem willę.

- Zamierzałem zacząć to pytanie od „czy” - odparł

Middleton. - Ale cieszę się, że od razu mogę przejść do „dlaczego”.

- Powód jest dość prosty. Posiada pan pewne ważne informacje, które muszę ujawnić światu. Ludzi, którzy pana przetrzymywali, nie obchodziły takie rzeczy.

- Kim byli ci ludzie?

- Nazywają się Grupą. Moim zdaniem nazwa w swojej prostocie

jest

niedorzeczna,

ale

odpowiada

im

jej

wieloznaczność. Ich poprzednicy zorganizowali się pod

koniec drugiej wojny światowej - naukowcy i politycy, którzy

pozbierali to, co zostało z programu jądrowego nazistów.

Głównie Niemcy i Rosjanie. Ale nie handlują bronią, w

każdym razie nie tylko. Chcieliby wywierać wpływ na bieg

spraw świata.

Sekta, o której mówił mu Rusłan, grupa pragnąca

wskrzesić technologię miedzianej bransolety.

- Mówi pan o nich z pogardą - zauważył Middleton. - Nie pochwała ich pan.

- Nie pochwalam ich metod, ale nie samych działań.

Gdybym ich krytykował, byłbym hipokrytą, bo sam mam na

sumieniu podobne rzeczy. Postanowiłem panu zaufać,

pułkownikowi Middleton. Rozumie pan chyba, że nie zrobiłbym

tęgo, gdyby sytuacja nie stała się tak tragiczna. Widzi pan, ja

także staram się wpływać na losy świata, ale mam nadzieję, że

ze szlachetniejszych pobudek. W tej roli występuję pod

pseudonimem...

- Skorpion.

- Wie pan o tym? - zdumiał się. Middleton skinął głową.

Czerniajew uniósł dłoń, jak gdyby chciał coś

powstrzymać.

- Wiem, wiem, to absurd. Rozumie pan, że muszę

zachować anonimowość. Pseudonim „Skorpion” nadano mi

wbrew mojej woli, ale to zupełnie inna historia. Jest wiele

innych historii i przyjdzie na nie czas później, bo teraz jak

sądzę jest pan zmęczony i chciałby pan wziąć prysznic,

dlatego nasze spotkanie będzie krótkie. Oczekuję od pana

tylko jednej rzeczy, pułkownikowi Middleton.

- Jakiej?

- Na uroczystości otwarcia zapory Baglihar za kilka dni

przybędzie z niezapowiedzianą wizytą amerykańska sekretarz stanu. Zależy mi, żeby był pan przy tym obecny.

- Gdzie to jest?

- Na rzece Cenab w północnym Kaszmirze. Najbliższą osadę zamieszkują ludzie wysiedleni podczas budowy zapory. Nie przypominam sobie indyjskiej nazwy, ale wszyscy mówią o niej po prostu „Wioska”.

A apartamencie paryskiego hotelu Leonora Tesla była już ubrana, choć prowizoryczny bandaż zrobiony z hotelowego ręcznika przesiąkł krwią i plamił jej ciemną bluzkę. Charley Middleton stała nad Janą, córką Grovera, która siedziała na podłodze z rękami związanymi z tyłu kablem telefonicznym i nogami skrępowanymi przewodem wyrwanym z lampy. W jej ustach tkwił knebel z podartej bluzki.

Charley Middleton miała w ręku broń, a Tesla nóż do rozcinania listów, który znalazła w szufladzie biurka.

- Nora, naprawdę powinnaś pójść do szpitala -
powiedziała Charley.

- Krwawienie już prawie ustało. Pojedziemy do szpitala niedługo, ale najpierw musimy się zastanowić, co z nią zrobimy.

Tesla odłożyła nóż do papieru, wyciągnęła knebel z ust

napastniczki i szybko się cofnęła. Znów chwyciła nóż.

- Może zechcesz nam powiedzieć, kto i dlaczego szuka pani Middleton? - powiedziała.

Jana skierowała na obie kobiety wzrok pełnym nienawiści i pogardy. Odrzekła po francusku:

- Nie ma takiego bólu, którego nie potrafię znieść. Tesla spojrzała jej w oczy.

- Przekonajmy się, czy to prawda.

ROZDZIAŁ 12

P. J. PARRISH

Cichy jęk w kącie przyciągnął wzrok Tesli. Charley stała oparta bezwładnie o ścianę. Wciąż ścisnęła w ręku dziewięciomilimetrowego hawlana, ale lufa z długim tłumikiem celowała w podłogę.

- Charley! - upomniała ją ostro Tesla. - Trzymaj ją na muszce.

Skierowała na nią oczy pełne łez. Gdy uniosła broń, musiała ją trzymać w obu drżących rękach.

Tesla odwróciła się do Jany, która siedziała przed nią na podłodze. Jej ciemna skóra lśniła od potu, a oddech był tak płytki i szybki, że Tesla słyszała świst powietrza przy każdym wdechu, gdy córka Grovera próbowała zachować spokój.

Po raz trzeci Tesla pstryknęła zapalniczką i przytknęła do płomienia poczerniały czubek noża do papieru. Z ostrza

uniosła się smużka dymu - nie z osmalonego srebra, ale z przypalonych kawałeczków ciała, które przykleiły się do noża.

Kiedy wyciągała rękę do twarzy Jany, przez głowę przemknęło jej wspomnienie plaży na Cap d'Antibes. I

Harolda przesłuchującego Balana tak samo, jak przesłuchiwał wszystkich podejrzanych, choćby popełnili najohydniejsze zbrodnie.

Harold rozmawiał z nimi spokojnie, odnosząc się do nich z szacunkiem. Nie ma sensu znęcać się nad podejrzanym, mówił. To przynosi skutek odwrotny do zamierzonego.

Tesla odsunęła od siebie twarz i słowa Harolda. To był jego styl, nie jej.

Trzymała nóż do otwierania listów przed twarzą Jany.

Oczy kobiety wypełniły się łzami sprzeciwu. Jej ciemne włosy były zlepione krwią z rany, którą zadała jej Tesla, uderzając ją krzesłem. Wargi spuchły od ciosów pięści Tesli. Wszystko przyjmowała z kamienną twarzą. Dopóki Tesla nie musnęła rozgrzanym do czerwoności nożem do papieru gładkiej oliwkowej skóry na delikatnie zarysowanej kości policzkowej Jany.

Próżność. To był klucz do rozwiązania jej języka.

- Dlaczego próbujesz zabić Charley Middleton? - spytała ostro Tesla.

Jana zamknęła oczy.

- Dla kogo pracujesz?

Jana przywarła do ściany, starając się uciec od noża do papieru.

Tesla znów rozgrzała koniec ostrza, trzymając go nad płomieniem, aż stał się czerwony. Po chwili przycisnęła go do policzka Jany.

Jana szarpnęła się w bok i wrzasnęła.

Kiedy osunęła się na wykładzinę, z kieszeni jej płaszcza wypadł telefon komórkowy. Tesla zauważyła, jak spojrzenie Jany pomknęło w ślad za nim. Chwyciła komórkę i rzuciła ją daleko, by Jana nie mogła jej dosięgnąć.

- Dla kogo pracujesz? - naciskała Tesla.

- Nie powiem - szepnęła po angielsku Jana przez zaciśnięte zęby. - Nigdy go nie zdradzę.

- Kogo? Skorpiona? Swojego ojca? Przecież on nie żyje.

- Nie żyje - szepnęła Jana. - Też niedługo nie będziesz żyć. - Popatrzyła na Charley. - Ona też.

Tesla znów przycisnęła ostrze noża do policzka Jany.

Kobieta wydała kolejny wrzask i pokój wypełnił zapach palonego ciała.

- Przestań! - krzyknęła Charley Middleton. Oczy Tesli zwróciły się w jej stronę.

- Przestań! Przestań!

Charley wcisnęła się w kąt, zasłaniając usta ręką. W

drugiej dłoni zwiślał bezwładnie pistolet.

- Charley - powiedziała spokojnie Tesla.

Ale dziewczyna nie słuchała. Szlochała. Tesla patrzyła na nią, zastanawiając się, czy podejść do niej, czy kazać jej wyjść z pokoju. Ale czując pulsujący ból w ranie postrzałowej, wiedziała, że nawet gdy Jana została skrepowana i unieszkodliwiona, sama może sobie z nią nie poradzić.

Poza tym obiecała Haroldowi, że będzie chronić Charley.

To była jego ostatnia prośba, kiedy rozstawali się w Londynie.

Zdradził jej swój plan wyjazdu do Rosji, a gdy nalegała, żeby zabrał ją ze sobą, poprosił, żeby spotkała się z Charley w Paryżu.

Nora, nie mogę jej stracić.

Potem w nocy, leżąc wtulona w jego spoconą pierś, w pościeli wilgotnej od ich miłości, poczuła bijące od Harolda Middletona ból i smutek, jakich nigdy dotąd nie czuła.

Wyraźnie dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu wciągnięcia ukochanej córki w tę, jak ją nazywał, „donkiszotowską krucjatę” i zagrożenia, jakie niosła ta operacja. Objęła go w ciemnościach i obiecała, że będzie jej strzec.

- Biedna mała Charlotte.

Na dźwięk głosu Jany Tesla ponownie wbiła wzrok w ciemnooką kobietę opartą o ścianę.

- Zamknij się! - syknęła.

Jana z wysiłkiem ułożyła spuchnięte wargi w złośliwy uśmiezek.

- Córka nie odziedziczyła po ojcu odwagi - powiedziała po francusku.

- Mówiłam, zamknij się! - Tesla z rozmachem uderzyła Janę wierzchem dłoni. Rozcięta warga pękła i na ścianę trysnęła krew.

- Przestań! - zawołała Charley. - Dość już, Nora, proszę!

Tesla patrzyła na nią. O co chodzi? Skąd to się wzięło?

Przez ostatni kwadrans, gdy Tesla przesłuchiwała Janę,

Charley siedziała cicho. Nawet kiedy Jana zaczęła

rozdzierająco jęczeć, Charley ani drgnęła, nie wydając

żadnego dźwięku. A teraz nagle się rozkleiła.

- Dość, Nora - szepnęła. - Proszę. Proszę, już nie mogę.

Dłużej tego nie zniosę.

Nagle Tesla zrozumiała. Mimo swojej brawury Charley

nigdy nie była świadkiem niczego takiego - przesłuchania i

poddawania torturom człowieka. I to kobiety. Chociaż Harold

chętnie pozwalał Charley pracować na tyłach swojego

zespołu, nigdy nie dał jej poznać brutalności świata, w jakim

działali Ochotnicy. Charley Middleton włamywała się do

komputerów, zbierała informacje. Znała rzeczywistość

wirtualną. Miała czyste ręce.

Ale przemoc odcisnęła piętno na jej życiu. Przeżyła brutalne morderstwo matki, która padła ofiarą wrogów jej ojca. Przeżyła zdradę i śmierć męża. Stratę dziecka.

Tesla przypomniała sobie coś jeszcze. Wczoraj w kawiarni Charley otworzyła się do tego stopnia, by mówić o śmierci matki, a potem dodała: „Wiem, że ty i Harry byliście kochankami. Nienawidziłam cię za to, ale to już przeszłość. Podziwiam cię, Nora”.

I drugie wspomnienie. Swoich słów, gdy wczoraj w taksówce zagroziła Ianowi Barrett - Bone'owi w obecności Charley: Zastrzelą cię dla samej przyjemności.

W uszach Tesli rozbrzmiewał szloch Charley. Zerknęła na Janę, której czarne oczy błysnęły nienawiścią.

- Biedna mała Charlotte - powiedziała Jana ze współczuciem. - Wszędzie towarzyszy ci śmierć. Matka, mąż. Dziecko, które wycięli ci z...

Tesla obróciła się gwałtownie i z całej siły trzasnęła Janę, która dostała napadu kaszlu i zaczęła pluć krwią.

Rozległ się głuchy łomot. Tesla kątem oka zobaczyła, że Charley osunęła się na wykładzinę.

Ta chwila nieuwagi wystarczyła. Jana błyskawicznym ruchem uniosła związane ręce i wymierzyła Tesli cios w szczękę. Leonora zatoczyła się do tyłu, a nóż do listów wyleciał jej z ręki.

Drugi cios trafił w zraniony bark. Ciało Tesli przeszły

lodowate ostrza bólu. Pokój na sekundę zawirował, przybierając szaro - czarne barwy, a Tesla poczuła, jak pada na kolana.

Jana zmieniła się w rozmazaną sylwetkę, która wściekle szarpała kabel krępujący jej nogi w kostkach.

Tesla opanowała falę bólu i mdłości, skupiając się na jednej jedynej myśli. Broń... weź broń.

Rzuciła się w stronę Charley. Ciemna lufa pistoletu była ledwie widoczna spod niebieskiego dresu dziewczyny. Tesla chwyciła hawlena, uklękła i wycelowwała, zaciskając palec na spuście.

Zmrużyła oczy, aby pokój odzyskał ostrość.

Nic. Dojrzała tylko błysk czarnych butów i białego trencza znikających za drzwiami hotelowego pokoju.

Jana, potykając się, zbiegła po schodach, ale gdy dotarła do holu, zamarła. W recepcji stał potężny mężczyzna w zielonej kurtce i czapce bejsbolowej. Miał czerwoną twarz i energicznie walił w dzwonek na ladzie.

- Halo? Jest tu kto?!

Z miejsca, w którym stała, Jana widziała buty martwego recepcjonisty, ale Amerykanin nie. Od wejścia dobiegł jakiś hałas. Tęga kobieta usiłowała wtaszczyć przez drzwi wielką walizę. Przez szybę Jana dostrzegła otwarty bagażnik

taksówki i kierowcę, który zręczliwym tonem wyrzucił z siebie potok francuskich słów, wyciągając kolejne bagaże.

Taksówka została zaparkowana na drugiego, blokując jej limuzynę. A za kierownicą nie było nikogo.

Gdzie do diabła był jej kierowca?

Zauważyła Marokańczyka po drugiej stronie ulicy, gdzie w tabacu kupował papierosy. Jana zakłęła, ostrożnie dotykając oparzonego policzka.

Za sobą usłyszała na schodach jakiś odgłos. Ta dziwka ją goniła. Nie było czasu do stracenia.

Jana popędziła wąskim korytarzem w głąb budynku.

Maleńka kuchnia tylko mignęła jej po drodze i chwilę potem wypadła za drzwi, czując chłód poranka. Rozejrzawszy się szybko, zorientowała się, że jest w ślepych zaułku i ma tylko jedno wyjście.

Nie było wyboru. Musiała zaryzykować wyjście na ulicę.

Zaczęła biec.

W holu Tesla dokonała błyskawicznej oceny sytuacji.

Zwłoki w recepcji, dwoje zdumionych i przemoczonych Amerykanów. Ale ani śladu Jany.

Trzymając hawlana przy boku, Tesla pokonała barykadę z bagażu zagradzającą drogę do drzwi, ignorując wrzaski Amerykanina. Na ulicy przystanąła.

Tesla analizowała opcje z szybkością komputera.

Taksówka? W Paryżu nie da się zatrzymać taksówki na ulicy, a najbliższe postoje były puste.

Metro? Najbliższa stacja to George V, dobre pięć minut marszu.

Nie, Jana na pewno będzie się starała skontaktować ze swoim zleceniodawcą.

Tesla pospiesznie zlustrowała ulicę. Nawet podczas godzin szczytu aleja Pierre ler de Serbie była stateczną ulicą, na której dominowały kamienne fasady starych budynków. O siódmej w zimny, październikowy ranek, nie było tu żywego ducha prócz właściciela kawiarni, zakłócającego ciszę skrzypieniem otwieranych żaluzji.

I oprócz...

Samotnej postaci w bieli, która właśnie zniknęła za rogiem w oddali. Tesla rzuciła się w pościg.

Gdy jednak dotarła do rogu, stanęła jak wryta.

Tłum ludzi, zgiełk głosów, morze zapachów.

Niech to szlag. Sobota. Dzień targowy.

Tesla ruszyła naprzód wąskim przejściem, rozglądając się czujnie między straganami wypełnionymi po brzegi warzywami, owocami, rybami i serami. Zewsząd napierali na nią ludzie - młode kobiety z wózkami, staruszki dźwigające wiklinowe kosze, chłopcy na motorowerach. Tesla starała się nie pokazywać broni, mając nadzieję, że szerokie spodnie

stanowią dostateczną zasłonę. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, był wybuch paniki.

Szła dalej, starając się złowić w tłumie sylwetkę Jany.

Kobieta nie mogła długo pozostać niezauważona. Miała zmasakrowaną twarz, a jej biały trencz był zaplamiony krwią.

Gdzie ona jest, do cholery?

Tesla skrzywiła się z bólu. W oknie kawiarni dostrzegła własne odbicie. Zobaczyła potargane włosy, a na bluzce świeżą plamę krwi z rany w barku.

Witryna, w której się przeglądała, była udekorowana pomarańczową i czarną krepiną, papierowymi szkieletami i czarnymi kotami. Halloween. Dziś był Halloween, święto, które paryżanie całkiem niedawno przejęli od Amerykanów.

Dziś Pola Elizejskie będą się roić od pijanych dzieciaków z zębami wampirów, umorusanych sztuczną krwią.

Dwie kobiety na ulicy zalane prawdziwą krwią nie wzbudziłyby dziś prawie żadnego zainteresowania.

W odległości dwudziestu metrów przy straganie mieniącym się powodzią barw mignęła biała plama. W chwili, gdy Tesla dotarła do straganu z kwiatami, Jana znów zniknęła.

Po lewej otwierała się wąska aleja, podobna do ślepego zaułka przy hotelu. Tesla podjęła szybką decyzję i wbiegła w otwarte drzwi mniej więcej w połowie długości alejki.

Kuchnia. Pusta.

Uchyliwszy ciężką kotarę, zobaczyła niewielką salę jadalną bistra. Szczupły mężczyzna w białej bluzie składał serwetki, ale przerwał na jej widok.

- Dokąd poszła? - spytała ostro Tesla.

Młody człowiek widząc broń, szeroko otworzył oczy.

- La femme dans blanc! Ou est - elle allée?

- La bas. - Wskazał kręte schody.

Odkręcając tłumik, Tesla z dreszczem niepokoju głęboko nabrała powietrza i ruszyła wąskimi schodkami w dół.

Szybko przeszukała dwie małe toalety. Nikogo. Za trzecimi drzwiami znajdował się niewielki magazyn. Na

zimnej

ścianie

Tesla

wymacała

włącznik

światła.

Pomieszczenie wydobyła z mroku naga żarówka u sufitu.

Chropowate kamienne ściany, popękane płytki posadzki.

Szeregi starych stolików, połamanych krzeseł, pudeł i skrzyń.

Wśród rupieci utorowano tylko ścieżkę prowadzącą do półek z winem ustawionych pod kamienną ścianą.

Tesla powoli sprawdziła ciemne zakamarki. Wiedziała, że

Jana nie ma broni, lecz nie zamierzała ryzykować. Skradała

się między gratami, ściskając mocno hawlana w obu dłoniach.

Zatrzymała się i stała nieruchomo, nasłuchując.

Nie słyszała żadnego dźwięku.

Po chwili jednak coś poczuła. Powiew zimnego powietrza na karku.

Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i wycelowwała w stertę krzeseł. Podeszła ostrożnie, gotowa zareagować na każdy ruch za trzymetrową płataniną drewnianych nóg i postrzępionych rattanowych siedzisk. Powiało mocniej.

Tesla złapała nogę krzesła na szczycie sterty i szarpnęła.

Krzeseła na górze z hałasem spadły na posadzkę, a jedno z nich zahaczyło o żarówkę, która rozkołysała się jak szalona.

Jezu.

Niewielkie otwarte drzwi w kamiennej ścianie. Przy każdym wahnięciu żarówki Tesla mogła zajrzeć do środka.

Tunele. Nie kamienne, ale wydrążone w jakimś szaro - białym materiale. Niski, łukowaty sufit zawieszony nie wyżej niż dwa metry nad ziemią.

Ze środka wionęło zapachem kurzu.

Co to jest?

Ale po chwili wyczuła dziwną woń. Kreda?

Zapach przywołał wspomnienie. Harold... tamten wieczór sprzed pięciu lat, gdy w najgorętszym okresie ich romansu przywiózł ją na weekend do Paryża. Kolacja w Taillevent,

chateau haut - brion za trzysta euro. Żeby zrobić na niej

jeszcze większe wrażenie, pokazał jej piwnicę restauracji.

Sommelier powiedział im, że elegancka piwniczka była kiedyś

zatechłą jaskinią, częścią sieci tuneli biegnących pod Paryżem,

pozostałością

po

niegdyś

świetnie

prosperujących

kamieniołomach kredowych. Pod kamienicami, kawiarniami i

sklepami biegły setki kilometrów tuneli. Większość z nich

stała pusta i pozamykana na głucho.

Tesla wzięła głęboki oddech i weszła w mrok.

Rozkołysana żarówka dawała pulsujące światło, które

sięgało jednak tylko dziesięć metrów w głąb tunelu.

Tesla stała jak posąg, wyostrając zmysły, by pochwycić

najdrobniejszy szelest i ruch. Przypływ adrenaliny niczym

silny lek stępił ból ramienia.

Wolno ruszyła dalej. Przy gasnącym blasku rozhuśtanej

żarówki zobaczyła, że tunel rozwidła się na dwie odnogi.

Coś czmychnęło w bok. Szczur.

Coś kapnęło jej na kark. Woda.

Z bliska doleciał zapach padliny.

Cios padł z lewej, wymierzony w zraniony bark. Tesla

zdażyła jednak w porę odskoczyć i butelka wina trafiła niżej.

Zacisnęła zęby, starając się zapanować nad bólem, i mocniej zacisnęła dłoń na rękojeści pistoletu.

Nad jej głową rozległ się trzask i Teslę zasypał grad szkła i deszcz czegoś zimnego. Wybuchła druga butelka i Leonora zamknęła oczy, czując na twarzy szczypiące krople wina.

Gdzieś niedaleko drewno stuknęło o drewno i Tesla zobaczyła Janę uciekającą bocznym wyjściem. Usiłując wygrać z bólem i próbując złapać oddech, ile sił w nogach ruszyła za napastniczką.

Pieszny pościg spokojnymi ulicami, przy których stały ekskluzywne domy i małe hoteliki, zdawał się trwać w nieskończoność. Zakończył się dopiero wtedy, gdy Jana przecięła l'avenue de New York, kierując się w stronę pont d'Alma. Mimo bólu i zmęczenia, Tesli udało się jednak zmniejszyć dzielącą je odległość. W momencie gdy Jana dotarła do mostu, upadła. Tesla, widząc, że ścigana nie ma już dokąd uciekać, ukryła broń i przemknęła slalomem między samochodami, biegnąc prosto w kierunku napastniczki.

Jana zdołała dźwignąć się na nogi. Unosząc wzrok, zobaczyła, że Tesla jest już po drugiej stronie ulicy i zbliża się do niej.

Na ciemnej twarzy Jany odmalowała się rozpacz i rezygnacja.

Gdyby Tesla nie związała się z bólu, gdyby nie miała świeżo w pamięci widoku młodego oficera NATO, któremu ramię rozszarpała eksplozja spowodowana przez Janę, gdyby nie wiedziała, do jakich okrucieństw jest zdolna ta kobieta, być może ogarnęłaby ją litość.

Ale mina Jany wyraźnie wskazywała, że zdaje sobie sprawę, iż nadszedł koniec, i nie zamierza więcej pozwolić się torturować. Spojrzawszy z pont d'Alma na Sekwanę, zobaczyła, że do mostu zbliża się jeden ze słynnych bateaux mouches - statków turystycznych pływających po rzece. Jana spojrzała w oczy Tesli i wgramoliła się na balustradę mostu. - Nie! - krzyknęła Tesla, wyciągając rękę.

Po chwili wahania Jana rzuciła się w mętną wodę tuż przed nadpływający statek. Tesla zobaczyła, jak znika pod dziobem.

Kapitan nie zauważył tragedii i łódź przepłynęła pod mostem. Nad powierzchnią rzeki wciąż niósł się głos przewodnika. Chwilę później Tesla ujrzała unoszący się w kilwaterze tułów kobiety z rozłożonymi rękami i głową całkowicie pograżoną w brązowej wodzie.

Kiedy Tesla wróciła do hotelu Queen Elizabeth, właśnie przyjechał radiowóz policji. Skręciła do bocznych drzwi od strony ślepego zaułka i weszła na górę. Drzwi do ich pokoju nie były zamknięte.

- Nie żyje - szepnęła Tesla.

Charley leżała zwinięta na kanapie, obejmując ramionami kolana. Uniosła śmiertelnie bladą twarz.

- To się nie skończy - powiedziała.

Tesla położyła pistolet na stole. Charley była w szoku.

Podeszła i usiadła obok niej.

- Już dobrze, Charley - powiedziała.

- Nie skończy.

- Wiem, ale...

- Telefon - przerwała jej Charley. - Nigdy nie skończy

dzwonić. Tesla czuła ból w całym ciele i kręciło się jej w głowie. Zauważyła jednak, że Charley ma wzrok utkwiony w podłodze. Leżała tam komórka Jany.

Tesla podniosła telefon. Wyświetlacz informował o pięciu połączeniach i trzech SMS - ach.

- Odebrałaś? - spytała.

Charley w milczeniu pokręciła głową.

Tesla szybko przewinęła listę połączeń. Dzwoniono z tego samego numeru, którego nie rozpoznała. Włączyła odczyt wiadomości. Pierwsza była w hindi, zupełnie niezrozumiała.

Ale druga po francusku: OU ES - TU?

Ale zatrzymała się dopiero przy trzeciej. W tłumaczeniu brzmiała MELDUJ STAN ZADANIA CM.

CM? Charlotte Middleton? Ale co to za zadanie?

Tesla po krótkim wahaniu wstukała odpowiedź po

francusku: ZADANIE WYKONANE.

Komórka zabrzęczała natychmiast i na ekranie ukazał się

tekst: ŻYWA CZY MARTWA?

A zatem znała odpowiedź. Chodziło im o córkę Harolda.

Ale dlaczego? Uświadomiła sobie, że od wyjazdu Harold ani

razu się z nimi nie kontaktował - ani przez zwykłą, ani

szyfrowaną komórkę. Co oznaczało, że albo został zatrzymany

- albo zamordowany. Wystarczyłby jeden telefon do Charley

albo do niej, żeby je natychmiast zlokalizowano. Harold nie

chciał, aby odkryto miejsce pobytu córki.

Tesla spojrzała na Charley, która kołysała się tam i z

powrotem.

Przynęta, która miała odwrócić uwagę Harolda. Oto kim

była Charley. Chcieli ją wykorzystać przeciw ojcu. Stanowiła

jego słaby punkt i wiedzieli, że gdyby uznał, że grozi jej

niebezpieczeństwo, zrobiliby wszystko, aby znaleźć się przy

niej.

Tesla już wiedziała, co zrobić.

Napisała SMS - a. CM NIE ŻYJE.

Zamknęła oczy, czekając na odpowiedź. Kiedy nadeszła,

zmroziła jej krew w żyłach.

WYŚLIJ DOWÓD.

Znów popatrzyła na Charley. Czy mogła jej to zrobić?

Skłonić tę zdruzgotaną dziewczynę, żeby jej pomogła?

Tesla podeszła do kanapy i wzięła Charley za rękę.

- Charley, musisz mnie posłuchać - powiedziała łagodnie.

Dziewczyna spojrzała na nią bez słowa.

- Charley, muszę ci zrobić zdjęcie. - Zdjęcie?

Tesla rozejrzała się po pobojowisku w pokoju. Zatrzymała

wzrok na zakrwawionej bluzce, którą zakneblowała Janę.

- Szybko, pomóż mi - powiedziała.

Prowadząc Charley za rękę, podniosła bluzkę i wskazała

Charley miejsce, gdzie wcześniej siedziała Jana.

- Włóż to - powiedziała. Charley wzdrygnęła się.

- Co?

- Proszę, Charley, mamy mało czasu. - Dlaczego? Co...

- Charley, pomożemy twojemu ojcu. Pomożemy

Harry'emu.

- Harry'emu?

- Włóż tę bluzkę. Charley pokręciła głową.

- Nie, dopóki mi nie powiesz po co. Gdzie jest Harry? Co się z nim stało?

Tesla opanowała zniecierpliwienie. Szybko wyjaśniła, że jej ojciec jest w Rosji i nie będzie mógł zrobić tego, co ma zrobić, dopóki się nie upewni, że jest bezpieczna.

- To dlaczego ma myśleć, że nie żyję?

- Nie chodzi o twojego ojca. Chcę, żeby ci, którzy wysłali

za tobą Janę, pomyśleli, że nie żyjesz. Twój ojciec musi... móc

zrobić, co ma zrobić. Rozumiesz?

Charley odwróciła wzrok.

- Charley, ufasz mi?

Wolno pokiwała głową, nie patrząc jednak na nią.

- Więc zrób, o co cię proszę. Błagam.

Charley wzięła zaplamioną krwią bluzkę i narzuciła na T -

shirt. Nagle przerwała i podeszła do biurka. - Charley?

Zamaszyście nagryzmoła coś flamastrem i przyniosła

kartkę Tesli.

- Zrób mi zdjęcie z tym - powiedziała.

Tesla wzięła arkusz. Charley napisała na nim trzy słowa:

GREEN LANTERN. EWAKUACJA. - Co to jest?

- Kiedy byłam mała, Harry i ja ułożyliśmy swój kod na

wypadek, gdybym miała jakieś kłopoty. Mama uważała, że to

głupie, ale... - W jej oczach błysnęły łzy. - Green Lantern to

nasz ulubiony bohater komiksu. „Ewakuacja” oznacza, że

jestem w bezpiecznym miejscu i czekam, żeby po mnie

przyjechał.

Tesla zawahała się, po czym otoczyła Charley ramieniem.

W ciągu paru minut upozowała Charley do fotografii.

Dziewczyna usiadła oparta ciężko o ścianę, mając w tle plamy

krwi Jany na ścianie i wykładzinie. Tesla położyła kartkę z

wiadomością w taki sposób, że wyglądała jak papier, który

przypadkowo wypadł z kosza na śmieci.

Zanim Charley spakowała walizkę, Tesla wysłała zdjęcie.

Wyszły z hotelu przez kuchnię, unikając spotkania z coraz większym tłumem, który zgromadził się w holu wokół martwego recepcjonisty.

Tesla zaczęła już sobie układać w głowie plan. Wyśle Charley najbliższym samolotem do Stanów. Gdy dziewczyna będzie bezpieczna, postara się odnaleźć Harolda.

Zadzwiała komórka Jany. Wychodząc z hotelu na aleję Pierre ler de Serbie, Tesla zerknęła na ekran telefonu.

Widniało tam jedno angielskie słowo:

PIĘKNE.

ROZDZIAŁ 13

BRETT BATTLES

Musi pan wiedzieć, jakie zamiary ma Sikari - powiedział do Czerniajewa Harold Middleton. Krew ścięła mu się w żyłach, gdy Rosjanin poinformował go o wizycie amerykańskiej sekretarz stanu na zaporze Baglihar. Middleton powiedział gospodarzowi o e - mailu od Sikariego do Kavięgo Balana, w którym wspomniał o planie związanym z Wioską. Zrozumiał już, że chodzi o wysadzenie zapory za pomocą materiałów termobarycznych z Florydy. Czerniajew przez moment przypatrywał się Middletonowi.

- Sikari nie żyje - rzekł w końcu.

- Nie żyje? - wykrztusił Amerykanin.

- Z tego, co słyszałem, zginął przez własną arogancję.

Interesy Sikariego przejął człowiek, którego nazywał swoim przybranym synem. Sikari interesował się tylko zaporą, a dopiero syn, Archer, zrozumiał, jaką okazję daje mu wizyta sekretarza stanu.

Middleton

patrzył

przed

siebie,

zaszokowany

wiadomością. Jedyнным celem misji Ochotników było odnalezienie Sikariego i oddanie tego zbrodniarza wojennego w ręce sprawiedliwości. Okazało się, że mimo śmierci poszukiwanego sytuacja staje się jeszcze poważniejsza.

- Jest pan za to odpowiedzialny, Czerniajew. Sprzedał pan mu materiały wybuchowe.

- Nie! Owszem, moje firmy sprzedają materiały

wybuchowe. Wysłałem pewną partię na miejsce, gdzie

budowano zaporę, razem z mnóstwem innego towaru. Jestem współwykonawcą tego projektu.

- Ładunki termobaryczne mają zastosowanie bojowe.

Czerniajew uśmiechnął się lekko.

- Dlatego musiałem je transportować, powiedzmy, nieco

okreżną drogą. Moi inżynierowie nie chcieli używać trotylu.

Praca przy fundamentach trwałaby wieki. Chcieli czegoś skuteczniejszego.

- No więc ten skuteczniejszy środek ma rozwalić Wioskę w drobny mak.

Czerniajew się skrzywił.

- Wytropił mnie pan przez naszą firmę w Tampa, zgadza się? Sindhu Power.

- Zgadza się.

- Zanim ją zamknęliśmy, zostaliśmy obrabowani.

Skradziono materiały wybuchowe.

To wyjaśniało, dlaczego Sikariego interesowała Tampa. I

dlaczego złodzieje podłożyli bombę, która zabiła Jean - Marka Lespasse'a.

- To pan sponsorował edukację Sikariego.

- Ach, przeszłość... przeszłość. Żałuję, że nie możemy jej zmienić. Tak, uważałem go za błyskotliwego młodego człowieka, jednego z najinteligentniejszych, jakich poznałem.

Chciałem, żeby dla mnie pracował nad stworzeniem tańszej energetyki jądrowej dla krajów rozwijających się. Doszło między nami do kłótni. Nie podobały mi się jego plany. Nie interesowało go pokojowe wykorzystanie metali ciężkich.

Interesowała go broń. Ale czy dał się przekonać? Nie. Jak

wielu młodych idealistów chciał wrócić do ojczyzny i walczyć

o niepodległość.

- A technologia, na której zależy Grupie?

- Sikari opracował metodę opartą na dawnej nazistowskiej teorii miedzianej bransolety. Ale odniósł tylko połowiczny sukces. Supergenerator z zastosowaniem tej technologii nie mógł działać tak, jak by sobie życzył... Pułkowniku

Middleton, jestem biznesmenem. Więcej zarabiam na żywych niż martwych. Jeżeli coś się stanie amerykańskiej sekretarz stanu, grozi nam coś więcej niż wojna na subkontynencie indyjskim.

Harold Middleton nie był pewien, czy wierzy we wszystko, co powiedział Rosjanin, ale to prawda, że zamach na sekretarz stanu wywołałby poważne reperkusje na całym świecie.

Jeśli Archer Sikari rzeczywiście przystąpił do realizacji planu ojca, to przyjazd sekretarz stanu będzie dla niego zbyt kuszącą okazją, żeby ją zmarnować. Jednym z celów, jakie krótko po zaprzysiężeniu nakreśliła sekretarz stanu, było złagodzenie napięć między Indiami a Pakistanem, ze szczególnym uwzględnieniem spornego regionu Kaszmiru. Niewątpliwie z tego powodu postanowiła tam pojechać.

- Musimy się natychmiast skontaktować z departamentem stanu

- powiedział Middleton.

- Oczywiście już ich zawiadomiono. Ale uzgodnili, że wizyta powinna dojść do skutku. Zostaną wprowadzone szczególne środki bezpieczeństwa - postara się o to departament stanu i moja firma, BlueWatch. W każdym razie nie mamy pojęcia, czy Archer w ogóle wie o tej wizycie.

- Dlaczego pan chce, żebym tam pojechał?

- Nie tylko ja. - Rosjanin podał mu odszyfrowany komunikat z departamentu stanu. Middleton rozpoznał nazwisko jednego z dyrektorów. Dokument upoważniał Middletona i Ochotników do odnalezienia Archera Sikariego i aresztowania go w porozumieniu z miejscowymi władzami. W ostatnim akapicie znalazła się informacja, że Tesla, Carson i Chang zostali zawiadomieni i potwierdzili otrzymanie komunikatu. Oznaczało to, że nic im się nie stało.

Middleton zwrócił uwagę, że dokument nie wspomina o Charley.

- Muszę się skontaktować z córką.

- Może pan wysłać tylko zaszyfrowany e - mail - rzekł Czerniajew.

- Sygnał komórkowy w mojej rezydencji jest stale monitorowany.

Middleton napisał wiadomość do Charley. Czerniajew podał list młodemu człowiekowi w uniformie BlueWatch, który wybiegł nadać e - mail.

- No więc pojedzie pan do Kaszmiru?

- Oczywiście - odparł Middleton.

- Jeden z moich ludzi pokaże panu pokój, gdzie będzie pan mógł odpocząć. Dopinamy ostatnie sprawy i kiedy tylko wszystko będzie gotowe, wyruszy pan w drogę. - Wyciągnął do niego rękę. - Życzę panu bezpiecznej i udanej wyprawy.

Middleton spojrział na dłoń Skorpiona i niechętnie ją uścisnął.

Zgodnie z przewidywaniami Archera Sanam zadzwonił do niego z wiadomością, że są gotowi do realizacji planu. Archer już zajął się przygotowaniem transportu materiałów wybuchowych za pośrednictwem swoich amerykańskich zleceniobiorców. W ciągu trzydziestu sześciu godzin ludzie Sanama zaczną rozmieszczać ładunki w ustalonych miejscach wewnątrz zapory.

Archer czuł głęboką satysfakcję. Pozostała mu tylko decyzja, gdzie będzie w chwili tego wielkiego wydarzenia.

Zapora znajdowała się w górzystym terenie, miał do wyboru wiele miejsc, z których mógł zobaczyć, jak rozpada się w kupę betonowego gruzu, grzebiąc sekretarz stanu.

Do większości tych miejsc można było dotrzeć tylko helikopterem, ale ten fakt nie stanowił dla niego problemu.

Mając do dyspozycji fortunę ojca, mógł w razie potrzeby kupić całą eskadrę helikopterów.

Miał wypełniające całe ciało poczucie władzy, o jakim dotąd mógł tylko marzyć. Jak gdyby pod skórą pulsowały mu ładunki elektryczne. Każdej nocy w pokoju, który dzielił z Harrisem, kiedy brat zasnął, Archer oczyma wyobraźni widział dzień, w którym przejmie ster. W którym stanie się władcą.

Martwił się tylko z powodu Jany. Była jego mieczem i jego kochanką, ale od ponad dwóch dni nie słyszał jej głosu. Ostatni raz rozmawiali, zanim jeszcze wysłała mu zdjęcie martwej Charlotte Middleton.

Szkoda, że dziewczyna nie żyła. Miał nadzieję, że uda się porwać córkę Harolda Middletona. Ale lepsza martwa niż na wolności.

Jana wysłała mu SMS z wiadomością, że przyjedzie jak najszybciej, ale depcze jej po piętach jeden z Ochotników Middletona, więc najpierw musi zająć się tym problemem.

Bardzo chciał do niej zadzwonić, ale się powstrzymywał.

Zgodnie z przyjętymi zasadami unikali kontaktu głosowego.

To był pomysł Archera. Nie chciał, by ktokolwiek znał brzmienie jego głosu. Nawet przy zastosowaniu najlepszych szyfrów zawsze istniało ryzyko, że ktoś gdzieś będzie potrafił je złamać.

Archer pragnął rządzić, pozostając duchem, nikomu nieznanym i budzącym powszechny lęk.

A do przyjazdu Jany musiał się zadowolić niecierpliwym wyczekiwaniem.

Miał już w tym duże doświadczenie.

- Mamy problem - szepnął do Sanama Umer.

Siedzieli w małej restauracji w wiosce dwadzieścia kilometrów od zapory Baglihar. Urządzono ją w izbie rozsypującej się chałupy. W pozostałej części chaty mieszkała rodzina prowadząca interes.

W tym momencie Sanam i Umer byli jedynymi klientami.

Chłopiec, który ich obsługiwał, zniknął na zapleczu, żeby mogli zjeść w spokoju.

- Jaki? - zapytał Sanam.

- Z pilotami do detonatorów.

- W czym problem? - Nie działają. Sanam znieruchomiał na moment, zaskoczony słowami starego przyjaciela.

- Są niesprawne?

- Niezupełnie. Kiedy ładunki znajdują się w zaporze, sygnał nie przebije betonu. Jest za gruby.

- Ale w ogóle działają?

- Kazałem jednemu z naszych ludzi przemycić pilota i wypróbowałem go. Na zewnątrz działał doskonale.

Sanam stracił ochotę na jedzenie. Długie przygotowania, lata infiltracji i fizycznej harówki, stres, jakiemu od dwóch dni poddawał swoich ludzi - wszystko to miało pójść na marne.

Stracą niepowtarzalną okazję z tak prozaicznego powodu jak zablokowany sygnał radiowy. Jak do tego w ogóle mogło dojść?

- Nie powinniśmy ufać temu Amerykaninowi -

powiedział Umer. - Dał nam sprzęt, wiedząc, że nie będzie działał.

Sanam dostrzegł morderczy błysk w oczach przyjaciela.

- Uspokój się, Umer. Mamy jeszcze czas. Porozmawiam z nim i dostaniemy piloty, które będą działać.

- A jeżeli też będą niesprawne?

- Wtedy będziemy się tym martwić.

- Nie podoba mi się to - rzekł Umer, nadal

niezadowolony. Z głębi restauracji dobiegło szuranie stóp i do stolika wrócił chłopak, pytając, czy życzą sobie czegoś jeszcze.

- Nic więcej, dziękuję - powiedział Sanam. Gdy chłopak sprzątnął talerze i zniknął, Umer powtórzył:

- Mówię ci, nie podoba mi się to.

- A ja ci mówię, że cię rozumiem - odparł Sanam. - Też

nie jestem z tego zadowolony. Porozmawiam z tym

Amerykaninem i zobaczymy, co da się zrobić.

Middleton gwałtownie otworzył oczy.

Co to było, do cholery?

Spał twardo, gdy coś go zbudziło tak nagle, że serce omal

nie wyskoczyło mu z piersi. Sen? Jeśli tak, to najbardziej

realistyczny od lat. Jeśli nie, to co?

Sięgnął do nocnego stolika i spojrzął na zegarek.

4.09 rano.

Middleton wiedział, że powinien spróbować zasnąć.

Czuwanie doprowadziłoby go do szału. Kiedy zamykał już
oczy, usłyszał stłumiony huk. Potem następny i jeszcze jeden.

Strzały. Dobiegały sprzed rezydencji.

Momentalnie usiadł na łóżku, wiedząc, że ze snu musiał
go wyrwać wcześniejszy strzał.

Odrzucił kołdrę, ale zanim wstał z łóżka, usłyszał brzęk
kluczy. Otworzyły się drzwi jego pokoju.

- Szybko! Ubierać się. Niech się pan pośpieszy!

To był strażnik, który poprzedniego wieczoru kazał podać
mu kolację, teraz w rękach miał pistolet maszynowy. Za jego
plecami ukazał się drugi strażnik, podobnie uzbrojony.

Middleton wyskoczył z łóżka i w półmroku namacał
ubranie.

Ogień na zewnątrz przybrał na sile. Trudno było określić,
w jakiej odległości prowadzono strzelaninę, ale fakt, że dwaj
strażnicy czekali niecierpliwie, aż się ubierze, powiedział

Middletonowi wszystko, co chciał wiedzieć.

Kiedy wciągał drugi but, pierwszy strażnik popędził go:

- Szybciej, szybciej.

Chwycił Middletona za ramię i wypchnął na korytarz.

- Tędy!

Strażnik pociągnął go i zaczął biec. Middleton nie miał innego wyjścia tylko zrobić to samo. Słyszał, jak w innych częściach domu ludzie, biegając po korytarzach, wykrzykiwali rozkazy.

Strażnik skierował go za róg, a potem na szerokie kamienne schody. Middleton ruszył na stopnie prowadzące w dół, ale strażnik szarpnął go w lewo.

- Nie. Na górę.

Skacząc po dwa stopnie, wspinali się biegiem, aż dotarli do otwartych metalowych drzwi. Middleton ujrzał za nimi ciemne niebo i płaską powierzchnię dachu rezydencji.

Kiedy minęli drzwi, ogień przybrał na sile.

- To ślepa uliczka - powiedział Middleton. - Co robimy...

Nagle odgłos kanonady zagłuszył inny dźwięk. Niski, rytmiczny i znajomy. Middleton odwrócił się i zobaczył helikopter, który wyłonił się zza budynku, niemal muskając krawędź dachu. Zapewne nadleciał z tyłu rezydencji

Czerniajewa, trzymając się nisko, żeby nie zauważyli go napastnicy atakujący od frontu.

Gdy tylko śmigłowiec siadł na dachu, otworzyły się boczne drzwi.

Middleton nie czekał na instrukcje. Natychmiast ruszył

biegiem do helikoptera. Wsiadł, a pilot wskazał mu miejsce znajdujące się najdalej drzwi i gestem polecił zapiąć pasy.

Middleton zatrzasnął klamrę, uniósł głowę i dał pilotowi znak, że jest gotowy.

Ale helikopter ani drgnął.

Płozy nie odrywały się od dachu.

Wzrok Middletona przyciągnął ruch za otwartymi drzwiami. Na dachu pojawił się ktoś jeszcze. Ale Middleton ledwie go zauważył, bo w tym momencie niebo rozbłysło od potężnej eksplozji. Huk był ogłuszający, usuwając nawet na drugi plan hałas wirników.

W momencie gdy łoskot umilkł, Middleton nachylił się do pilota i wrzasnął:

- Musimy lecieć!

- Tak, Kirył. Najwyższy czas.

Middleton odwrócił się na dźwięk głosu. Do helikoptera wsiadał Czerniajew.

Gdy tylko zajął miejsce, śmigłowiec wystartował. Odleciał tak jak przybył, nisko, szybko oddalając się od huku strzelaniny.

Middleton, kiedy był prawie pewien, że już ich nie zestrzela, spojrzał na Czerniajewa.

- Co to było?

- Przepraszam - odrzekł Czerniajew. - Wygląda na to, że

wczoraj nie dopadliśmy wszystkich.

- Ma pan na myśli Grupę? Czerniajew wzruszył ramionami.

- Oczywiście.

Middleton milczał przez kilka chwil.

- A dokąd lecimy?

- Tam, gdzie panu mówiłem. Do Indii. Jedyna różnica polega na tym, że postanowiłem panu towarzyszyć.

Lekarz nie zadawał żadnych pytań. Był przyzwyczajony do pacjentów, którzy wchodzą tylnymi drzwiami z licznymi obrażeniami, od złamanych żeber, przez oparzenia trzeciego stopnia po rany zadane nożem. Kiedy więc zjawiała się kobieta z raną postrzałową barku, wsparta drugim ramieniem o towarzyszącą jej dziewczynę, nawet nie drgnęła mu powieka. Podał tylko cenę i zrobił co mógł.

Potem Tesla i Charley wynajęły pokój w hoteliku niedaleko Dzielnicy Łacińskiej, którego nie opuszczały, odważając się wyjść na ulicę tylko, gdy to było konieczne. Na ogół szły kupić jedzenie, ale raz przywłaszczyły sobie laptop. Właściciel, prawdopodobnie student, zostawił go na stoliku w kawiarni nieopodal Sorbony i poszedł do toalety. Charley zgodziła się pomóc Tesli w kradzieży, pod warunkiem że później odnajdą studenta i oddadzą mu jego własność. Potem stała na czatach, gdy Tesla pakowała laptop do wielkiej torby i

jak gdyby nigdy nic wyszła na ulicę.

W hotelu nawiązały kontakt z Wiki Changiem.

- Masz jakieś wiadomości? - zapytała.

- Żadnych. Obydwa telefony szefa nie działają.

Tesla westchnęła. Następnie zaczęli układać plan namierzenia osoby, która wysłała pod numer Jany SMS z pytaniem, co się stało z Charley.

Tesla domyślała się, kto to może być. Ian Barrett - Bone powiedział, że Sikariego zabił jego syn i że Jana miała w tym jakiś udział. Tesla przypuszczała, że tą osobą jest albo syn, albo ktoś, kto dla niego pracuje.

Nadawca chciał wiedzieć, kiedy Jana przyjedzie. Nie wspomniał gdzie. Ale z tonu wiadomości Tesla odgadła, że Janę i nadawcę łączy coś więcej niż interesy. Dlatego doszła do wniosku, że to musi być syn Sikariego. A jeżeli miała rację, tym pilniej musieli go zlokalizować.

- Hej, to nie jest takie łatwe - powiedział Chang. Pracował nad tym od kilku godzin.

Jego twarz była widoczna w okienku w prawym górnym rogu ekranu laptopa.

- Zawsze tak mówisz, a potem znajdujesz sposób - odrzekła Tesla.

- No, wiesz...

- Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że komórka nadawcy

nie ma GPS - a, co?

- Na pewno ma, ale za każdym razem, kiedy złapię sygnał, przeskakuje z Belize do Japonii, potem do Mali, Danii i diabli wiedzą dokąd jeszcze. Używa programów, które błyskawicznie zmieniają jego pozycję i nie da rady go namierzyć. Kiedy próbuję złapać sygnał transmisji, też mi się nie udaje. Z tego, co widzę, wysyła tylko SMS - y. Z tym zwykle nie ma żadnego kłopotu, ale kiedy tylko wyśle wiadomość, źródło jest natychmiast ukrywane.

- Czyli nie możemy go w żaden sposób namierzyć? - spytała Tesla.

- Tego nie powiedziałem - odparł Wiki.

Tesla nie była pewna, ale odniosła wrażenie, że Wiki się uśmiecha.

- Co wykombinowałeś?

- Jeżeli nie da się ustalić trasy wiadomości wychodzącej, pomyślałem sobie, że wystarczy po prostu sprawdzić trasę wiadomości przychodzącej. Zmajstrowałem to tak, że kiedy wyślę do Archera SMS prosto z mojego komputera, będzie myślał, że pochodzi z komórki, którą macie. Wiadomość będzie miała pakiet śledzący, który przy odbiorze poda mi lokalizację.

Tesla szeroko otworzyła oczy.

- No więc dlaczego jeszcze do niego nie napisałeś? -

Naprawdę chcesz, żebym wysłał do niego SMS - a? Niby o czym?

Tesla parsknęła śmiechem, lecz raptownie umilkła, gdy ból przeszył jej bark. Uśmiechnęła się tylko do Changa i powiedziała mu, co ma napisać.

Archer prawie dwadzieścia cztery godziny czekał na wiadomość od Sanama. Czuł się niemal rozczarowany Pakistańczykiem, który tak późno się zorientował, że ma kłopot. Tak czy inaczej nawiązali kontakt i umówili się na spotkanie.

Archer wybrał miejsce odległe półtora kilometra na północ od starej, zaniedbanej świątyni hinduskiej.

Sanam miał przybyć samochodem, natomiast Archer helikopterem. Dzięki temu miał okazję przyjrzeć się okolicy i poszukać źródeł ciepła, które mogły świadczyć o pułapce.

Choć nie sądził, żeby Sanam próbował jakiegoś numeru.

Pakistańczyk ślepo wierzył, że przyświeca im ten sam cel, ale ostrożność należała do dobrych praktyk. Ojciec nauczył go, że w ich świecie nie istnieje coś takiego jak paranoja.

Zgodnie z jego przypuszczeniami jedynym ciepłym punktem w promieniu kilometra wokół umówionego miejsca był Sanam. Stał obok samochodu dokładnie tam, gdzie polecił mu Archer.

Zadowolony Archer dał pilotowi pozwolenie na

lądowanie.

Gdy tylko płozy dotknęły ziemi, otworzyły się drzwi i ze śmigłowca wyskoczyło czterech ludzi Archera - którzy do niedawna służyli jego ojcu. Wszyscy byli uzbrojeni w mini uzi pochodzące ze skierowanej gdzie indziej dostawy, przeznaczonej pierwotnie dla lankijskiej armii. Wszyscy byli hindusami, ale dzięki długim ćwiczeniom u boku Sikariego wiedzieli, jak udawać muzułmanów.

Archer odczekał jeszcze trzydzieści sekund, po czym ruszył do wyjścia i zszedł na trawę.

Zgodnie z instrukcjami dwaj ludzie stanęli tuż za jego plecami, aby nie odstępować go na krok, a dwaj pozostali zajęli pozycje przy helikopterze, udając, że ubezpieczają go z boku.

Było to oczywiście przedstawienie odgrywane przed Sanamem. Szczególnie teraz Archer chciał zademonstrować Pakistańczykom swoją potęgę.

- 'As - salaamu 'alaykum - powiedział Archer, zatrzymując się pół metra przed Sanamem.

- Wa 'alaykum 'as - salaamu - odrzekł Sanam. Jego wzrok spoczął na uzbrojonej obstawie. - Z mojej strony nic ci nie grozi.

- Oczywiście, że nie. Nie obawiam się ciebie. Ale jesteśmy na terytorium kontrolowanym przez naszych

wrogów. Gdyby się dowiedzieli, że tu jestem, zrobiliby

wszystko, żeby mnie zatrzymać.

Sanam pochylił głowę, przyznając mu rację.

- Jesteś sam? - spytał Archer.

- Takie dostałem instrukcje.

- To dobrze. - Archer rozpromienił się w uśmiechu. -

Przejdziemy się?

Ruszyli przez pole, nie zmierzając w żadnym konkretnym

kierunku. Archer wyczuł, że Sanam nie kwapi się do

rozpoczęcia rozmowy, więc przejął inicjatywę.

- W wiadomości wspomniałeś o jakimś kłopotcie -

powiedział.

- Tak - odparł Sanam.

- O co chodzi?

- O piloty do detonatorów. Wypróbowaliśmy je, ale

grubość zapory uniemożliwia ich działanie.

Oczywiście, że nie działały. Mimo to Archer gniewnie

podniósł głos.

- Chcesz powiedzieć, że dałem wam niesprawny sprzęt? -

Nie, tego nie chcę powiedzieć. W normalnych warunkach

piloty

działają bez zarzutu. Ale sygnał radiowy nie może przebić

przez beton. - Może źle uzbroiliście - zasugerował Archer. Z

przyjemnością bawił się tym człowiekiem, który uważał go za

sojusznika.

- Uzbroiliśmy ściśle według instrukcji. Archer zamilkł, udając głęboki namysł.

- Pewnie służby ochrony wyłożyły zaporę specjalnym materiałem maskującym - rzekł. - Nie możemy jednak stracić tej okazji.

- Zgadzam się. Mamy nadzieję, że wymienisz piloty na takie, które będą działać.

- Postaram się. Ale pozostało mało czasu i obawiam się, że mogą nie zdążyć.

- Wtedy będziemy zmuszeni przerwać akcję.

Archer zrobił efektowną pauzę, po czym nachylił się nad Pakistańczykiem.

- To nie całkiem prawda.

Jadąc do chaty, w której miał przenocować, Sanam bez końca powtarzał sobie słowa Archera. Wprawdzie Archer obiecał, że zrobi wszystko, by dostarczyć im nowe piloty, ale Sanam wiedział, że to mało prawdopodobne.

Nie mógł przestać myśleć o alternatywnym planie zasugerowanym przez Archera. Pomysł rozwiązywał problem, ale Sanam żałował, że nie wpadł na nic lepszego. Niestety, przez całą drogę nic nie przyszło mu do głowy.

W chacie czekał na niego Umer i jego dwaj ludzie.

- No i co? - zapytał Umer.

- Postara się wymienić piloty.

- Postara się? - powtórzył Umer. - Jeżeli ich nie wymieni, cała nasza praca na nic.

Dwaj pozostali potakująco mruknęli.

- A czego się spodziewasz? - spytał Sanam bardziej szorstkim tonem niż zamierzał. - Że spadną z nieba?

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Wreszcie Umer zapytał:

- Powiedział przynajmniej, kiedy będzie wiedział, czy je dostanie?

- Obiecał, że skontaktuje się z nami rano. Umer skinął głową.

- Czyli będziemy przynajmniej wiedzieli, czy możemy przeprowadzić plan. Jeżeli nie zdąży ich zdobyć, wykorzystamy ładunki gdzie indziej. Jest wiele innych wartych tego celów.

- Ale żaden nie jest taki wielki - zauważył Sanam.

W izbie zapadła cisza. Wszyscy wiedzieli, że ma rację.

Sanam głęboko nabrał powietrza i spojrzał na swoich ludzi.

- Przystąpimy do planu z pilotami albo bez.

- Co ty wygadujesz? - odezwał się ostro Umer. - Jak odpalimy ładunki bez pilotów?

- Jest na to sposób - odparł Sanam.

- Jaki? - spytał Umer.

Sanam umilkł w nadziei, że dozna olśnienia i wpadnie mu do głowy inne rozwiązanie, ale się tego nie doczekał.

- Zdetonujemy je ręcznie. Można je tak uzbroić, że będzie to mógł zrobić tylko jeden człowiek.

Umer patrzył na niego.

- To jedyny sposób - powiedział Sanam.

- Nie można wybrać byle kogo - odparł Umer. - To musi być ktoś zaufany, kto na pewno się nie wycofa. Nie mamy takiego człowieka, któremu bym na tyle ufał.

- Mamy jednego - powiedział Sanam.

Utkwił wzrok w oczach przyjaciela i w tym momencie był już pewien, że Umer zrozumiał, jaką jedyną możliwość ma na myśli.

- Mnie - rzekł Umer. To nie było pytanie. Sanam nie odpowiedział.

ROZDZIAŁ 14

LEE CHILD

Największy kłopot z laptopami to żywotność baterii.

Największy kłopot z kradzionymi laptopami polega na tym, że rzadko są wyposażone w ładowarki. Chyba że szczęśliwie trafi się na dziwaka, który wszędzie taszczy ze sobą paskudną nylonową torbę pełną kabli i akcesoriów. Student Sorbony nie należał jednak do tego rodzaju dziwaków. Nora i Charley miały tylko goły notebook MacBook Air, cieniutki, elegancki

i żarłocznie pożerający prąd. Ikona w kształcie czarnej pustej

baterii zmieniła się nagle w czerwoną pustą baterię. Potem

zaczęła migać. Mrugała w ramce w prawym górnym rogu

ekranu. Tuż nad twarzą Wiki Changa.

- Może się wyłączyć w każdej chwili - powiedziała do

niego Tesla. - Będziemy musieli poszukać kafejki

internetowej.

- Nie róbcie tego - ostrzegł Chang. - Jesteście w Paryżu.

O ile mi wiadomo, do kafejek internetowych podłączyły się

służby bezpieczeństwa.

- To co mamy robić?

- No co ty? Idźcie kupić ładowarkę.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek.

- To jest apple. Ma taki dziwny wihajster.

Chang oderwał wzrok od twarzy Tesli i spojrzał w inny

ekran. Po chwili wrócił.

- Mieli zbudować sklep Apple'a pod szklaną piramidą w

Luwrze. Może już jest otwarty.

- Dobra, znajdziemy.

- Zaraz. Nie rozłączajcie się jeszcze. Mam wiadomość.

Tak mi się przynajmniej wydaje. Chodzi o lokalizację tej

komórki. Ciągłe skacze z miejsca na miejsce. Mam Kaszmir,

Argentynę, Szwecję, Nową Zelandię i Kanadę.

- To nie jest żadna wiadomość. Znaczy tyle, że ciągle pracuje program.

- Niekoniecznie. Lokalizacja zmienia się co dwie sekundy. Jak w zegarku. Tak pewnie napisano program. Ale na początku przez trzy sekundy pokazał mi się Kaszmir. Nie dwie. Zastanawiam się, czy za pierwszym razem program mógł nie zaskoczyć. Może wskazał prawdziwą lokalizację.

- Mocno naciągane.

- Niekoniecznie. Spójrz na to z drugiej strony. Kto napisał ten program? Pewnie taki gość jak ja. Co ja wiem o krajach świata? Niewiele. Nie umiem ich wyrecytować z głowy. Na pewno nie znam wszystkich. Dla mnie Kaszmir to piosenka Led Zeppelin.

- Co z tego?

- Byłaby mi potrzebna jakaś lista.

- To się nazywa atlas.

- Drukowana książka? Nie sędzę. Nie dla programisty.

Musiał ściągnąć skądś tę listę. Może z ONZ - u, ale pewnie mają tam za dużo zabezpieczeń. Wydaje mi się, że chciał wyciąć branżowy numer i włamał się do Nokii na przykład i ściągnął wykaz sprzedaży w każdym kraju. I wiesz co?

Okazuje się, że Kaszmir to nie kraj. W każdym razie nie oficjalnie.

Tesla nie odpowiedziała.

- Zresztą nawet gdyby to był kraj, założę się, że Nokia nie ma tam za dużych obrotów.

Czerwona ikona wciąż mrugała.

- Dobra, wiem, że to tylko przeczucie - powiedział Chang

- ale chyba mam rację. Myślę, że program na moment się zawiesił. I Kaszmir to prawdziwa lokalizacja.

- Trzeba powiedzieć Haroldowi.

- Do mnie ciągle się nie odezwał. A do was?

- Nie.

- Mam coś jeszcze.

- Tylko szybko.

- Uruchomiłem kilka innych programów. Głównie dla zabawy, ale wszystkie są połączone. Dostałem sygnał z bazy danych Federalnej Agencji Lotnictwa. Dostali plan lotu z przestrzeni powietrznej Waszyngtonu do Lahaur, gdzie jest długi pas startowy najbliższej Kaszmiru. Z numeru rejestracyjnego wynika, że to samolot do oprysków pól z Kansas.

- Wiki, streszczaj się, dobrze? Nie mamy czasu.

- Dobra, samolot do oprysków z Kansas nie musi składać planu lotu i na pewno nie ma międzykontynentalnego zasięgu.

Czyli to lipa. Widziałem już coś takiego. To stały numer, kiedy przygotowują do lotu jeden z Air Force One.

- Jak to, jeden z? Jest tylko jeden Air Force One.

- Nie, są trzy. W każdym razie jeżeli na pokładzie

któregoś z nich jest prezydent, nazywa się Air Force One.

Normalnie to po prostu samolot rządowy.

- Co z tego wynika?

- Do Kaszmiru wybiera się albo prezydent, albo jakaś

szucha z rządu. Niedługo. A tam jest nasz szwarczarakter.

Ekran laptopa zgasł.

Helikopter zszedł niżej nad przedmieścia Moskwy,

przechylił się i skręcił w stronę lotniska położonego półtora

kilometra na wschód. Nie w kierunku Domodiedowa. W

kierunku prywatnego lotniska. Kiedyś być może wojskowego,

dziś cywilnego. Albo takiego i takiego. W każdym razie było

duże. Pasy startowe i drogi do kołowania tworzyły ogromny

trójkąt. Z góry widać było olbrzymie hangary i długie, niskie

budynki. Stały tu samoloty wszystkich możliwych wielkości.

Małe gulfstreamy, leary i grummany, duże airbusy i boeingi.

Każdy wart co najmniej dwadzieścia milionów dolarów.

Największym samolotem był opasły boeing 777. Długość

sześćdziesiąt metrów, rozpiętość skrzydeł tyle samo, cena -

prawdopodobnie dwieście milionów. Własność Czerniajewa,

pomyślał Middleton. Ostateczny dowód bogactwa Rosjanina.

Helikopter zmierzał prosto do niego.

Przeziadka przebiegła błyskawicznie. Czerniajew i

Middleton wyskoczyli ze śmigłowca i pochylając się pod

łopatami wirnika, podbiegli do podstawionych schodków.

Szybko wspięli się do przednich drzwi boeinga i weszli do

wnętrza, które przypominało Middletonowi dom przy

Piatnickiej, gdzie spotkał się z Korowinem, którego sala z

kolei przypominała mu londyński klub Boodle's. Ściany

wyłożone dębiną, ciemny dywan we wzory, ciężkie skórzane

meble i zapach kubańskich cygar.

- Interesy chyba dobrze idą - powiedział.

- Nie mogę narzekać - odparł Czerniajew.

Drzwi zamknęły się za nimi z sykiem i dźwięki świata

umilkły z wyjątkiem szumu powietrza i ryku silników. Z

głośnika w kabinie dobiegał terkot komunikatów z kokpitu, z

których każdy wygłaszano najpierw po rosyjsku, a potem po

angielsku,

w

międzynarodowym

języku

lotniczym.

Pozwolenie

na

start

dostali

natychmiast.

Middleton

przypuszczał, że nikt nigdy nie kazał Czerniajewowi czekać.

Hałas silników przybrał na sile i samolot zaczął kołować. Bez chwili zwłoki. Skręcił na pas startowy i nawet się nie zatrzymał. Po prostu przyspieszył, szarpnął, zadarł nos i wystartował, unosząc dwóch ludzi w kabinie, która mogła pomieścić trzysta osób.

- Miłego lotu, Harry - powiedział Czerniajew.

Middleton był gotów spędzić miło ten czas, gdyby dwie rzeczy nie zaburzyły jego muzykologicznego poczucia harmonii. Po pierwsze, obrazy nie pasowały do wnętrza. To był Renoir. Bez wątplenia piękne, bogate w barwy, kameralne płótna, z których każde warte było przypuszczalnie trzydzieści milionów. Mimo to wyglądały tu dziwnie. Wystrój wnętrza klubów w Londynie zatrzymał się w czasie, zanim jeszcze Renoir pierwszy raz ujął w dłoń pędzel. Stosowniejszy byłby Gainsborough, Stubbs czy Constable.

Druga rzecz wiązała się z faktem, że wewnątrz samolotu kojarzyło się Middletonowi z klubem w domu przy Piatnickiej. Nie potrafił zapomnieć o tamtej chwili, gdy nacisnął spust sig sauera i nic się nie stało. Został okradziony. To nie był koniec świata, choć mógł być. Ale mógł oznaczać koniec świata dla Czerniajewa i podobnych ludzi.

- Należy do ciebie niejaki Wołodia? - spytał Middleton.

- Należy? - zdziwił się Czerniajew. - Ludzie nie są moją

własnością.

- To handlarz broni ze sklepu z antykami na Arbacie.

Dokładnie naprzeciwko dawnej restauracji Praga. Taki człowiek w nowej Moskwie musi do kogoś należeć. Możliwe, że do ciebie.

- Przyznaję, że go znam, nic więcej. Wyrządził ci jakąś przykrość?

- Sprzedał mi sig sauera P229 za dwa tysiące. Plus amunicję za pięćset. Pistolet nie działał.

- Niedobrze.

- Cholernie niedobrze. Biznes wymaga zaufania.

Ostatecznie możesz zapłacić za to własną skórą. Zanim się zorientujesz, zostanie ci tylko jeden stary gulfstream.

- Przepraszam. Wynagrodzę ci to. Kiedy skończymy, dam ci działającego sig sauera.

- Nie chcę sig sauera. Wolę berettę.

- Jak wszyscy amerykańscy żołnierze. Ale musisz pozwolić, żebym sprawił ci prezent.

Middleton się uśmiechnął.

- Widziałem stragan, na którym sprzedawali matrioszki z twarzami przywódców innych państw. Spodobałyby się mojej córce.

- Lale? To nieudolne próby żartów. Znasz rosyjskie paranoje. Ludzie zakładają, że za naszymi przywódcami stoją

inni przywódcy. A za nimi jeszcze inni. Jak myślisz, kogo malują na najmniejszej lalce?

- Nie wiem - odrzekł Middleton.

Kolejny kłopot z kradzionym laptopem polega na tym, że właściciel na ogół pragnie go odzyskać. Student z Sorbony na pewno pragnął. Niekoniecznie ze względu na pieniężną wartość sprzętu. Ale ze względu na wartość zapisanych w nim danych. Miał tam swoje wiersze. Swoją sztukę. Początek powieści. Teksty, które pewnego dnia mogły mu przynieść Nagrodę Goncourtów. Plus parę prac semestralnych. Jak każdy niezbyt systematycznie robił kopie zapasowe.

Poszedł na policję. Znalazł świadków. Nikt nie widział momentu samej kradzieży. Ale troje znajomych przypomniało sobie dwie Amerykanki. Policja nieszczerze zainteresowała się sprawą. Paryż borykał się z większymi problemami - zamieszkami w muzułmańskich dzielnicach, terroryzmem, napadami, narkotykami. Ale jeden z trójki znajomych powiedział, że starsza z Amerykanek była bardzo blada i poruszała się z wyraźnym trudem, jak gdyby coś ją bolało, i miała ciemną plamę na bluzce, przypominającą krew.

Domniemana rana postrzałowa w mieście, gdzie broń palna wciąż należała do rzadkości, w mieście, gdzie niedawno znaleziono ciała dwóch zastrzelonych osób.

Policjanci nie byli w ciemni bici. Wiedzieli, że laptop

najprawdopodobniej zostanie wyrzucony, kiedy wyczerpie się bateria. Z drugiej jednak strony macbook air był atrakcyjną rzeczą. Wiele osób chciałoby go mieć. Niewykluczone, że złodzieje będą próbowali kupić ładowarkę. Mogli to zrobić w niewielu punktach w Paryżu. Tak niewielu, że policja mogła wziąć je pod obserwację. Nie brakowało młodych funkcjonariuszy, którzy chętnie pokręciliby się w takich miejscach. Kiedy znudzą ich lśniące zabawki, zawsze mogli popatrzeć na turystki.

Archer jeszcze raz popatrzył na zdjęcie martwej Charley Middleton. Uwielbiał je, dlatego że podobali mu się martwi ludzie i dlatego że pochodziło od Jany. Było jak miłosny list.

Przedstawiało

dziewczynę

leżącą

na

podłodze

w

zakrwawionej bluzce. Jakość zdjęcia nie była rewelacyjna. Ale

na tyle dobra, by było ciekawe.

I odrobinę niepokojące.

Były dwie rzeczy, które zwróciły uwagę Archera. Po

pierwsze poza martwej dziewczyny. Archer widział wielu

nieboszczyków, niektórych całkiem niedawno. Bezruchu i

bezwładu zwłok nie dało się z niczym porównać. Archer nie był pewien, czy widzi te cechy w ciele Charley Middleton. A zaplamiona krwią bluzka nie wyglądała... naturalnie. Jak gdyby dziewczyna nie miała jej na sobie w chwili śmierci. Wyglądała... jakby ją później narzucono.

Co było bez sensu.

Na fotografii widać też było kartkę papieru, która najwidoczniej wypadła z kosza na śmieci. Nakreślone na niej ręcznie zielone znaki też wydawały się nie mieć sensu. Może to był jakiś kod albo obcy alfabet. Na przykład cyrylica. Albo kombinacja obcych liter i cyfr. Przypatrywał się im przez dłuższą chwilę.

Potem odwrócił telefon do góry nogami.

GREEN LANTERN. EWAKUACJA.

Natychmiast pomyślał o Harrisie. Przez moment żałował, że jego eliminacja była konieczna. Harris uwielbiał komiksy. Między innymi dlatego był taką beznadziejną mendą. Ale być może zrozumiałby ten komunikat.

Archer napisał do Jany: ZADZWOŃ DO MNIE.

Telefon Jany zabrzączał w kieszeni Nory dokładnie w chwili, gdy wchodziły z Charley do sklepu Apple'a przy bulwarze Saint - Germain. Pod piramidą w Luwrze nie było punktu Apple'a. Planowano go, ale jeszcze nie zbudowano.

Projekt ugrzązł w trybach biurokracji. Jak to w Europie. Sklep

przy Saint - Germain polecił im sprzedawca z salonu Orange.

Orange, dawny France Telecom, był jedynym oficjalnym dystrybutorem iPhone'a we Francji. Ładowarka iPhone'a nadawała się do iPod'a, ale nie pasowała do gniazda macbooka. W związku z tym musiały wsiąść do taksówki i szybko odszukać sklep w szeregu eleganckich butików.

W rogu kręciło się dwóch facetów. Tesla natychmiast ich zauważyła. Pomyślała: Gliny. Wtedy odezwał się telefon Jany i Tesla spóźniła się o cenną sekundę. Zobaczyła, że gliny gapią się na nią, na jej twarz, bluzkę, na jej niezdarną postawę.

- Charley? - powiedziała.

- Tak?

- Uciekaj.

- Co?

- Więcej.

Ogromny boeing sunął spokojnie na wysokości dwunastu tysięcy metrów. Middleton wychylił ostatni łyk napoju i rzekł:

- Zapory to wielkie budowle.

- Coś o tym wiem - odparł Czerniajew. - Zapłaciłem za prawie cały beton.

- Za duże, żeby je zniszczyć ładunkami wybuchowymi.

Badano tę sprawę wielokrotnie, z ofensywnego i obronnego punktu widzenia.

- Wiem. Nie dość więc, że grają w ciemno, to jeszcze

grają dość głupio.

- No to czym się mamy przejmować?
- Zapora przetrwa. Nie ma wątpliwości. Ale nie możemy tego samego zagwarantować waszej sekretarz stanu.
- Jeżeli zginie, wybuchnie wojna światowa.
- Tego nie chcę - powiedział Czerniajew.
- Wystarczy lokalna?
- Wszystko po kolei, Harry.

Wściekły ból utrudniał Tesli ruch, więc Charley wybiegła na ulicę pierwsza. Nora odwróciła się w stronę drzwi i rzuciła pierwszą rzecz, jaka znalazła się w jej ręce - komórkę Jany, którą miała w kieszeni. Trafiła pierwszego z gliniarzy pod oko. Policjant zatoczył się i zderzył ze szklaną gablotą, z której posypały się na podłogę małe gadzety techniczne. Drugi glina potknął się i zrobił unik, dzięki czemu wybiegając na chodnik, Tesla miała dwa metry przewagi. Podniosła z podłogi telefon i wybiegła ze sklepu.

Charley rzuciła się prosto między samochody na ulicy.

Być może wpadła w panikę, ale to było sprytne posunięcie.

Tesla ruszyła za nią w akompaniamencie przeraźliwego pisku opon i ryku klaksonów. Razem dotarły na drugą stronę.

I zaczęły biec.

Nie miały pojęcia, dokąd zmierzają. Na chybił trafił skręcały w lewo i prawo w alejki i drzwi, przebijały się przez

gęstą ciżbę. Każdy krok przesywał ciało Nory błyskawicą bólu, a każdy przypadkowy kontakt z przechodniem sprawiał niewypowiedziane cierpienie. Ale adrenalina kazała jej uparcie przeć naprzód.

Przeć, lecz za wolno.

Policja była w swoim mieście i miała radio. Dla Tesli i Charley ulice były labiryntem. Dla policjantów ulice tworzyły mapę, którą znali na pamięć. Każda alejka miała wylot, a wylot można zablokować. Zewsząd dobiegał ryk syren, tupot nóg, ryk gwizdków, głośny terkot meldunków radiowych.

Tesla i Charley dwa razy musiały gwałtownie się zatrzymać i zawrócić tą samą drogą. Dwa razy ulice za ich plecami były blokowane, więc chroniły się w sklepach, przepychały się przez tłum klientów i wychodziły tylnymi drzwiami, by zacząć wszystko od początku. Raz policjant chwycił za rękaw Charley, która obróciła się szybko, dała nura w bok i uciekła.

Ocalił je ból Tesli. Przestały biec. Wbrew instynktowi, ale posunięcie okazało się skuteczne. Uciekinierzy biegną.

Ścigający szukają szybko poruszających się ludzi. Nie zwracają uwagi na osoby siedzące nieruchomo.

Dowlokły się do zakładu krawieckiego i bez tchu opadły na kanapę. Dwie sekundy później drzwi minął oddział policji, w ogóle nie patrząc na zakład. Podszedł do nich krawiec z centymetrem na szyi.

- Czekamy na mojego ojca - poinformowała go Charley.

Krawiec wycofał się na zaplecze.

- Co teraz? - szepnęła Charley.

- Na lotnisko - odrzekła Tesla.

- Ale rzeczy zostały w hotelu.

- Paszport?

- Mam.

- Resztę zostawimy. Musimy uciekać.

- Dokąd?

- Nie możemy porozmawiać z Wikim ani z Haroldem.

Same musimy zdecydować.

- No więc dokąd?

- Do Kaszmiru.

Choć byli na wysokości dwunastu tysięcy metrów,

Middleton zobaczył po prawej przed sobą góry, których

wierzchołki zdawały się sięgać wysokości, na jakiej leciał

samolot. Złudzenie optyczne wywołała zapewne odległość

kilkuset kilometrów, ale ich rozmiar nie pozostawiał

wątpliwości. Gigantyczny łańcuch, surowych, białych,

pokrytych lodem, majestatycznych gór, stojących po kolana w

niskich chmurach.

Rozpoznawalne na pierwszy rzut oka.

Słynne.

Himalaje.

Ale z prawej?

- Cholera, dokąd my lecimy? - zapytał Middleton.

- Jak myślisz, kto jest namalowany na najmniejszej lalce?

- odparł Czerniajew. - Komu wszyscy służymy?

W tym momencie pojawiły się dwa odrzutowe myśliwce,

jeden po prawej, drugi po lewej burcie. Leciały powoli i

spokojnie, zachowując pełną szacunku odległość od boeinga.

Niegroźne. Eskorta. Dla bezpieczeństwa lub kurtuazji.

Myśliwce były pomalowane w stonowany wzór maskujący, a

na tylnej części kadłubów widniały jasnoczerwone pasy

przedzielone czerwonymi pięcioramiennymi gwiazdami.

- Chinom? - spytał Middleton.

ROZDZIAŁ 15

JON LAND

Middleton starał się orientować według położenia gór, ale

niedługo potem widział tylko niebo, a boeing zniknął w

chmurach. W ciągu długiej chwili ciszy, jaka później

nastąpiła, Middleton poczuł w żołądku gwałtowne wytracanie

wysokości samolotu. Kiedy chmury się rozstały, nie

zobaczył już gór tylko połowy pas startowy w dole.

- Lądujemy.

Słyszając to, Czerniajew tylko się uśmiechnął, a Middleton

uświadomił sobie, że wysokość płata figle jego uszkodzonemu

słuchowi. Jego głos brzmiał, jak gdyby należał do kogoś

innego i Middleton żałował, że tak nie jest, bo komentarz wydał mu się dość kiepski. Lądował na tajnych lotniskach wystarczająco często, by wiedzieć, że to wygląda całkiem inaczej. Zbyt surowe jak na lotnisko wojskowe i zbyt oddalone od świata jak na lotnisko cywilne. Nigdzie nie dostrzegł

świateł

podejścia,

dopóki

nie

zauważył

odbarwionych plam po obu stronach pasa. Z doświadczenia wiedział, że prawdopodobnie kryją się pod nimi halogeny dużej mocy, które włączało się odpowiednim sygnałem wysyłanym przez samolot podchodzący do lądowania w ciemnościach, a wtedy fałszywa darń się chowała, aby reflektory mogły wyjść na powierzchnię.

Ktoś bardzo się postarał, aby utajnić coś, co miał do ukrycia.

Lądowisko nie mogło się poszczycić ani jednym

budynkiem. Nie było tu żadnego hangaru, wieży, magazynu

czy stanowiska tankowania - nic. No, niezupełnie, pomyślał

Middleton, czując, jak odrzutowiec wypuszcza podwozie. Na

przeciwległym końcu lądowiska, gdzie pas rozszerzał się,

przechodząc w płytę wielkości boiska futbolowego, stał inny odrzutowiec.

Usłyszał wizg odlatujących myśliwców, które ich eskortowały, a odrzutowiec Czerniajew siadł i podkołował do drugiego boeinga, 767.

- Chodź - zaprosił go gestem Czerniajew, gdy ich samolot się zatrzymał.

Middleton zaczął wstawać, ale uświadomił sobie, że zapomniał rozpiąć pas. Dołączył do Czerniajewa w przejściu.

- Gdzie jesteście? - zapytał.

- Tam, gdzie trzeba. Gdzie świat nas potrzebuje. -

Czerniajew przystanął i posłał mu niemal smutny uśmiech. -

Chciałeś odpowiedzi, towarzyszu, więc zaraz je dostaniesz.

Chociaż podejrzewam, że możesz zacząć żałować, że w ogóle postawiłeś pytania.

Gdy tylko wyszli z samolotu, zaatakował ich chłód. Jak gdyby przypląnął od strony gór, znów widocznych na zachodzie. Ich ośnieżone szczyty przebijały chmury, sięgając nieba. Middleton znał o wiele ostrzejsze zimno, ale to powietrze było inne, jakby przenikało do głębi, co przypisał obawom przed tym, co go czekało.

Gdy podeszli do schodków ustawionych przed wręgą boeinga 767, otworzyły się drzwi, za którymi ujrzeli dwóch uzbrojonych chińskich żołnierzy. Czerniajew ruszył na stopnie

pierwszy. Żołnierze wyprężyli się na baczność i zasalutowali, najwyraźniej rozpoznając gościa i nie zwracając najmniejszej uwagi na Middletona. Czerniajew odwzajemnił salut, po czym poprowadził Amerykanina za kotarę do imponującej biblioteki wyłożonej drewnem, gdzie stały meble obite skórą, której intensywna woń przesycała powietrze. Widok jeszcze bardziej zdezorientował Middletona, który odniósł wrażenie, jak gdyby wzrok zamgliła mu półprzezroczysta zasłona. Próbował sobie powtarzać, że jest w samolocie, lecz ta myśl wydawała się nierealna.

Po chwili zobaczył, jak z wysokiego skórzanego krzesła podnosi się Chińczyk w mundurze generała i kroczy w ich stronę, idąc obok ozdobnego regału, pełnego równo ustawionych oprawnych w skórę książek. Był wysoki i szczupły, o kruczoczarnych włosach z wyjątkiem dwóch kępek siwizny nad skrońmi. Mężczyzna z szerokim uśmiechem i otwartymi ramionami zbliżył się do Czerniajewa. Uścisnęli się, a potem złożyli sobie nawzajem ukłon.

Spojrzenie Chińczyka spoczęło na Middletonie.

- To zapewne ten Amerykanin. - Wyciągnął do niego rękę. - Dużo o panu słyszałem, panie Middleton, do dziś na ogół dobrze.

- Kim...

- ...jestem? Mam wiele nazwisk. Dziś jestem generał

Zang.

- Mój odpowiednik w chińskim rządzie - powiedział

Czerniajew.

- Chyba w armii.

- To to samo - odparł Zang. - I też w stanie spoczynku.

- W pewnym sensie - dorzucił Rosjanin. Zang ponownie zwrócił oczy na Middletona.

- Jesteśmy obrońcami.

- Obrońcami czego? Zang wzruszył ramionami.

- Proszę tu sobie wpisać, cokolwiek pan chce. Nasze kraje stały się znacznie mniej zamknięte i są współzależne.

Oczywiście wie pan, co to jest efekt motyla?

- Trzepot skrzydeł motyla w Bostonie...

- Wywołuje monsun w Chinach - wtrącił Zang, znów

kończąc jego myśl. - W tym wypadku brzmi to oczywiście

wyjątkowo adekwatnie. Mój rosyjski przyjaciel i ja uważamy

się za obrońców tej współzależności. Bywały czasy, gdy

patrzyliśmy na świat Zachodu, życząc mu nieuniknionego

upadku, który doprowadziłby do chaosu zdolnego go

pochłonąć. Dziś boimy się tego chaosu bardziej niż

czegokolwiek i pracujemy, by do niego nie dopuścić.

- Z powodu wspomnianej współzależności.

- Owszem, pułkowniku - włączył się Czerniajew - mam w

zaporze udział finansowy. Ale chodzi o coś znacznie więcej

niż pieniądze.

- Z kieszeni marynarki wyciągnął dwa cygara i podał jedno Zangowi.

- Kubańskie - oznajmił. - Nasi komunistyczni towarzysze wciąż się do czegoś nadają.

- Panie Middleton - podjął Zang. - Całe swoje zawodowe życie, zwłaszcza z Ochotnikami, prowadził pan taką samą walkę z tym samym wrogiem co my dziś.

- Tylko nie zdawałeś sobie z tego sprawy - dodał Czerniajew.

- Walczył pan o utrzymanie porządku; może nie używał pan dokładnie takich słów, ale taki był ostateczny efekt. I na

pańskich

oczach

świat

zmienił

się

w

znacznie

niebezpieczniejsze miejsce.

- Z powodu motyla - wtrącił Middleton.

- Otóż to. Wszyscy wychowaliśmy się w epoce braku wątpliwości, gdzie każdy, wkładając mundur, opowiadał się, po której jest stronie. Dziś wszyscy nosimy takie same

mundury, garnitury, tym trudniej nam rozpoznać wrogów, a im tym łatwiej zakłócić delikatną równowagę, którą staramy się chronić.

- Co to ma wspólnego...

- ...z panem, pańską misją, pańską córką...

- Moją córką?!

- Nasi nowi wrogowie nie grają według zasad, których kiedyś przestrzegaliśmy. Właściwie nie grają według żadnych zasad. Rodziny to dziś równorzędny obiekt ataków. Stosują brutalne, odrażające metody. Niedobrze mi na myśl o nich - rzekł Zang, zapalając cygaro i rozkoszując się pierwszymi kłębamii dymu. - Jest pan w moim domu, panie Middleton. Dla ludzi takich jak ja i towarzysz Czerniajew dłuższe pozostawanie w jednym miejscu jest zbyt niebezpieczne, ponieważ mogliby nas odnaleźć. W całych Chinach jest pięćdziesiąt podobnych lotnisk i na żadnym z nich nie spędzam więcej niż jedną noc.

Middleton przyjrzał się uważniej Zangowi, kojarząc jego twarz z inną epoką i innym człowiekiem. Ten sam promienny, pewny siebie uśmiech pod strzechą ciemnych, jeszcze nietkniętych siwizną włosów. Niższy, szczuplejszy, bardziej wylewny, ale o identycznych oczach.

- Chyba pana znam - zaczął - z... - ...tajnej chińskiej po...

- Te - Wu - powiedział Middleton, zanim Zang zdążył

dokończyć. Zang zamarł z cygarem w wyciągniętej ręce.

- Jestem pod wrażeniem. Może nasze drogi gdzieś się przecięły. - Nie pańskie, pańskiego ojca. Był jednym z agentów Te - Wu oskarżonych o infiltrację Stanów Zjednoczonych po wojnie koreańskiej.

- Nie jednym z agentów. To była jego operacja!

- Wydaje się pan dumny.

- Owszem, z jego pracy, z naszego dziedzictwa. Historia

Te - Wu sięga pięćsetnego roku przed naszą erą.

- Słyszałem, że ta grupa ma nawet własny tajny dialekt, który uniemożliwia infiltrację.

Zang

rzucił

kilka

chińskich

słów,

zupełnie

niezrozumiałych ani dla Czerniajewa, ani dla Middletona.

- Teraz jednak - ciągnął, przechodząc z powrotem na angielski - stajemy wobec innego wroga, innego zadania.

- Ma pan na myśli Sikariego?

- Mam na myśli w ogóle chaos, którego Sikari

reprezentował zaledwie cząstkę, małą, ale bardzo

niebezpieczną, ponieważ potrafi wyrządzić nieobliczalne

szkody naszemu światu, pozostającemu w chwiejnej

współzależności.

- Motyl...

Zang skinął głową, wypuszczając gęste obłoki dymu z cygara.

- W tym wypadku motyl za parę godzin wyląduje na zaporze Baglihar. Jeżeli nie zmusimy go, żeby odfrunął, ceną będzie koniec nowego świata powiązanego wątlými nićmi euro i dolarów.

- Wojna między Indiami a Pakistanem.

- Otóż to.

- Nie - zaprotestował Middleton. - Wiemy, że ładunki ludzi Sikariego nie mogą zniszczyć zapory, a nawet gdyby udało im się zamordować sekretarz stanu...

Middleton urwał, widząc niepewną nagle minę Zanga, która powiedziała mu, że nic nie zrozumiał i nie zauważył najistotniejszego elementu układanki.

- Tam nie przyjedzie sekretarz stanu - powiedział szef Te

- Wu.

Tesla siedziała obok Charley Middleton w trakcie ostatniego z serii męczących lotów, który miał się zakończyć w Kaszmirze. Klasa turystyczna była zatłoczona, co stanowiło dodatkowy kamuflaż, uzupełniający sprytny podstęp, jakiego użyły na lotnisku Orly. Wiedząc, że francuska policja będzie

ich szukać, tak jak ludzie Archera Sikariego, zaalarmowani
podejrzanyimi wiadomościami wysyłanymi z ocalonej komórki
Jany, Tesla przebrała Charley za staruszkę. Do fortelu
wykorzystała gruby makijaż, sztuczne włosy i ubrania,
kupując wszystko w sklepach w terminalu lotniska, a
transformacji
dokonała
w
kabinie
toalety
dla
niepełnosprawnych. Wypożyczenie wózka od linii lotniczych
okazało się bardzo proste, a bilety Tesla zarezerwowała
telefonicznie wcześniej, aby nie wzbudzać podejrzeń,
przeprowadzając całą procedurę na lotnisku.
Zpracowane służby lotniskowe, szukając kobiet
odpowiadających rysopisom Tesli i Charley, nie miały
powodu zwracać uwagi na staruszkę siedzącą na wózku i
drzemiącą z brodą opartą o wątłą pierś, ani na jej córkę
pchającą wózek przez terminal. Ludzie Sikanego byli zapewne
bardziej spostrzegawczy i bystrzy, lecz Tesla wątpiła, by w
ogóle byli zdolni zebrać dostateczne siły w tak krótkim czasie.
Aby jeszcze bardziej zmylić trop, wcisnęła telefon Jany do
bagażu podręcznego pasażera, który leciał do Nowego Jorku,

każąc im tropić sygnał GPS po całym świecie.

Tesla napotkała wzrok Charley siedzącej w fotelu obok i zdobyła się na pokrzepiający uśmiech.

- Za chwilę spotkasz się z ojcem.

- To nie znaczy, że będziemy bezpieczne.

- Może za mało znasz swojego ojca.

- Może masz rację. Już nic nie wiem i nikogo nie znam.

Makijaż, za pomocą którego Tesla postarzyła Charley, zaczął się zmieniać twardą skorupę, zauważyła też ślady łez na policzkach. Dziewczyna musiała płakać w chwilach, gdy Tesli udało się zdrzemnąć podczas ostatniego etapu wyczerpującej podróży. Nie zamierzała zaprzeczać młodszej przyjaciółce.

- Masz rację, Charley. Kiedy wejdiesz na tę drogę co my, nie ma już odwrotu.

- Jak dajesz sobie radę z tym, co robisz?

- Spokojnie, bo byłoby znacznie gorzej, gdybym nic nie robiła.

- Kosztem wszystkiego innego - mruknęła Charley, potrząsając głową.

- Jeżeli się nam nie uda, nie będzie niczego innego.

Stawka jest naprawdę wysoka, zginęli ludzie i zginie więcej, jeżeli nie powstrzymamy ludzi Sikariego w Kaszmirze.

Charley pociągnęła nosem.

- Chcę wracać do domu.

- To nie jest bezpieczne, Charley.

- A kiedykolwiek będzie?

- Pewnie nie.

Charley zagłębiła się w siedzeniu, oddychając głęboko.

- Dzięki, że powiedziałaś mi prawdę.

Tesla krzepiącym gestem położyła dłoń na rękę Charley spoczywającej na podłokietniku.

- Ostatecznie tylko ona nam zostaje.

- To jedyny sposób.

- Nie można wybrać byle kogo. To musi być ktoś zaufany, kto na pewno się nie wycofa. Nie mamy takiego człowieka, któremu bym na tyle ufał.

- Mamy jednego.

- Mnie.

Stojąc w miejscu, z którego roztaczał się widok na ukończoną zaporę, Archer odtwarzał w myślach rozmowę między Umerem a Sanamem. Obaj byli głupcami, którymi bez trudu mógł manipulować dla własnych celów. I świetnie nadawali się do tego zadania, ponieważ podłożenie i uzbrojenie ładunków było robotą głupiego. Ale dali Archerowi potrzebną mu armię złożoną z pięćdziesięciu wiernych żołnierzy, członków odłamu Harakat - ul - Mudzahedin, gotowych polec dla sprawy.

Archer i jego współpracownicy uzyskali akredytacje prasowe dla

wszystkich pięćdziesięciu ludzi. Archer miał dokończyć dzieła, wyposażając ich w kamery i sprzęt wideo, skonstruowane w taki sposób, by pomyślnie przeszły każdą kontrolę bezpieczeństwa, nawet tę, którą przypuszczalnie przeprowadzi amerykańska Secret Service.

Archer przyglądał się zaporze, nieco podejrzliwy wobec faktu, że zabezpieczenia budowli okazały się znacznie lepsze, niż przypuszczał. Poczuł ucisk w żołądku na myśl, że jego misja została zagrożona, a on sam pozbawiony przeznaczonej mu roli i swoich marzeń.

Byłeś
głupi,
ojcze.

Powinieneś
zostawić
całe
przedsięwzięcie mnie.

Wiedział, że Sikari zginął, do końca podziwiając, wręcz wielbiąc syna, który miał zająć jego miejsce, a nawet okazać się lepszym od ojca. Gdyby jednak jego plan się nie powiódł, wszystko spełźnie na niczym. Jego marzenia i marzenia ojca zostaną tu pogrzebane, a zamęt, jaki miał nastąpić, nigdy nie przerodzi się w gigantyczną pożogę, która miała strawić świat. Jeżeli się uda, świat zostanie odbudowany według projektu

Archera i podobnych mu ludzi, według projektu

naszkicowanego przez jego ojca.

Wszystko zacznie się tutaj. Już za kilka godzin.

- Jeżeli będziesz chodził tam i z powrotem, nie będziemy

wcale szybciej, przyjacielu - powiedział do Middletona

Czerniajew, gdy boeing leciał w stronę Kaszmiru,

zostawiwszy daleko w tyle lotnisko generała Zanga.

Middleton zatrzymał się.

- Nie możemy do tego dopuścić.

- I nie dopuścimy. Na miejscu spotkamy się z moimi

ludźmi. A także z amerykańskimi i indyjskimi służbami

bezpieczeństwa. Powstrzymamy ludzi Sikariego.

Middleton podszedł do fotela Czerniajewa, spoglądając na

niego ze złością.

- To nie wystarczy. Mówimy o prezydencie Stanów

Zjednoczonych. Sekretarz stanu to jedno, ale teraz...

- Przyznaję, że to niespodziewana komplikacja. -

Niespodziewana komplikacja? Tylko tyle masz mi do

powiedzenia?

- Nie pozwalasz mi dokończyć, towarzyszu. To jest

niespodziewana komplikacja, która mimo wszystko nie może

nam przeszkodzić w definitywnym zniszczeniu Sikariego.

- Sikari nie żyje.

- Ale żyje jego sprawa, jego misja. Znajdziemy jego

następcę i ukręcimy tej sprawie łeb raz na zawsze.

- To nie jest warte takiego ryzyka.

- Mówisz, jakbyśmy mieli jakiś wybór. Prezydent przylatuje w tajemnicy. Nawet jego najbardziej zaufani doradcy myślą, że leży z grypą w Białym Domu. Przyjeżdża na otwarcie zapory wygłosić przemówienie i nie możemy zrobić nic, żeby go powstrzymać. Ostrzeżono go o zagrożeniu, ale mimo to przyjeżdża.

Middleton czuł, jak serce tłucze mu się w piersi.

- Wiedząc, że naraża własne życie. Te ładunki...

- Nie mogą zniszczyć zapory. Już o tym wiemy. Pamiętaj, nie jesteśmy nawet pewni, czy Archer tam jest.

- W takim razie czegoś nie rozumiemy. Nie rozumiemy od początku. - Middleton zastanowił się przez chwilę. - Syn Sikariego też nie mógł przewidzieć, że przyjedzie tu prezydent.

- Do czego zmierzasz?

- Sikari ułożył wszystkie plany, opierając się na założeniu, że na zaporze będzie sekretarz stanu. Mniejsze środki bezpieczeństwa. Inny rezultat akcji.

- Nie nadążam, towarzyszu.

- Zang wyjaśnił to za was obu: chaos. To jest najważniejszy cel z punktu widzenia Archera. Pchnąć świat na drogę do konfliktu jądrowego między Indiami a Pakistanem.

Wiesz, co to oznacza.

- Czytałem te same opracowania co ty - odrzekł

Czerniajew i biorąc przykład z Middletona, także wstał. -

Zupełny upadek światowej gospodarki. Dziesięć lat lub więcej
głębokiego kryzysu. I to tylko na początek.

- Możliwy, ale wcześniej mało prawdopodobny
scenariusz. A teraz, gdyby prezydent...

- To prawdopodobne, jeżeli nie nieuniknione.

- Otóż to - powiedział Middleton. - O zamach zostaną
oskarżeni pakistańscy bojownicy. Reakcja Stanów będzie...

Boże, nie znajduję odpowiedniego słowa.

- Wystarczy sama wizja. Pakistan weźmie odwet na
Indiach, bo tylko tyle może.

- Wojna jądrowa - powiedział Middleton. - Chaos na
świecie.

- Nie, jeżeli uda się go nam powstrzymać - odparł
Czerniajew.

Kontynuując maskaradę, Tesla pchała Charley na wózku
przez lotnisko w Srinagarze. Miasto, znane jako letnia stolica
Dżammu i Kaszmiru, leżało w sercu Doliny Kaszmirskiej
półtora kilometra nad poziomem morza. Tesla wiedziała, że
dzięki nisko położonym śródlądowym wodom to idealne
miejsce na zaporę Baglihar.

Lotnisko było mniejsze i stosowano tu łagodniejsze, wręcz

symboliczne środki bezpieczeństwa. Mimo to terminal i płyta lotniska roily się od indyjskich żołnierzy i funkcjonariuszy miejscowej policji.

- Co się dzieje? - spytała Charley, która wciąż siedziała na wózku z pochyloną głową, by nikt ich nie rozpoznał.

- Patrz. - Tesla wskazała wielką tablicę witającą gości przybywających na uroczyste otwarcie zapory. Nagle wykrztusiła:

- Charley. - Chwyciła dziewczynę za ramię.

U dołu tablicy umieszczono informacje na temat zapory - dane o wielkości, mocy elektrowni oraz ciekawostki, między innymi taką, że ludzie wysiedleni z miejsca budowy i terenów zalewowych zamieszkali w położonym nieopodal pięknym, nowym miasteczku. Nazwano je czule „Wioska”.

- Ostrzeżenie w e - mailu Balana! Coś się wydarzy tu i teraz. - Podeszła do kiosku i kupiła telefon na kartę. Gdy go uruchomiła, zadzwoniła pod wszystkie numery Middletona - nawet stacjonarne

- i wysłała SMS - y i e - maile.

Następnie schowała telefon i skierowała Charley w stronę wyjścia.

- Jeżeli twój ojciec ma dostęp do jakiegokolwiek telefonu czy komputera, dowie się, gdzie jesteśmy i dlaczego.

- Jeżeli jeszcze żyje - mruknęła Charley.

- Przestań - ucięła Tesla, choć niezbyt ostrym tonem. -

Nic mu nie jest. Na pewno. Być może nawet jest tutaj. Jeżeli wie o Wiosce.

- Głupi oboje jesteście.

- Co?

Charley zadarła głowę, by przelotnie spojrzeć w oczy Tesli.

- Po co ratować świat, jeżeli nie umiecie się nim cieszyć?

- Charley, proszę...

- Nie, chcę ci powiedzieć, że nie mam nic przeciwko temu, czym się oboje zajmujecie. Naprawdę nie sędzę, że macie lepszy pomysł na określenie tego niż ja. Ale dla własnego dobra powinniście znaleźć w tym jakiś sens.

- Dziękuję.

Drzwi rozsunęły się automatycznie i Tesla wywiozła Charley na upalne powietrze. Uderzyło ją jak podmuch z wielkiego pieca, nieomal roztapiając cały makijaż, który zdążył już upodobnić jej twarz do maski na Halloween. Tesla zatrzymała wózek przy krawężniku i uniosła rękę, by przywołać taksówkę.

W jednej chwili ruszył z piskiem opon oblepiony brudem biały sedan, zajeżdżając drogę następnej w kolejce taksówce. Wywiązała się burzliwa wymiana zdań w hindi, i zwycięzca wyścigu, sedan, zatrzymał się przed Amerykankami. Tesla

zajęła się pomaganiem przebranej Charley wstać z wózka i zasiąść na tylnym siedzeniu taksówki. Zostawiwszy na chodniku wózek należący do linii lotniczych, zajęła miejsce obok kierowcy.

- Jaki jest wasz adres? - zapytał nieudolną angielszczyzną wiekowy taksówkarz w turbanie. Uniósł poorly głębokimi zmarszczkami twarz, zerkając na ich odbicie w brudnym lusterku wstecznym.

- Proszę nas zawieźć na zaporę Baglihar - powiedziała Tesla.

Archer wciąż nie miał wiadomości od Jany i zaczynał obawiać się najgorszego, zanim dotarła do niego informacja, że prawdopodobnie jest w drodze do Stanów Zjednoczonych - tam w każdym razie zmierzał jej telefon komórkowy.

Zastanawiał się, czy to ma być jakaś kara zesłana z niebios i za odebranie ojcu życia został skazany na życie w izolacji, bez szansy na miłość i namiętność. Nieważne. Był na tyle młody, by cieszyć się owocami swoich trudów i władzy, jaką skupi w rękę, gdy zadanie przy zaporze zostanie zakończone.

Mimo to niepokoiła go utrata kontaktu z Janą, a także zagadkowe anomalie na zdjęciu rzekomo martwej córki pułkownika Harolda Middletona. Jeżeli Charlotte Middleton żyła, to żyła też Ochotniczka Tesla, która z zacięciem tropiła Archera. Dobrze, że się zabezpieczył - tę przezorność również

zostawił mu w spadku Sikari.

Jak na zawołanie w tym momencie zadzwieczał jego szyfrowany telefon. Archer podniósł go i odczytał wiadomość od człowieka, którego wysłał do Kaszmiru.

ZADANIE WYKONANE.

Middleton stał w zamkniętej kordonem strefie bezpieczeństwa, wpatrując się w niebo w oczekiwaniu na przylot prezydenta. Widoczna w tle zaporą Baglihar była potężną, spektakularną budowlą. Jedynym obiektem, który w niewielkim stopniu mógł jej dorównać pod względem rozmiarów i skali była zaporą Hoovera w Newadzie. Wtedy także prowadzono budowę na pustkowiu; zaporę Hoovera na pustyni, Baglihar na niezamieszkanym wiejskim terenie. Jeżeli użyto tu choćby połowy betonu wykorzystanego w Newadzie, to w przekonaniu Middletona żaden ładunek wybuchowy, nawet termobaryczny, może z wyjątkiem jądrowego, nie mógłby zburzyć obiektu. Zniszczenia uboczne w wyniku eksplozji nie mogłyby również dosięgnąć miejsca, w którym miał przemawiać prezydent: coś w rodzaju wielkiego, naturalnego amfiteatru, z którego roztaczał się przeznaczony dla turystów oszałamiający widok na rzekę Ćenab, której potężną siłę ujarzmiły miliony ton betonu i stali.

Co dokładnie Devras Sikari miał na myśli w e - mailu do Balana?

Pamiętasz, co zaplanowałem dla „Wioski”. To się musi stać niedługo - zanim zajmiemy się resztą.

Patrząc na zaporę, pomyślał: nic dziwnego, że Pakistan złożył w ONZ - ecie tak stanowczy protest. Indyjski projekt zagrażał irygacji większej części obszarów rolnych kraju, zwłaszcza gdyby nadszedł okres suszy większej niż zwykle.

Niewykluczone, że w całym Pakistanie ludziom zacznie zagładać w oczy głód, co stanowiłoby doskonały pretekst do odwetu. Middleton nie mógł się oprzeć przypuszczeniu, że to mógł być główny cel planu.

- Muszę ci coś pokazać, towarzyszu - powiedział

Czerniajew, pojawiając się nieoczekiwanie u boku Middletona

i wyciągając do niego telefon BlackBerry. - Człowiek na

zdjęciu to Umer, znany wspólnik Sikariego i Archera, który

pomagał im zdobywać materiały wybuchowe. Zdaniem

wywiadu generała Zanga to on ma odpalić ładunki.

- To bez sensu.

- Co?

- Po co zadawać sobie tyle trudu i detonować ładunki

wewnątrz zapory, której i tak nie mogą zniszczyć?

Czerniajew wzruszył ramionami.

- Może demonstracja siły, zapowiedź czegoś znacznie gorszego.

- Nie, tu od początku chodziło o zamordowanie sekretarza

stanu. Teraz grozi nam zamach na prezydenta.

- Kiedy moi ludzie zlokalizują ludzi Archera, minie trochę czasu, zanim znów nam zagrozi. A gdyby udało się znaleźć samego chłopaka. ..

Middleton odwrócił się, spoglądając w stronę olbrzymiego tłumu, który ciągnął się daleko za kilkoma tysiącami wypełniającymi

amfiteatr,

skąd

prezydent

Stanów

Zjednoczonych miał dokonać inauguracji zapory z bezprecedensową pompą.

- Coś się już udało?

Czerniajew znów wzruszył ramionami.

- Przyszło mnóstwo ludzi, towarzyszu. Ale moje służby znają się na rzeczy i wiedzą, czego szukać.

- BlueWatch?

- Da. Możesz mi wierzyć, pułkowniku, zostali świetnie wyszkoleni do zadań tego typu.

- Jakiego typu?

- Likwidacji obiektów z bliskiej odległości.

- Jak na przykład wpakowanie kulki materiału promieniotwórczego w nogę zdrajcy?

Czerniajew uśmiechnął się, mrugając do niego.

- Ależ towarzyszu, skąd przyszło ci do głowy coś takiego?

Ich wzrok równocześnie powędrował ku niebu, skąd dobiegło odległe dudnienie helikoptera. Middleton wyciągnął szyję, czując, jak Rosjanin obok niego wypręża się jak struna. Nadlatywał prezydent.

- Bliżej nie będę mógł was dowieźć.

- Tu wystarczy - powiedziała do taksówkarza Tesla. -

Damy sobie radę.

Kierowca zerknął w lusterko wsteczne na zrezygnowaną Charley i dodał:

- Ale jest sektor dla VIP - ów, o wiele bliżej oficjalnej ceremonii. Może macie jakieś akredytacje albo przepustki...

- Owszem, mam - skłamała Tesla i podała mu pięćdziesiąt dolarów. Twarz mu pojaśniała.

- No to postaram się tam dojechać.

Skręcił w prawo i ruszył pustym odcinkiem pospiesznie wyrównanej drogi w stronę ogrodzenia, którego pilnowało trzech funkcjonariuszy indyjskiej policji specjalnej. Dali taksówce znak, aby się zatrzymała. Jeden podszedł do drzwi kierowcy, a dwaj pozostali na swoich miejscach przed maską samochodu.

Tesla odwróciła się do Charley, pragnąc dodać jej otuchy,

gdy nagle jej uwagę przyciągnął gwałtowny ruch na przednim siedzeniu. Kierowca puścił kierownicę, a w jego rękach błyskawicznie pojawiły się dwa pistolety zaopatrzone w tłumiki. Zanim zdążyła zareagować, wystawił broń za okno i otworzył ogień do podchodzącego policjanta i dwóch stojących przed samochodem.

Z takiego kąta nie powinien trafić. Chyba że miał odpowiednie doświadczenie. W pobliżu nie było żadnego świadka morderstwa.

Tesla stłumiła okrzyk. W pierwszym odruchu chciała ochronić Charley. Nie miała broni i niewiele więcej mogła zrobić.

Kątem oka dostrzegła innego mężczyznę ubranego w miejscowy strój, z długą brodą, który wychynął z krzaków, gdzie zapewne czekał. Szybko podszedł do okna kierowcy, powiedział do niego coś w hindi, po czym zwrócił się do pasażerek:

- Wy proszę iść ze mną. Prędko. - Dodał coś jeszcze, ale słowa utonęły w hałasie prezydenckiego helikoptera, który pojawił się na niebie, mając po bokach dwa śmigłowce szturmowe.

Telefon wydał sygnał oznajmujący nadejście SMS - a i Archer uniósł komórkę, osłaniając ekran przed słońcem, aby przeczytać wiadomość od Umera:

WSZYSTKO GOTOWE

Archer wyłączył ekran telefonu, nie odpowiadając; nie było potrzeby. Przyglądał się, jak prezydencki helikopter siada na prowizorycznym lądowisku, które zbudowano specjalnie na uroczystość otwarcia zapory. Śmigłowce szturmowe ubezpieczały lądowanie z góry, a strumienie powietrza spod wirników wzbijały chmury kurzu i kamieni.

Gdyby było zbyt wietrznie na bezpieczne lądowanie helikoptera, wszystkie jego plany mogłyby spełznąć na niczym. Nawet los się do niego uśmiechnął. Czuł przy sobie obecność ojca, który również go pochwalał, rozumiejąc, że musiał zginąć, aby dokonało się tak wspaniałe przeznaczenie.

Middleton słuchał ministra rządu indyjskiego, który po słowie wstępnym powiedział:

- Panie i panowie, w tym jakże ważnym i radosnym dniu z ogromną przyjemnością zapraszam do mikrofonu prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Middleton nie patrzył, jak prezydent wchodzi na scenę przy wtórze burzliwych braw i ogłuszających owacji rzeszy widzów. Stojąc obok Czerniajewa, błądził wzrokiem po tłumie, szukając Umera czy w ogóle któregokolwiek z ludzi Archera. W morzu głów nie sposób było nikogo dojrzeć.

Kiedy prezydent zaczął czytać przygotowane uwagi na temat otwarcia zapory, Middleton kontynuował wolną lustrację

tlumu, kierując oczy w stronę zapchanego, odgradzonego sektora dla korpusu prasowego. Błyskały flesze i terkotały kamery, często nie większe od dłoni, rejestrując każde słowo i gest prezydenta.

Jak bym to zrobił?

Middleton próbował postawić się na miejscu Archera.

Ładunki termobaryczne, które udało mu się zdobyć, nie były przeznaczone do wysadzenia samej zapory - to było jasne.

Mniej jasna była odpowiedź na pytanie, co w takim razie pozostawało? Scena i widownia amfiteatru zostały skrupulatnie sprawdzone i nie wykryto materiałów wybuchowych żadnego rodzaju. Co oznaczało... co oznaczało...

Że ładunków w ogóle tu nie było. Stąd mógł płynąć tylko wniosek, że Archer obmyślił plan przemycenia ich na miejsce innym sposobem, po rozpoczęciu przemówień.

- Staję dziś przed wami jako reprezentant głównego i najwierniejszego sojusznika Indii, pragnąc powitać wraz z wami nową erę niezależności energetycznej, w jaką wkraczacie...

Middleton spojrzał na śmigłowce szturmowe, które znajdowały się za wysoko, by stanowić zagrożenie dla prezydenta, gdyby eksplodowały. Co więc pozostawało?

Pięćdziesięciu

ludzi,
pomyślał,
gdybym
miał
pięćdziesięciu ludzi, jak bym ich wykorzystał? W grę
wchodziłaby
możliwość
zapakowania
ładunków
termobarycznych do kamizelek zamachowców samobójców,
gdyby każdy z wchodzących do amfiteatru nie musiał się
poddąć kontroli przenośnym wykrywaczem. Co pozostawało?

Pięćdziesięciu ludzi...

- Nic - poinformował go Czerniajew, otrzymując kolejny
meldunek przez prawie niewidoczną słuchawkę.

- Dziesiątki tysięcy mieszkańców Indii otrzymają energię
i światło bez szkód dla środowiska i dalszego trwonienia
zasobów naturalnych. Otwarcie tej zapory stanowi przykład
najnowszych osiągnięć energetyki wiatrowej, wodnej i
słonecznej...

- W ogóle nie powinniśmy do tego dopuścić - warknął do
Czerniajewa Middleton, gdy nagle zostali potrąceni przez tłum
żywo reagujący na kolejne mocne zdanie prezydenta.

- Mieliśmy inne wyjście? - sprzeciwił się Czerniajew. -

Kto by nas słuchał? Znajdziemy tego Umera. Powstrzymamy ich.

- Miejmy nadzieję - rzekł Middleton.

Umer przebijał się na czoło tłumu, idąc powoli, starając się w żaden sposób nie zwracać na siebie uwagi. Nie musiał podchodzić tak blisko, by odpalić ładunki, ale obiecał swoim ludziom, że dołączy do nich w chwalebnej misji i pierwszy powita ich na progu, gdy będą wstępować do nieba. Nie było mu trudno złożyć tę ofiarę; po tym zdarzeniu nic, co dotąd zrobił, nie mogło się równać z jego dzisiejszym poświęceniem. Musiał mieć swój udział w chwale, żeby sławiono go jako bohatera, nawet gdyby jego imię miało być znane tylko szczupłej grupie osób wiedzących o jego roli. Jego ludzie odznaczyli się taką samą ambicją i odwagą, a każdy z nich wiedział, że narodził się, by dożyć tego dnia. Każdy z nich przystępował do tego z szeroko otwartymi oczami, gotów oddać się w służbę Wszechmogącemu. Umer czuł się w tym momencie podobny Bogu, dziwnie spokojny, mając świadomość, że jest panem losu, który zależy od maleńkiego zapalnika w jego kieszeni. Wystarczy pstryknąć włącznikiem, nacisnąć guzik i świat odmieni się w ciągu nanosekundy.

Umer modlił się, by widzieć efekt ze swojego miejsca w raju.

- Uwolnijmy się od dawnych lęków, nie bądźmy

więźniami przeszłości. Spójrzmy w przyszłość bez strachu o trudności, jakie będą nam towarzyszyć w odważnej wędrówce nową drogą ku jasnej przestrzeni. Czas lęku i niepewności minął...

- Doczekasz się za to kary - powiedziała do Archera słabym głosem Tesla.

W prywatnej łoży sektora dla VIP - ów Archer wydawał się pewny, że wszystko ujdzie mu bezkarnie.

- Mój ojciec życzyłby sobie, żeby Middleton tu zginął - powiedział. - Ale ja wolę, żeby patrzył, jak zabijam jego córkę. Lepiej, żeby żył i cierpiał.

- Znajdzie cię na końcu świata.

Usta Archera drgnęły, jak gdyby składając się do uśmiechu, do którego wyraźnie nie były przyzwyczajone.

- Jeżeli przeżyje, co jest mało prawdopodobne. Gdyby przeżył, niech mnie ściga. Niech osobista nienawiść strawi jego nieudaną misję. Niebawem ziemia będzie wyglądać zupełnie inaczej.

Tesla zastanowiła się przez chwilę.

- To prawda, że zabiłeś swojego ojca? Archer zeszywniał, nie odpowiadając.

- Przyjmuję to za odpowiedź twierdzącą. Niektórzy nazwaliby to najwyższą formą zdrady.

- Zdradził go wiek - odparował Archer. - Zdradziła go

własna słabość. Za długo w to grał.

- To dla ciebie gra?

- Tak samo jak dla mojego ojca. Ale za mało już zależało mu na zwycięstwie.

- Właśnie odpowiedziałeś na moje pytanie - powiedziała

Tesla. - To od początku był twój plan. A on nie chciał się na niego zgodzić. Zmienił zdanie, więc go zabiłeś.

Archer nie zamierzał się wypierać.

- Zaczęliśmy patrzeć na świat inaczej.

Middleton, z identyfikatorem członka służb ochrony na

szyi, zbliżał się do czoła gęstej masy ludzkiej, gdy nagle

dostrzegł mężczyznę stojącego nieco z boku. Na pierwszy rzut

oka nie zwróciłby na niego szczególnej uwagi, gdyby nie fakt,

że człowiek miał zamknięte oczy, jakby spał. Albo się modlił.

Przyjrząwszy mu się uważniej, zobaczył twarz ze zdjęcia,

które pokazał mu Czerniajew.

Umer!

Ledwie Middleton zdążył sformułować tę myśl, jeden z

reporterów stłoczonych w sektorze prasowym przedarł się do

środkowego przejścia z twarzą błyszczącą od potu. Middleton

patrzył, jak mężczyzna zrywa z szyi pasek aparatu

fotograficznego i rzuca go na ziemię, a w jego kierunku rusza

personel ochrony.

Middleton odwrócił się do Umera. Zamachowiec otworzył oczy i sięgnął do kieszeni.

W tym momencie wszystko stało się jasne. Pięćdziesięciu żołnierzy, ładunki termobaryczne, porzucony aparat...

Ludzie Archera byli przebrani za dziennikarzy, a ładunki tkwiły ukryte w ich nikonach, canonach i kamerach.

Sprzęt zapewne przerobiono, wstawiając ołowiany ekran, dzięki któremu ładunki były niewidzialne dla urządzeń wykrywających. Dochodził do tego fakt, że ładunki termobaryczne były stosunkowo nowe, więc ich parametry mogły jeszcze nie zostać zidentyfikowane i zakodowane.

Middleton szedł w stronę Umera, żałując, że rozdzielili się z Czerniajewem.

- Mam go - powiedział cicho do miniaturowego mikrofonu, który dał mu Rosjanin. - Przedni sektor, skrajny rząd od południowego wschodu.

Middleton zobaczył, jak Umer obejmuje stulonymi dłońmi mały, podłużny zapalnik i unosi je jak do modlitwy. Znów zamknął oczy. Middleton sięgnął po berettę, którą dostał od Czerniajewa, ale nie odważył się zaryzykować strzału. Nawet śmiertelny strzał prosto w mózg mógł wywołać skurcz wystarczający do włączenia detonatora. Middleton musiał wygrać tę bitwę w starciu wręcz.

Zamieszanie w sektorze prasowym przyciągnęło wzrok

Archera, który odwrócił się od zatrzymanych Amerykanek.

Harold Middleton przebijał się przez środkowe przejście.

- Nie - wychrypiał Archer. Jego głos przeszedł w

gardłowy wrzask rozpieszczonego dziecka. - Nie!!!

Wziął zamach i z wściekłością wymierzył potężny cios w

gardło Tesli, który mógłby jej zmiażdżyć tchawicę, gdyby w

ostatniej chwili się nie odwróciła. Trafił ją z boku, zgniatając

chrząstkę i Tesla osunęła się na kolana, tracąc na moment

oddech.

Krztusząc się, Tesla zobaczyła, jak Archer szarpie Charley

i ciągnie ją w kierunku tłumu.

Wykorzystując głębokie skupienie Umera, Middleton

rzucił się na niego z boku z wyciągniętą przed siebie ręką, by

odgiąć mu palce.

Umer wrzasnął z bólu, wbijając w Middletona

rozwścieczone oczy, jak gdyby nagle wyrwano go z pięknego

snu. W wyniku zamieszania wszyscy stojący blisko

pierwszych rzędów zaczęli padać jak kostki domina. Agenci

Secret Service natychmiast wpadli na scenę, otaczając

prezydenta ochronną, ruchomą bańką.

Chaos.

To słowo dźwięczało Middletonowi w głowie, gdy wokół

niego rozpętała się burza. Middleton uderzył Umera łokciem

w twarz, miażdżąc mu nos i wybijając przednie zęby.

Usłyszał, że coś ze stukiem pada na beton. Wiedział, że to może być tylko zapalnik, bo Umer padł na ziemię, usiłując go wymacać. Middleton rzucił się za nim między nogi rozszalałego tłumu, pędzące we wszystkich kierunkach jednocześnie. Gdyby czyjaś stopa nadepnęła na guzik zapalnika...

Na scenie agenci Secret Service szybko wyprowadzali prezydenta w bezpieczne miejsce, choć mogły upłynąć długie sekundy, zanim odsuną go poza zasięg rażenia pięćdziesięciu oddzielnych ładunków termobarycznych. Tkwiąc pośrodku uciekającego tłumu, Middleton poczuł, że czyjeś kolano wali go w czaszkę, czyjaś stopa dźga go między żebra. Wciąż szukał po omacku zgubionego zapalnika, obawiając się poświęcić jedną rękę, by wyciągnąć broń i strzelić do Umera. Zobaczył go, jak maca ziemię w morzu rozbieganych nóg i uciekających na oślep ciał.

Wreszcie Middleton zauważył zapalnik z pękniętą czarną obudową i wyciągnął po niego rękę, lecz w tym momencie ktoś nadepnął mu na palce, a inna stopa kopniakiem posłała urządzenie gdzieś daleko. Odbiło się od ziemi i poleciało prosto w kierunku Umera, którego ręka wystrzeliła po zapalnik.

Obolałe palce prawej ręki były niezdatne do użytku, więc Middleton lewą ręką jednym ruchem wyciągnął pistolet i

strzelił. Pocisk trafił Umera w policzek, odrywając mu sporą część twarzy. Mężczyzna upadł na zapalnik, osłaniając go przed naporem pędzących stóp, a Middleton zbliżył się do niego na czworakach i wyszarpnął urządzenie spod jego ciała. Aby wstać, musiał włożyć w to ogromny, niemal nadludzki wysiłek, chroniąc zapalnik w obydwu rękach. Przed oczami mignął mu nieprawdopodobny obraz, który musiał być skutkiem silnych ciosów w głowę: zobaczył swoją córkę Charley.

Po chwili jednak oszołomienie minęło i z mgły wyłonił się Archer, trzymający lufę przy głowie Charley.

- Daj mi to! - wrzasnął zaskakująco dziecinnym i rozpaczliwym głosem. - Daj mi to albo dziewczyna zginie!

ROZDZIAŁ 16

JAMES PHELAN

Dłoń Archera eksplodowała, obryzgując krwią twarz Charley. Pocisk karabinowy dużego kalibru wyrwał mu pistolet. Ranny Archer pociągnął Charley za sobą na ziemię, znikając Middletonowi z oczu. Wokół nich kłębiły się setki ludzi, którzy w popłochu usiłowali wydostać się z amfiteatru. Middleton skulił się i zgiął nogi w kolanach, by obniżyć środek ciężkości. Potrącany przez ludzką falę, przebijał się pod prąd i dotarł do miejsca, gdzie upadli. Nic. Krew na ziemi. Pistolet Archera w kawałkach poza tym żadnych śladów.

Middleton przez całe swoje życie zawodowe pomagał innym. Nigdy nikogo nie prosił o nic w zamian. W tym momencie, gdy napierał na niego przerażony tłum, żałował, że nie było inaczej.

Connie Carson i Wiki Chang siedzieli w ładowni samolotu hybrydowego MV - 22B Osprey, otoczeni przez żołnierzy piechoty morskiej, którzy z bojowymi minami dzierżyli karabiny M4. Wystartowali pionowo jak helikopter, by po chwili zmienić kierunek na poziomy w stylu samolotu, gdy dwa potężne silniki obróciły się i ruszyli z kopyta na północ. Chang siedział wciśnięty między Carson i żołnierza trzy razy większego niż on, ściskając w objęciach plecak tak mocno, jak gdyby chciał się do niego wczłgać, chowając się przed niewiarygodnym hałasem panującym w kabinie, ponieważ razem z nimi w zwartym szyku leciały jeszcze dwa ospreye.

Dotąd jakoś się trzymał, ale mdłości go pokonały i Chang wymiotował do torebki, w którą zaopatrzył go dowódca oddziału. Carson klepnęła go w plecy.

- Ty się... uśmiechasz?

- Trochę minęło od mojej ostatniej akcji z marines -

powiedziała Connie, w której pod powierzchnością

cheerleaderki kryła się zuchwała żołnierka piechoty Armii

Stanów Zjednoczonych. Poczwała się w tej sytuacji nie tyle jak

ryba w wodzie, co wniebowzięte prosię tarzające się w błocie.

Podrapała sztywny opatrunek z włókna szklanego na ramieniu. - Wygląda to inaczej niż w grze komputerowej, co?

Chang miał wrażenie, że za chwilę zęby wyskoczą mu z zębodołów. Gdy siedzący obok niego żołnierz załadował magazynek do karabinu M249 SAW i wprowadził nabój do komory, Wiki pokiwał głową.

Czerniajew wezwał go przez radio.

Middleton rozejrzał się wokół siebie, wspiął się na palce, by spojrzeć ponad morzem głów, i o mały włos nie stracił równowagi - dostrzegł go za lożą prasową, gdzie reporterzy wciąż tłoczyli się w swojej zagrodzie położonej nieco niżej, poza zasięgiem wzroku prezydenta, którego właśnie zaczynano ewakuować. Choć do akcji ruszył cały personel ochrony, nie udało mu się zapanować nad rozkołysanym tłumem, masowo podążającym do wyjść z amfiteatru.

- Tam!

Middleton podążył spojrzeniem za wyciągniętą ręką i palcem wskazującym Czerniajewa - i zobaczył Archera, który włókł Charley z powrotem do sektora VIP - ów, a zza jego pleców dobiegł huk helikoptera.

- Dwie minuty! - krzyknął dowódca marines. - Maski!

Wszyscy żołnierze nałożyli maski przeciwgazowe.

Carson spojrzała na Changa, na którego twarzy malował

się wcześniej lęk, przechodzący teraz w śmiertelne
przerażenie. Przed zaledwie dwudziestoma minutami
zatrzymano ich na punkcie kontrolnym przy głównej drodze,
dziesięć kilometrów na południe od zapory, gdzie udało się jej
przekonać indyjską wartę, by pozwolono jej porozmawiać z
pułkownikiem piechoty morskiej, który stał teraz, patrząc
ponad ramionami pilotów.

- Wiki, mamy już zasięg? - spytała Carson.

Chang przecząco pokręcił głową, przybierając nowy
odcień bladości i opanowując kolejną falę torsji podchodzącą
do gardła. Otoczyła go ramieniem. Kiedy się ma nie tylko
ocalić swojego prezydenta, ale jeszcze uchronić region przed
wojną jądrową... Tak, zupełnie zrozumiała reakcja.

Secret Service umieściła prezydenta za wysoką ścianką z

kuloodpornego

szkła,

którą

ustawiano,

ilekroć

głównodowodzący

przemawiał

publicznie.

Agenci

ochraniający prezydenta z wyciągniętą bronią służbową,

lustrowali tłum, a niektórzy unosili głowy na dźwięk zbliżającego się do strefy lądowania Marine One, wielkiego śmigłowca Sikorsky VH - 3D Sea King.

Middleton biegł co sił w nogach, odpychając na bok każdego, kto wszedł mu w drogę. Gdyby nie rwanie w kolanach, czułby się sprawny jak trzydzieści pięć lat temu, gdy na West Point grał jako skrzydłowy. W tłumie za jego plecami padł następny strzał. Middleton nawet się nie wzdrygnął.

Przeczesywał wzrokiem tłum, łapczywie chwytając oddech.

Są. Tuż na wprost niego.

Niedaleko miejsca, gdzie podstawa zapory stykała się ze schodami na trybunę dla VIP-ów, Archer odwrócił się do niego. Ramieniem ścisnął w pasie Charley, trzymając przed nią zakrwawiony kikut, a drugą rękę chował za jej plecami.

Mógł mieć w niej pistolet, mógł mieć nóż.

Middleton spojrzał na córkę. Uleciały mu z głowy wszystkie myśli o uciekającym tłumie. I o bombach. Jak gdyby znalazł się w oku cyklonu. W tym momencie umilkł nawet huk śmigłowca. Ludzie z wrzaskiem biegali wokół niego, gdy stał bez ruchu, patrząc na nią. Charley miała w oczach nieme błaganie. To nie była jej wojna. Znowu znalazła się w niebezpieczeństwie przez jego pracę.

Ruszył na niego jeden z agentów BlueWatch Czerniajewa, wyciągając pistolet - nagle głowa odskoczyła mu do tyłu i padł na ziemię. Pewnie ktoś z Secret Service albo snajper piechoty morskiej. Middleton niemal zaczął żałować, że nie pozbył się beretty, tylko instynktownie wetknął ją z tyłu za pasek. Miał nadzieję, że jej nie namierzą i nie potraktują jako zagrożenie.

- Pilot, Middleton, bo dziewczyna zginie.

Archer wepchnął jej coś w plecy i Charley krzyknęła.

Dzieliło ich dziesięć metrów. Middleton zmniejszył odległość do pięciu. Przystanął. Trzymając pilota w prawej ręce, pokazał go Archerowi.

- Chcesz to?

- Wiesz, że to koniec.

- Może dla mnie i dla ciebie - odparł Middleton. - Dla niej nic się nie kończy.

- Może nie - dla niej. - Archer obejrzał się przez ramię. -

A dla tej twojej drugiej?

Middleton spojrział w tym kierunku. U szczytu schodów prowadzących do sektora dla VIP - ów zobaczył Tesłę, która z trudem łapała powietrze, z kącika ust sączyła się jej jasnoczerwona strużka, miała zapadniętą, zmęczoną twarz.

Została podeptana przez tłum.

- Puść je obie, Archer - powiedział Middleton, odwracając

się. - To jedyna oferta. Jeżeli myślisz, że uda ci się do mnie strzelić i nie trafi się snajper, to spróbuj.

Sześćdziesięciu marines w pełnym rynsztunku bojowym wpadło w dwuszeregu w tłum, wbijając się klinem w masowy exodus.

Chang zgodnie z poleceniem trzymał rękę na pasku biegnącej przed nim Carson i nie protestował ani o nic nie pytał, gdy oderwała się od oddziału marines i pomknęła po schodach na trybunę dla VIP - ów po lewej.

- Tylko tak się to może skończyć, Archer. Puścisz moją córkę i moją współpracownicę. Poczekasz, aż odejdą.

Archer niemal się uśmiechnął. Charley skrzywiła się, gdy poprawił chwyt i jego ciepła krew oblała jej szyję.

- Zapalnik na ziemię i mają trzydzieści sekund - powiedział Archer. - Za mną jest puste przejście do części technicznej zapory. Osłonią się przed wybuchem.

Middleton wiedział, że nie ma wyboru i musi przystać na propozycję, choć oczy Charley mówiły „nie”.

- Dwadzieścia pięć sekund.

Spojrzał w prawo - Marine One za chwilę miał wylądować. Pomyślał o Lespassie i Wetherbym, dwóch poległych towarzyszach.

Pomyślał o matce Charley. Pomyślał o wszystkich, którzy odeszli za wcześnie, ginąc z rąk chciwych ludzi. Właśnie po

to, żeby to powstrzymać, utworzył Ochotników.

- Dwadzieścia. Jeżeli będziesz jeszcze czekać, nie zdążą.

Middleton ponownie się rozejrzył - dostrzegł znajomą twarz.

Z tyłu zbliżał się do niego Czerniajew.

- Zgoda - rzekł Middleton. Wyciągnął rękę i położył

zdalny zapalnik na ziemi, kilka kroków przed Archerem.

Archer puścił Charley i pchnął ją w stronę Tesli, która czym

prędzej zbiegła po schodach.

- Biegiem! - krzyknął do nich Middleton. - Biegiem!

Tesla chwyciła Charley za rękę. Wytężając resztki sił,

pociągnęła ją w kierunku żelbetowej tamy, gdzie miały

znaleźć bezpieczne schronienie.

Tłum przełamał barierę i przekroczył linię bezpieczeństwa

przy lądowisku Marine One. Szansy ucieczki z amfiteatru

wciąż szukało kilka tysięcy osób i setki rzuciły się do nowego

wyjścia.

Agenci

Secret

Service

byli

zmuszeni

zatrzymać

prezydenta za kuloodporną szklaną zasłoną, około dwustu

metrów od swojego punktu ewakuacyjnego, gdzie trwała już

akcja. Marine One unosił się bezpośrednio nad strefą lądowania. Wszyscy nałożyli maski gazowe, nawet prezydent i jego ochrona.

Kiedy Archer kucnął, okazało się, że trzyma mały pistolet.

Tą samą dłonią wziął pilota, cały czas tuląc do piersi zmasakrowaną rękę. Spojrzał na niewielką plastikową skrzyneczkę. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Otworzył klapkę włącznika. Pomyślał o miejscu, o którym opowiadał mu ojciec, o wiosce pasterzy w Kaszmirze, skąd pochodziły kozy chyangra. Podobno prawie dwa i pół tysiąca lat temu przejeżdżała tędy karawana Aleksandra Macedońskiego, a dowodem do dziś są mieszkający tam ludzie o jasnych włosach, rumianych policzkach i niebieskich oczach. Od dzieciństwa pragnął to zobaczyć - może śmierć go tam zabierze. Cierpienie ma swoją radosną stronę, rozpacz ma w sobie łagodność, a śmierć ma sens. Każda śmierć.

Otworzyły się boczne drzwi Marine One unoszącego się nad tłumem, wychylił się przez nie agent i z granatnika M32 wystrzelił trzy pociski z gazem CS prosto w strefę lądowania. Czterdziestomilimetrowe granaty w niecałe pół sekundy pokonały pięćdziesiąt metrów i dosięgły ziemi. Gaz łzawiący wywołał natychmiastowe skutki.

- Nie! - krzyknął Czerniajew przez zasłonę z biegnących ludzi. Archer wcisnął guzik zapalnika.

Middleton zamknął oczy. Pomyślał o Charley.

Nic się nie stało.

Middleton otworzył oczy. Archer z niedowierzaniem wpatrywał się w pilota. Wsunął pistolet za pas, ponownie wcisnął guzik. I znowu nic.

Znowu.

- Prawie się udało, Archer - powiedziała Carson.

Zeszła po schodach z Changiem, który pokazał słuchawkę podłączoną do plecaka.

- Zagłuszył sygnał - powiedział Middleton. Widział

Connie Carson i Changa w pobliskich krzakach; dali mu znak, że może spokojnie oddać pilota. Uratowali go przed podjęciem trudnej decyzji: córka czy prezydent.

Chang skinął głową. Jego mina wyrażała ogromną ulgę, ale wyglądał na wykończonego, jak gdyby za chwilę miał zemdleć, gdy adrenalina przestała działać. Choć Chang liczył się głównie ze względu na swoje stopnie naukowe z informatyki i nauk ścisłych oraz zdolności językowe, którymi wspierał Ochotników zza bezpiecznego biurka pod Waszyngtonem, Middleton nigdy nie powitał nikogo w miejscu akcji z taką radością jak tego drobnego Tajwańczyka.

- Najpierw pomyślałem, że może używają pilota do bramy garażowej, ale potem zorientowałem się, że Secret Service musi się znać na takich rzeczach, bo ma

doświadczenie z Iraku i z minami pułapkami - powiedział, ściskając w rękę słuchawkę. - . No więc zagłuszyłem zaporowo wszystkie częstotliwości, kiedy tylko marines nas wysadzili.

Middleton uśmiechnął się i spojrzął na Archera, który stał z pistoletem wetkniętym za pas i pilotem zapalnika w ocalałej ręce. Rozglądał się nerwowo, a po chwili jakby się uspokoił.

- Dobra robota, Wiki.

- Nie ma sprawy, szefie - odrzekł Chang. Spojrzął w kierunku Marine One, który wolno schodził na ziemię i na ochronny kordon opasujący prezydenta. - Jasna cholera - powiedział. - To naprawdę prezydent. - Nawiasem mówiąc - dodał Chang - nie było żadnej ciężkiej wody. Miedziana bransoleta oznaczała tylko organizację.

- Tak - powiedział Middleton. - Też się tego domyśliłem.

Zobaczył Czerniajewa podchodzącego w towarzystwie dwóch ochroniarzy. Wyglądało na to, że jednak wszystko skończyło się zwycięstwem.

- Włamałem się do Bicchu, tej wyszukiwarki - ciągnął

Chang. - Nie zgadniesz, kto jest jej właścicielem... Ej!

Middleton się odwrócił. Zobaczył Wiki Changa leżącego na ziemi i rozcierającego szczękę.

Czerniajew odebrał mu plecak z zagłuszaczem. Podeszedł do Archera, naciskając przełączniki na słuchawce.

- Właścicielem jest jedna z moich korporacji - powiedział Czerniajew. Rzucił zagłuszacz pod stopy Archera i wziął od niego zapalnik. Kilkunastu uzbrojonych ludzi BlueWatch wkroczyło na teren amfiteatru, a Czerniajew spojrzał na młodego człowieka. - Teraz powinno działać. Najwyższy czas... I proszę, pułkowniku Middleton, ręce na widoku. Prezydenta prowadzono do helikoptera. Miał przed sobą bieg na dystansie stu pięćdziesięciu metrów. Marines byli już przy strefie lądowania, tworząc żywy mur stuprocentowo amerykańskiej siły, który miał utrzymać tłum z dala od położonego wyżej lądowiska. Śmigłowce szturmowe także się zbliżyły, basowym dudnieniem ostrzegając ludzi w dole: tędy nie przejdziecie. Reporterzy wycelowali obiektywy w strefę lądowania, czekając na cenne ujęcie prezydenta w masce przeciwwgazowej do czołówek serwisów informacyjnych. Middletonowi zawirował świat.

Czerniajew.

On stał za tym wszystkim. Zbudował zaporę, żeby zwabić wysokiego urzędnika amerykańskiego. To on...

Skłamał w sprawie komunikatu z departamentu stanu - i oczywiście nie wysłał żadnego e - maila do Charley.

Wzmianka o Tampa w komputerze Balana nie dotyczyła firmy Devrasa Sikariego, ale Czerniajewa. Sikari prawdopodobnie niepokoił się, co to oznacza i chciał wysłać Balana lub kogoś

innego, żeby to sprawdził.

Czemajew był też odpowiedzialny za śmierć jego współpracownika i przyjaciela Lespasse'a.

- Na początku zamierzałem zmusić Pakistan do większej uległości, żeby chętniej przyjął to, co mu proponowałem - powiedział Czemiajew, przenosząc wzrok z Middletona na ekipę prezydencką, która w gęstym dymie gazu łzawiącego zmierzała do helikoptera. - Niestety brakuje mi cierpliwości.

- Wiedzieliśmy, że zjawią się tu niektórzy z twoich Ochotników - dodał Archer. - Prawdę mówiąc zawsze chcieliśmy cię tu mieć, Harold, żywego albo martwego.

- Tak? - Middleton poczuł, że Connie przysunęła się bliżej niego. Trzymał wyciągnięte ręce przed oczami Czemiajewa, który trzymał ich na muszce pistoletu z tłumikiem, ukrytego pod marynarką.

- Nie było wątpliwości, że zgłosisz się do mnie - ciągnął Czemiajew. Pokazał Archerowi, że prezydent dociera już do strefy rażenia. Gaz łzawiący rozpraszał się, odpływając na południe, w ślad za ewakuującym się tłumem.

- Nawet martwy, czyli już niebawem, będziesz pożyteczny. Dzisiejsze wydarzenia nie tylko zmienią kształt tej części świata, ale będą ostatnim gwoździem do trumny twojej grupki. To będzie koniec Pakistanu, jaki zna świat. I koniec Afganistanu, Kaszmiru, części Indii. Mapy narysowane

przez dawne potęgi kolonialne zostaną opracowane na nowo.

To jest początek końca - także twoich Ochotników, dzięki którym będziemy mieli czas na przygotowania.

- MTK i ONZ nie będą na to beczynnie patrzeć.

- Nie sądzę - odrzekł Czemiajew z uśmiechem. -

Zabijemy Ochotników, a na ich miejsce przyjdą nowi - lepiej zorganizowani, z większymi środkami do dyspozycji. To jasne. Ale jeżeli was w to wmieszamy, twoja organizacja umrze razem z tobą.

Middleton spojrzał na prezydenta, który był sto metrów od

Marine One i za chwilę miał się pojawić w miejscu

widocznym dla dziennikarzy, jedynej grupy, która

przypuszczalnie cieszyła się z tego, co się wokół nich działo.

- Moi ludzie - powiedział Archer. - Cała pięćdziesiątka

celuje teraz aparatami w twojego prezydenta. Za obiektywami są miedziane dyski.

Wkłęśłe dyski, grubości około dwóch centymetrów.

Ładunki kumulacyjne, przeznaczone do przebijania pojazdów

opancerzonych, jak w Iraku i Afganistanie. Middleton

wiedział o nich wszystko, widział, czego potrafią dokonać.

Efekt będzie taki jak po wystrzeleniu pięćdziesięciu

przeciwpancernych pocisków podkalibrowych; nic nie

zostanie. Nic. Ładunki kumulacyjne zabijają energią

kinetyczną, niewiarygodną siłą zamieniającą się w ciepło,

przepalając i przebijając się przez wszystko. Gra skończona.

Czerniajew uniósł mankiet, ukazując miedzianą bransoletę nad zegarkiem, nieco inną niż ta, którą Middleton widział na przegubie Balana.

- Widzisz tę bransoletę? To tylko ścinki po produkcji pocisków. Misterne upominki, noszone z dumą przez wszystkich uczestników.

- Czerniajew, zastanów się - powiedział Middleton. -
Rozpęta się wojna...

Czerniajew stanowczo pokręcił głową. Położył kciuk na przycisku zapalnika.

- Ten region potrzebuje dużych sił pokojowych - mam ofertę od ONZ - etu dla stu tysięcy pracowników BlueWatch, żeby wspomogli miejscowe służby bezpieczeństwa. Kto miałby to robić? Stany Zjednoczone? Wątpię.

Sto tysięcy - to wielka armia w skali każdego kraju.

Middleton nie potrafił sobie wyobrazić, żeby Rosjanin mógł wystawić tylu ludzi. Ale miał pieniądze.

Nagle zrozumiał.

- Chiny - powiedział Middleton. - Tak naprawdę chodzi o Chiny, tak? - Zapominając na chwilę o grze na zwłokę, szczerze się zainteresował. Za wykształceniem tych trzech ludzi musiało stać tajne przywództwo Chin, Te - Wu. -
Chcecie umożliwić Chinom wkroczenie do Kaszmiru?

- Już kontrolują część regionu i nie ma wątpliwości, że potrzebują przestrzeni życiowej. I wody. Wielka panda kona z pragnienia.

Chiny robiły tutaj to samo co w Tybecie, próbując wybrać nowego dalajlamę: w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku wskazały dziecko, Gyaincaina Norbu, jako następne wcielenie panczenlamy, drugiego duchownego w hierarchii buddyzmu tybetańskiego po dalajlamie. Dziś, jako młody człowiek, ma pomóc we wskazaniu reinkarnacji dalajlamy, a biorąc pod uwagę, że wychowano go w posłuszeństwie wobec

Komunistycznej

Partii

Chin,

doprowadzi to niewątpliwie do stworzenia propekińskiej władzy w Tybecie. Coś w rodzaju ubezpieczenia.

Devras Sikari, ojciec Archera, był elementem tej polisy, zapewniającym im zdobycie Kaszmiru i może czegoś więcej po zdarzeniu, które tu zaplanowano.

- A ci ludzie, zamachowcy? Umer? Sanam? - zapytał Middleton.

- Wszyscy są pożyteczni, tak jak ty.

Wokół nich kręcili się ludzie Czerniajewa z BlueWatch.

Middleton nie miał szans, by powstrzymać go przed włączeniem zapalnika - zdołałby zrobić zaledwie dwa kroki, a do pilota miał co najmniej kilkanaście.

Ranny Archer jęknął z bólu i chwiejąc się, wychrypiał:

- Mój ojciec chciał, żebyś zakończył swoje śledztwo. I miał rację. Nikt nie może nam stać na drodze do celu, teraz i w przyszłości. Nie obchodziło nas, czy będziesz żywy czy martwy, pod warunkiem że zjawisz się tu na crescendo.

- Na co?

- Śmierć prezydenta, który wchodzi już w strefę rażenia.

Spojrzeni w tamtą stronę - Marine One lądował, prezydenta w ochronnym pierścieniu agentów Secret Service dzieliło od helikoptera sześćdziesiąt sekund.

- Dlaczego osiągając swój cel, nie mielibyśmy skompromitować Ochotników?

Middleton zrozumiał - to on miał ponieść winę.

- W tym momencie FBI przeszukuje twój dom w Fairfax - powiedział Czerniajew. - Znajdą wszystkie rodzaje materiałów do produkcji ładunków wybuchowych. I tokarkę, na której zrobiono wklęsłe miedziane dyski. A to produkt uboczny.

Miedziana bransoleta na rękę Czerniajewa błysnęła w słońcu.

- Po co ten skomplikowany grawerunek? Podstęp, żeby nas tu zwabić? Żebyśmy uwierzyli, że ta zaporę jest czymś

innym niż w rzeczywistości?

- To raczej moje hobby - odrzekł Czerniajew. Podeszedł do Middletona i podał mu małą matrioszkę, która mieściła się w jego dłoni. Najmniejszą laleczkę.

Była pomalowana w biało - szare barwy gładkim w dotyku lakierem.

Marine One wylądował i masywne łopaty sea kinga wzbity w górę kolejny obłok gazu łzawiącego, który zalegał jeszcze w okolicy. Ludzie prezydenta dotarli na skraj strefy lądowania, błysnęły setki fleszy, oświetlając chmurę dymu.

Dziennikarze wykrzykiwali pytania, ale ochronny kordon sunął dalej.

Twarz lalki była pusta.

- To może być ktokolwiek, kogo sobie tylko wyobrazisz - powiedział Czerniajew, prostując się i kładąc palec na guziku.

- Tu są namalowane twoje największe lęki.

Middleton słyszał o tym rodzaju lalek, widział nawet ich zdjęcia w aktach MTK ze śledztw w sprawach wojny rosyjsko

- afgańskiej. Pojawiały się w kilku miejscach przestępstw wojennych. Oddział egzekucyjny OSNAZ - u podlegającego KGB dawał je ważnym skazańcom jako zapowiedź śmierci.

Miejscowi, a nawet żołnierze armii radzieckiej, zaczęli rozpowszechniać plotki, że to grupa mitycznych snajperów,

„Białych

Pończoch".

Nieuchwytnych.

Pozbawionych

skrupułów. Mogły udusić człowieka we śnie, zastrzelić z odległości dwóch kilometrów, wymordować całą rodzinę ładunkami wybuchowymi, przy których dzisiejsze w Iraku wyglądają jak z epoki kamienia. W aktach MTK figurowało inne określenie tego mordercy - ponieważ śledczy byli przekonani, że to dzieło jednego człowieka przydzielonego do Grupy A OSNAZ - u. Nazwali go „Lalkarzem”.

Pseudonim nadano mi wbrew mojej woli, ale to zupełnie inna historia. Jest wiele innych historii i przyjdzie na nie czas później...

- Wiem, kim jesteś - powiedział Middleton.

- Szkoda. Moglibyśmy o tym dłużej porozmawiać. Nie mamy czasu.

Kątem oka Middleton dostrzegł jakąś postać biegnącą przez tłum w ich stronę. Ktokolwiek to był i w jakiejkolwiek sprawie, było za późno. Ręka Czerniajewa uniosła pilot zapalnika.

- Arkady, dlaczego chcesz to zrobić w ten sposób? -

spytał Middleton, zrezygnowany w obliczu tego, co nieuniknione. Bez względu na imię, pod jakim znano tego człowieka - Lalkarz, Skorpion - jedno się nie zmieniało:

traktował śmierć jak sztukę i właśnie przystępował do stworzenia arcydzieła.

- Przykro mi, Harold. To skomplikowane.

ROZDZIAŁ 17

JEFFERY DEAVER

Prezydent był trzydzieści metrów od lądowiska, w strumieniu powietrza wirował kurz, liście i gałęzie. Łopaty wirnika rozpraszały też gaz łzawiący.

Głównodowodzący pędził jak napastnik otoczony falangą zawodników swojej drużyny, zmierzając do linii punktowej: bezpiecznego wnętrza śmigłowca.

Fałszywi reporterzy przysunęli się bliżej, unosząc broń.

Czerniajew czekał w pogotowiu. Za trzydzieści sekund miał uruchomić zapalnik.

- Przygotuj się - wykrztusił Archer. Miał kredowobiałą twarz. Umierał, ale chciał to zobaczyć do samego końca.

Middleton zrobił krok w kierunku Rosjanina, lecz dwaj strażnicy z Blue Watch wymierzili w niego lufy

skomplikowanych

czarnych

pistoletów

maszynowych.

Zatrzymał się.

- Dwadzieścia sekund.

W oddali - w scenie z helikopterem, prezydentem, tłumami i gromadą reporterów, prawdziwych i fałszywych - panował zupełny chaos. Ale tu, przy trybunie, było prawie pusto. Dramat rozgrywał się bez świadków.

- Nie rób tego, Arkady! - krzyknął do Czerniajewa

Middleton. - Masz tysiąc powodów, żeby tego nie robić.

Rosjanin zignorował go i zerknął na Archera.

- Dziesięć sekund - wyrzeźbił ranny.

- Może nie tysiąc, ale parę dobrych by się znalazło -

odezwał się inny głos. Z krzaków wyłonił się spocony i

brudny, ale świetnie ubrany mężczyzna. Mówił z brytyjskim

akcentem. To on przed chwilą brnął przez tłum. - Mam na

myśli powody, dla których lepiej nie wciskać tego guzika.

Czerniajew cofnął się, ludzie z BlueWatch wycelowali

broń w Brytyjczyka.

- Och, spokojnie, nie tak szybko - rzekł nieznajomy.

Spojrzał na Czerniajewa. - Ian Barrett - Bone - rzekł, jak

gdyby przedstawiał się na koktajlu.

- Kim jesteś, do diabła? - zapytał Rosjanin. Mężczyzna

zbył pytanie.

- Po pierwsze, mój zespół rejestruje wszystko od pół

godziny. Twoje zdjęcia są na twardych dyskach w kilku

bardzo bezpiecznych miejscach. Jeżeli naciśniesz guzik,

będziesz miał na karku najlepsze agencje bezpieczeństwa na

świecie. I znajduję cię. Jeżeli oczywiście uda ci się uciec. Co jest mało prawdopodobne. Bo w tym momencie trzech moich snajperów ma cię na celownikach.

Rosjanin rozejrzał się niespokojnie.

- Nie zobaczysz ich. Są znacznie lepsi niż... - Urwał, spoglądając z pogardą na stojącego nieopodal śniadego ochroniarza z Blue Watch. - Aha, a drugi powód, dla którego lepiej nie wciskać guzika i nie zabijać prezydenta, jest taki, że to byłaby strata czasu. Ponieważ to nie jest prezydent.

- Szto? - wykrztusił Czerniajew.

- Och, na litość boską, Arkady, zastanów się. Po amerykańskiej polityce zagranicznej można się spodziewać kosmicznych gaf, ale administracja nie jest na tyle głupia, żeby wysłać swojego szefa do tak znanego rejonu zagrożenia. Prawdziwy prezydent jest w Waszyngtonie. I nawiasem mówiąc, monitoruje wszystko, co się tu dzieje.

- Sobowtór? - szepnęła Connie Carson.

- Właśnie. Nie byliśmy pewni, co właściwie miało się tu wydarzyć, ale wiedziałem, że stoi za tym Skorpion i jakiś wspólnik z Chin. Rozwiązaliśmy szaradę, żeby wykurzyć lisy z nory.

Archer z niepokojem wpatrywał się w lądowisko.

- Coś jest nie tak - wyrzucił z siebie z wściekłością. -

Marines i Secret Service... nie odlatują. Dobierają się do ludzi

Sanama.

Middleton zadał jedyne logiczne pytanie:

- Kto to jest „my”?

- MI5, wydział operacji zagranicznych - odrzekł Barrett -

Bone. - Współpracujemy z CIA oraz amerykańską i brytyjską

armią. - Powiedział coś do kołnierza i z krzaków wyszło

dwudziestu kilku ludzi w ciężkim rynsztunku bojowym,

celując z broni w Czemiajewa i stojących obok strażników z

BlueWatch.

Middleton rozpoznał mundury i odznaki z uskrzydłonym

sztyletem - słynnej brytyjskiej Special Air Service, jednostki

specjalnej takiej jak amerykańska Delta Force czy SEAL

marynarki wojennej. O wadze zadania świadczył fakt, że

dwóch żołnierzy było uzbrojonych w karabiny maszynowe FN

Minimi, a reszta na karabinach szturmowych SA80 miała

zamontowane podwieszane granatniki.

Przygotowani - a raczej niecierpliwie czekający - by

solidnie przetrzepać skórę wrogowi.

- Teren otacza dwustu ludzi i szczerze mówiąc, wątpię,

czy płacisz swoim chłopcom z BlueWatch tyle, żeby chcieli

się zmierzyć z naszym SAS - em, mam rację? - Barrett - Bone

zmarszczył brwi. - Tak między nami, mam obowiązek

poinformować cię, że jesteśmy tu za wiedzą i z upoważnienia

generała Północnego Dowództwa Armii Indyjskiej w

Udhampurze, a także Indyjskiego Wydziału Specjalnego...

Tak brzmi to w dyplomatycznej formie, a innymi słowy, jeżeli twoi ludzie wystrzelą choćby jeden pocisk, wszyscy znikniecie w dość nieprzyjemny sposób.

Czerniajew się zawahał. Rozejrzał się z twarzą poczerwieniałą ze złości. Potem pochylił się, położył zdalny zapalnik na ziemi i cofnął się o krok.

W ciągu dwóch sekund żołnierze SAS zakuli go w kajdanki oraz pozbawili broni, telefonu i przedmiotów osobistych. W niewiele dłuższym czasie Wiki Chang dezaktywował zapalnik.

Następnie żołnierze brytyjscy rozbroili i skuli członków Blue Watch.

Niezbyt delikatnie, jak z przyjemnością odnotował Middleton.

Barrett - Bone znów zaczął mówić do kołnierza.

- Kapitanie, przejęliśmy zapalnik. Wkraczamy i aresztujemy mudzahedinów. Nie mogą zdetonować ładunków termobarycznych, ale niektórzy mogą mieć broń i na pewno są wściekli. - Westchnął. - Fundamentalisci są tacy nudni.

Zjawił się sanitariusz z oddziału Barrett - Bone'a i

Middleton natychmiast wskazał mu Archera.

- Chcę, żeby żył - powiedział. - Proszę zrobić wszystko, żeby go uratować.

- Tak jest.

Ale zanim sanitariusz zdążył do niego podejść, Archer gwałtownym ruchem usiadł, spojrzał szklanym wzrokiem na Middletona i upadł na wznak. Wstrząsnął nim jeden krótki dreszcz, a potem znieruchomiał.

Sanitariusz podbiegł i pochylił się nad nim. Dotknął jego szyi, po czym uniósł głowę, krzywiąc się.

- Stracił za dużo krwi. Niestety, nie żyje.

Ochotnicy siedzieli w domu na kółkach niedaleko zapory.

Charley była w osobnej przyczepie; ojciec chciał zminimalizować skutki koszmaru, jaki przeszła. Wszyscy ocierali oczy z resztek gazu łzawiącego.

Middleton rozmawiał telefonicznie z Waszyngtonem, Hagę, Nowym Delhi i Londynem. Potwierdziło się wszystko, co powiedział Barrett - Bone. O dublerze prezydenta, o monitoringu prowadzonym przez MI5, MI6, Langley i Indyjski Wydział Specjalny.

Czerniajewa umieszczono w zaimprovizowanym areszcie

- kolejnej przyczepie pilnowanej przez żołnierzy Dowództwa Północnego. A Barrett - Bone właśnie ich poinformował, że tajny zespół operacyjny ukończył pracę nad wydaniem generała Zanga na specjalnych warunkach. Pekin, który był lub nie był sprzymierzony z generałem i Czerniajewem, natychmiast odciął się od niego i wysłał na granicę z

Kaszmirem dodatkowy kontyngent swoich żołnierzy.

Mimo ocalenia, Tesla była zła na Barrett - Bone'a.

- Podrzuciłeś nam lokalizator, zgadza się? W Paryżu.

- Oczywiście. Ściślej mówiąc, tobie. Nie byłem pewien, czy pani Middleton też się z tobą zabierze - dokądkolwiek zamierzałaś się wybrać.

- Ale próbowałeś nas zabić!

- Przypomnij sobie, złotko.

- Ostrzegałam już, żebyś nie mówił do mnie „złotko”.

- Przepraszam. Ale na pewno nie zamierzałem was zabić.

Pilnowałem was. Gdyby was złapano albo zabito, znaleźlibyśmy się w niezręcznej sytuacji.

- Niezręcznej - mruknęła.

- I naprawdę musiałem się skontaktować z Haroldem.

Próbowaliśmy wszystkiego, ale zaginął.

- Mogłeś nam powiedzieć, kim jesteś.

- Jak mogłem to zrobić? Gdyby was złapali, nie wiedziałbym, ile im zdradzisz. Wiem, że Ochotnicy nie przepadają za intensywnym przesłuchiwaniami, ale wielu ludzi z upodobaniem je stosuje.

Słyszając to, Nora Tesla z niewiadomego powodu zarumieniła się lekko i zamilkła, unikając wzroku Middletona.

- Musiałeś też wykorzystać nas jako źródła informacji - kąśliwie dorzucił Middleton.

Znaczący uśmiech.

- Naturalnie, pułkowniku. Na tym przecież polegają zasady gry. A tu idzie o wysoką stawkę. Od kilku lat pod przykryciem poszukiwałem Skorpiona. Udawałem człowieka zainteresowanego Sikarim, biznesmena, wpływową figurę.

Ale źródła wyschły... Zabawne, zważywszy na całe to zamieszanie z wodą. Doszły nas plotki o tym dziennikarzu dziwaku, Crane, który podobno miał jakiś trop. Włączyliśmy go do gry i wyciągnęliśmy na przedmieścia Paryża.

Próbowaliśmy dać mu do zrozumienia, że jeden z nas jest Skorpionem - samochód prowadził szef naszej paryskiej placówki. Założył nawet miedzianą bransoletę, którą kupiłem w Selfridge's. Crane chyba tego nie łyknął. Ale za naszą namową pojechał do twojego domu, Middleton.

- Wykorzystałeś go jako przynętę - warknęła Tesla.

Agent brytyjski spojrzał na nią, jakby wykrzyknęła: Ojej, ziemia jest okrągła!

- Ale skutecznie, prawda? W ten sposób odnaleźliśmy Janę. Ale się nam wymknęła - zresztą dzięki Crane'owi.

Poleciał z nią gdzieś, zdaje się do Dubaju. Pewnie chciał spędzić noc w raju. Okazało się, że dosłownie, bo go zabiła.

- Właśnie dlatego Jana znalazła nas w Paryżu -

odburknęła Tesla. - Gdybyś się nie wtrącił, w ogóle by do tego nie doszło.

- Pamiętam, że już przeproszałem - zaperzył się układny

Brytyjczyk. - Przypomnij sobie, byłem tam i opiekowałem się wami.

- Ale chyba nie za dobrze, skoro mnie postrzeliła, a Charley o mało nie zginęła.

- Co się teraz stanie? - zapytał Wiki Chang.

- Przemycimy ich do Londynu - Czerniajewa i Zanga.

Zobaczymy, co uda się przygotować do procesu. Zang ostatecznie wróci do domu

- i najprawdopodobniej skończy z kulą w głowie.

Natomiast twój rosyjski przyjaciel... jeżeli chce go Trybunał Karny, to niestety będzie musiał poczekać w kolejce.

- Na razie obaj należą do ciebie - powiedział Middleton. - Mieliśmy nakaz tylko na Devrasa Sikariego. - Zamyślił się i po chwili parsknął śmiechem.

- Co? - spytała Connie.

- Skorpion - dobroczyńcą Sikariego. - Middleton pokręcił głową.

- Wiedzieliśmy o nim tylko, że jest „święty, ale z tego świata”. Myślę sobie, że to mógł być błąd. Może przetłumaczono na hindi frazę „wzięty z tego świata”.

- Nie sposób się z tym nie zgodzić - przytaknął brytyjski agent.

- To na pewno trafny opis Czerniajewa... To dopiero

chciwość. Sprzedawać cały kraj.

Middleton przechylił głowę.

- Powstaje tu pewne pytanie. Motywem Czerniajewa były pieniądze, Zang chciał zaanektować terytorium ze źródłem wody dla Chin. Ale motywem Sikariego była niepodległość Kaszmiru. Po co więc brał w tym udział? - Wskazał ręką w stronę zapory. - Wygląda na to, że był pionkiem w rękach Czerniajewa. Ale na pewno planował coś dla Wioski - pisał o tym w e - mailu do Kavięgo Balana.

Jest mnóstwo pytań bez odpowiedzi, pomyślał.

- Lepiej pójdę zająć się transportem - Barrett - Bone zerknął na wyjątkowo drogi zegarek. Zauważył wzrok Middletona i zaśmiał się. - Nie ukradłem go. Kupiłem za własne pieniądze. Może trudno w to uwierzyć, ale pracuję w państwowym urzędzie, bo lubię. Znudziłbym się, gdybym cały czas łożył na świat sztuki i muzyki. Poza tym jestem też trochę patriotą, jakkolwiek niemodnie to brzmi. Na razie. -

Wyszedł w upał i kurz.

Middleton wyciągnął nowy telefon i sprawdził sytuację.

Aresztowano pięćdziesięciu mudzahedinów i ich przywódców oraz ludzi z Blue Watch. Teren i ładunki wybuchowe zabezpieczono.

Wstał.

- Zajrzę do Charley. - Ciężła mu na duszy świadomość,

że została wciągnięta w tę okropną aferę - i to w chwili gdy

najbardziej potrzebowała spokoju, by wyleczyć rany.

- Pójdę z tobą - powiedziała Tesla.

Już stał w drzwiach, gdy zabręczał jego telefon.

- Tak?

- Pułkownik Middleton? - spytał głos z brytyjskim akcentem.

- Zgadza się.

- Mówi major Ethans, SAS.

- Słucham.

- Spotkałem się z nieco zagadkową sytuacją. Pomyślałem,

że najlepiej będzie powiadomić pana. Mamy ciało tego

Archera Sikariego. Ale najdziwniejsze jest to, że najwyraźniej

nie zmarł z upływu krwi. Pewnie w końcu by umarł, ale został

zastrzelony. Strzałem w tył głowy.

- Co?

- Nie ma wątpliwości.

Middleton przypomniał sobie, jak Archer raptownie

usiadł, a potem padł na ziemię. Nie słyszał jednak żadnych

strzałów. Powiedział o tym oficerowi SAS, pytając:

- Może to pana ludzie?

- Nie. Żaden z naszych ani waszych nie ma tłumika.

- Może pan uzyskać dla mnie zgodę na rozmowę z

Czerniajewem?

- Zapytam pana Barrett - Bone'a, ale ze strony SAS nie ma przeciwwskazań.

Podziękował majorowi i rozłączył się. Przekazał pozostałym Ochotnikom, co się stało.

- Ale żaden z ludzi z BlueWatch nie mógł go zastrzelić - pracowali razem.

- Zostaje tu za dużo pytań - powiedział Middleton. - Muszę poznać jakieś odpowiedzi.

Wyszedł w oślepiające słońce, z Norą Teslą u boku.

Zbliżyli się do przyczepy, w której trzymano więźnia.

Middleton przedstawił się sześciu indyjskim wartownikom, którzy wylegitymowali ich, po czym przepuścili za tymczasowe ogrodzenie z drutu kolczastego, sprawdzwszy wcześniej, czy Barrett - Bone i SAS wydali zgodę na przesłuchanie.

Przyczepa była duża - amerykański podwójny model, z klimatyzacją. W przedsionku na metalowych krzeselkach siedziało dwóch strażników z pistoletami maszynowymi H&K w garści. Jeden ich wylegitymował i zadzwonił do przełożonego, prawdopodobnie Barrett - Bone'a. Middleton nie miał nic przeciwko temu: w przypadku tych więźniów nigdy nie za dużo środków bezpieczeństwa.

Strażnik odłożył słuchawkę i powiedział:

- Możecie wejść, ale za chwilę. Kiedy tylko pielęgniarka

skończy.

- Pielęgniarka?

- Z armii brytyjskiej.

Middleton podejrzliwie zmarszczył brwi.

- Czerniajew jest ranny?

- Nie, nie. Powiedziała, że chodzi o rutynowe badanie przed wpuszczeniem do Londynu. - Uśmiechnął się. - Może trzeba go zaszczepić przeciwko chorobie wściekłych krów.

- Przed wpuszczeniem do Londynu? Nie ma żadnej kwarantanny dla przyjeżdżających z Indii. Zresztą i tak nie polecą samolotem rejsowym. Kto to zatwierdził?

- Nasz dowódca.

- Szybko, do środka! Trzymajcie broń w pogotowiu.

- To tylko pielęgniarka.

- Jeżeli będę musiał, zadzwonię do Dowództwa

Północnego. Strażnicy spojrzeli po sobie. Wstali i przeładowali pistolety. Jeden osłaniał drzwi, a drugi przekręcił klucz i je otworzył. Zajrzał do środka i szok odmalował się na jego twarzy.

- Mamy problem. Nie, nie!

Drugi indyjski żołnierz wbiegł do pomieszczenia, a tuż za nim Middleton i Tesla.

Stanęli jak wryci na widok ciała Czerniajewa. Leżało pośrodku niewielkiego pokoju, którego okna osłonięto gęstą

stalową siatką. Strzelono mu w tył głowy, gdy rozpaczliwie próbował uciec.

- Pielęgniarka - szepnął strażnik, wskazując na drugie drzwi prowadzące do trzeciego pomieszczenia.

- Jest tam tylne wyjście?

- Nie, tylko jedno, od frontu.

Pielęgniarka znalazła, się w potrzasku. Przypilnują jej i sprowadzą taktyczny zespół marines. - Wezwę... - Nie, zatrzymamy ją.

- Zaraz! - szepnął Middleton. - Nie może...

Szarpnęli drzwi i zmrużyli oczy, gdy włączyło się jasne światło, jakiego używa się na budowach w nocy. Oślepieni zatoczyli się do tyłu i w tym momencie cztery pociski wystrzelone z broni z tłumikiem dosięgły celu - ich czoł.

Kobieta wypadła z pomieszczenia. Miała na sobie brytyjski mundur wojskowy, ale niedopasowany rozmiar i czerwona plamka na piersi powiedziały Middletonowi, że to zdobyczy strój. Nie rozpoznał jej.

Zawahała się, zaskoczona obecnością jeszcze dwóch osób w przyczepie. Zanim jednak zdążyła jeszcze raz unieść dwudziestkędwójkę, Middleton wyciągnął berettę od Czerniajewa. Kiedy przytknął jej lufę do głowy, po krótkiej chwili wahania rzuciła broń.

Tesla podeszła do niej, złapała kobietę i krzywiąc się z

bólu od rany w barku, rzuciła ją z impetem na podłogę.

Uderzyła ją z wściekłością w głowę i w twarz.

- Nora, przestań! - krzyknął Middleton, odciągając ją i skuwając ręce napastniczki kajdankami jednego z zastrzelonych strażników. - Nie musiałaś tego robić.

- Och, musiałam.

Middleton pytająco zmarszczył brwi.

- Nie wiesz, kto to jest, prawda? - spytała Tesla. - Nie.

- To Jana Grover.

- W Paryżu sprawdziłaś, co się stało z moim ciałem? -

prychnęła z pogardą Jana. - Dzwoniłaś do żandarmów, dzwoniłaś do Le Deuxieme Bureau? Nie, oczywiście, że nie.

W Sekwanie pływał mój płaszcz. Uznałaś, że nie żyję.

Przepraszam, że uciekłam i pozbawiłam cię okazji, żebyś mnie znowu mogła torturować.

Middleton zerknął na milczącą Teslę. Zrozumiał jej wcześniejszą reakcję na słowa Barrett - Bone'a. Nie chciał tego drażnić.

Siedzieli w przyczepie, która była celą Czerniajewa. I stała się jego trumną. Ciało zabrano. Przyczepę przeszukiwała ekipa kryminalistyczna.

Poza Connie Carson i Changiem był tu także Ian Barrett - Bone. Gryzł wargi z wściekłości na Hindusów za to, że wpuścili do przyczepy morderczynię. Oficer, którego Jana

przekupiła, żeby wydał zgodę na wejście do Czerniajewa,

siedział w areszcie, ale to było niewielkie pocieszenie.

- Dlaczego? - spytał brytyjski agent.

- Wszystkich współpracowników traktuje w ten sposób -

wyjaśniła z goryczą Tesla - jeżeli istnieje ryzyko, że będą

świadczyć przeciwko niej. Tak jak zabiła Kawięgo Balana na

południu Francji.

- Nie jestem taki pewien - powiedział Middleton, znów

myśląc o pytaniach bez odpowiedzi. - Chyba chodzi tu o coś

więcej.

- Jest pan tak przenikliwy, jak sądziłam, pułkowniku -

powiedziała piękna Pakistanka. - Bardzo żałuję, że Balanowi

nie udało się wtedy na plaży na Cap d'Antibes.

- Nie rozumiem - przyznał Barrett - Bone.

- Oczywiście, że nie. Od początku niczego nie

rozumiecie... Nie byłam po stronie Czerniajewa ani

Chińczyków. To moi wrogowie. Od wielu miesięcy

usiłowałam ich znaleźć i zabić.

- Co to, u licha, ma znaczyć?

Jak gdyby przemawiała do dzieci w szkole, Jana zaczęła

tłumaczyć:

- Jakiś czas temu Debras Sikari prowadził negocjacje z

mudzahedinami tu w Dżammu na temat podziału władzy,

gdyby udało mu się doprowadzić do odzyskania

niepodległości przez Kaszmir. Ale dowiedział się, że człowiek znany jako Skorpion i jego chiński wspólnik chcą zorganizować jakiś zamach terrorystyczny jako pretekst dla Chińczyków, żeby mogli zaatakować i zająć Kaszmir.

Zamierzali oskarżyć o to Devasa. Dowiedział się o ich planach i wymyślił własny, żeby ich zdemaskować. Udał, że werbuje mudzahedinów do pomocy w wysadzeniu zapory.

Owszem, polecił skraść materiały wybuchowe i przywiózł je tutaj, ale wiedział, że zapory nie da się zniszczyć. Pamiętajcie, że był inżynierem.

- Ale w e - mailu, który znaleźliśmy w komputerze

Balana, pisał, że zamierza zniszczyć Wioskę - zauważyła Tesla.

- Zaraz. Wcale nie - zaprzeczył Middleton. - Napisał tylko, że coś zaplanował.

- Bo zaplanował - ciągnęła Jana. - Chciał odkryć prawdę o spisku Skorpiona. Nie zamierzał niszczyć Wioski. Zamierzał ją ocalić - i zdemaskować przed światem Skorpiona i jego wspólnika, gdyby nam się nie udało im przeszkodzić.

Middleton musiał się roześmiać. Uświadomił sobie, że to on z Ochotnikami osiągnął cel Sikanego: ochronili Wioskę, demaskując plany Skorpiona i Zanga.

- Moje zadanie - kontynuowała Jana - polegało na tym, żeby znaleźć Skorpiona i wyeliminować zagrożenia. Po to

potrzebna mi była pańska córka... musiałam się przekonać, co pan wie. Kiedy Balanowi nie udało się pana zabić, dowiedziałam się, kim pan jest. Nie szpiegiem Skorpiona. Ani jednym z tych szaleńców z Grupy. Tylko szefem Ochotników.

- Jej twarz spochmurniała. - Już miałam was powstrzymać i odkryć, kim jest Skorpion... i wtedy doszło do tragedii. Archer zabił swojego ojca.

- Tragedii? - zdziwił się Barrett - Bone. - Przecież sama mu w tym pomogłaś!

- Oszalałaś? - wybuchnęła. - Devras był moim guru, kolegą mojego ojca. Był geniuszem. A Archer zwyczajnym głupim bandytą. - Kobieta wzdrygnęła się z obrzydzeniem. - Nie znał się na polityce, kulturze naszego regionu, nie rozumiał jego głębi. I jak większość głupców bez trudu dał się uwieść Skorpionowi. Nie zdawał sobie sprawy, że ostatnią rzeczą, jakiej chciał Devras, było jakieś krwawe zdarzenie w tym miejscu, zwłaszcza takie, w którym zginęliby cudzoziemcy. To by na zawsze zniszczyło jego nadzieje na wolny Kaszmir.

- A więc to ty zastrzeliłaś Archera - powiedział Middleton. Westchnęła.

- Żałuję tylko, że zanim nacisnęłam spust, nie mogłam podejść bliżej i powiedzieć mu, jak bardzo nim gardzę.

- A Crane? - wtrącił Barrett - Bone. - Ten dziennikarz? -

Uznałam, że może być cenny w odnalezieniu Skorpiona.

Doprowadził mnie do pańskiej córki i do niej. -

Pogardliwym ruchem głowy wskazała Teslę. - Ale poza tym niewiele mi pomógł.

- Chciałaś powstrzymać Czerniajewa i Zanga, tak? -
spytała Connie Carson.

- Tak, oczywiście, że tak.

- No więc zostali powstrzymani. Aresztowaliśmy ich.

Dlaczego zabiłaś Czerniajewa?

- Czemu sami tego nie zrobiliście? - odparowała Jana. -

Takiego potężnego człowieka? Ucieczka albo wykupienie się od więzienia byłoby tylko kwestią czasu.

- Jest jeszcze inny powód, prawda? - odezwała się Tesla.

Jana uśmiechnęła się lodowato.

- Tak. Czerniajew był odpowiedzialny za śmierć mojego

ojca. Zabili go razem z Zangiem, tak jak tego Hindusa,

którego też sponsorowali. Darowali życie tylko Devrasowi,

żeby go wykorzystać w swoim spisku. Wiele lat temu

postanowiłam, że kimkolwiek jest Skorpion i co jeszcze ma na

sumieniu, umrze. Mój ojciec został otruty wodą ze studni.

Umierał w cierpieniach.

- Czyli wykorzystanie mudzahedinów przez Czerniajewa

to był plan awaryjny? - spytał Middleton. - Początkowo

zamierzali z Zangiem utrzymywać, że na zaporze działa

miedziana bransoleta - co miało być pretekstem dla Chin, żeby zająć Kaszmir.

- Tak jest. Broń masowej zagłady. Zanimby się okazało, że jej nie ma, mieliby kraj w garści. Przykro nam, nie znaleźliśmy żadnej broni, ale zostajemy. - Posłała

Amerykanom ponury uśmiech. - Całkiem niedawno udała się wam podobna sztuczka.

- A technologia miedzianej bransolety? - zapytał zaintrygowany Wiki Chang.

- To była obsesja Devrasa. Ten projekt pochłaniał go na studiach i później. Ale nigdy nie udoskonalił go w praktyce. Nie potrafił odtworzyć tego, co zrobili naziści. Opatentował część technologii, ale nie działała tak, jak sobie wymarzył.

Mimo to zawsze był bardzo przywiązany do tego projektu.

Każdą bliską osobę obdarowywał największym symbolem przywiązania i wdzięczności - prawdziwą miedzianą bransoletą.

Middleton wyjrzał na zewnątrz i zobaczył przechodzącą obok przyczepy grupkę indyjskich żołnierzy. Coraz lepsza ochrona, pomyślał, chociaż nie było już najważniejszego więźnia. Będą się musieli zadowolić pilnowaniem zwykłej morderczyni.

Nagle tknęło go podejrzenie. Coś tu było nie tak.

Tylko co?

Spojrzał na leżący niedaleko telefon Archera w torebce na dowody rzeczowe. Przypomnił sobie ostatnią wiadomość: „Zadanie wykonane”.

Uświadomił sobie coś jeszcze. Jana w ogóle się nie przejmowała tym, że została złapana. Mówiła zupełnie swobodnie. W ciągu ostatnich dziesięciu minut przyznała się do kilku morderstw.

Do diabła, takie informacje mogłaby ujawnić tylko wtedy, gdy...

Jej piękna ciemna twarz odwróciła się do niego z uśmiechem.

Middleton zrozumiał znaczenie SMS - a. Archer opracował dla siebie plan ewakuacji po zamachu na zaporze.

Jeden z jego współpracowników wysłał wiadomość, że wszystko przygotowane. Jana na pewno się z nimi skontaktowała, informując, że Archer nie żyje, ale ona przejmuje dowództwo i muszą ją ewakuować spod zapory.

- Wszyscy na podłogę! - krzyknął Middleton. - Na...

Na zewnątrz rozpętała się strzelanina. Ładunek przyklejony do cieniutkiej ściany eksplodował z przeraźliwym hukiem, wyrywając w niej wielką dziurę, przez którą wpadły do środka pojemniki z gazem łzawiącym, wypełniając pomieszczenie gryzącym dymem.

Middleton, choć został niemal oślepiony, a płuca paliły go

żywym ogniem, rzucił się na Janę. Miała skute ręce, ale nogi wolne i mimo że gaz poraził ją tak samo jak pozostałych, zdążyła zobaczyć, gdzie jest rozdarcie w ścianie, zanim chmura dymu wypełniła przyczepę. Chwiejnie podeszła do dziury i wyskoczyła - prosto w ramiona czekających ratowników.

Grupa rebeliantów wiernych Archerowi, nie wiedząc o zdradzie Jany, wycofywała się, osłaniając ogniem.

Middleton i Barrett - Bone z trudem wydostali się na zewnątrz i zaczęli się czołgać, od zasłony do zasłony. Tu i ówdzie unosiły się kolejne obłoki gazu łzawiącego i żaden żołnierz SAS ani indyjskiego wojska nie wiedział, co się dzieje.

Wreszcie Middleton zauważył kilkunastoosobową grupę znikającą na polanie, gdzie czekał helikopter. Nie widział Jany, ale wiedział, że to oddział szturmowy; gdy jeden z ludzi przeszedł przez słoneczną plamę, Middleton zobaczył błysk na jego przegubie.

Wiedział, że to miedziana bransoleta.

Na to, co się miało wydarzyć, trzeba było długo, długo czekać.

Taka myśl przemknęła przez głowę szczupłej kobiety idącej zatłoczoną ulicą w zachmurzonym Londynie. Jesienny wiatr rozwiewał wokół niej piasek, papiery i zeschnięte liście.

Przystanąła na rogu ulicy, otulając się szczelnie płaszczem. Rozejrzała się i zobaczyła miejsce, którego szukała: meczet w Tufnell Park.

Ktoś potrącił jej teczkę, ale Jana Grover pewnie ścisnęła ją w rękę. Żaden z wrogów nie wiedział, że tu jest - była tylko zagadaną nastolatką z komórką - ale gdyby jakiś bandyta próbował jej wyrwać aktówkę, zabiłaby go bez namysłu.

Tak, teczka była bardzo ważna.

Jej zawartość stanowiła główny punkt planu Devrasa Sikariego.

Spojrząwszy na jezdnię, dostrzegła biały wyblakły napis „Patrz w prawo”. Ostrzeżenie dla pieszych, że samochód może nadjechać z zupełnie niespodziewanej strony.

Bardzo ją to rozbawiło. Zmieniło się światło i Jana ruszyła na drugą stronę ulicy w stronę meczetu.

Próbowała sobie wyobrazić skutki tego, co się stanie.

Niebotyczne.

Wymijała

pieszych

ciągnących

strumieniem

z

naprzeciwka. W tłumie byli Anglicy: dziewczyny i chłopcy w szkolnych mundurkach i bluzach z kapturem, dostawcy,

sztywno ubrani biznesmeni, postawne kobiety pchające sfatygowane wózki. Ale przeważali Arabowie, Irańczycy, Pakistańczycy... dostrzegła też kilku Sikhów i Hindusów.

Londyn, cóż za etniczny tygiel.

Jana miała na sobie zachodni strój z wyjątkiem spodni. I oczywiście chusty na głowie. Musiała się wtopić w tłum.

Znów pomyślała: Jak długo trzeba było czekać.

Ściskając drogocenną teczkę, dotarła do meczetu i okrążyła nijaki budynek, jako jeden z nielicznych w okolicy pozbawiony graffiti. Jeden z największych w Londynie.

Codziennie modliło się tu prawie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi; także kobiet, choć upokarzająco oddzielonych parawanami z brudnych zasłon.

Jana

szukała

oznak

zaostrzonej

ochrony.

Nic

nadzwyczajnego. Nie musiała się obawiać.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Przystanęła przed wejściem. Wzdrygnęła się, czując chłodny podmuch wiatru.

Potem zawróciła, weszła do Cafe Nero po drugiej stronie

ulicy i zamówiła latte.

W tej dzielnicy nawet w kawiarniach sieciowych takich jak Starbucks widok samotnej kobiety, bez męża, brata lub gromadki koleżanek, należał do rzadkości. Tradycyjne wartości panowały tu niewzruszenie. To dwie ulice stąd Pakistańczyk dokonał honorowego zabójstwa siostry, która uciekła z domu z kochankiem.

Gdy Jana wzięła kawę i usiadła, zrzucając z ramion płaszcz, do kawiarni wszedł brodaty mężczyzna w turbanie i posłał jej pogardliwe spojrzenie, mimo że była ubrana klasycznie i miała chustę.

Postanowiła, że jeżeli mężczyzna pozwoli sobie na jakąś uwagę pod jej adresem, gorzko tego pożałuje.

Wziął herbatę, mruczając coś pod nosem. Na pewno o niewiernych, kobietach i szacunku.

Znów zerknęła na meczet.

I poczuła radość na myśl, że misja została już prawie wypełniona. . Misja, która była planem życia Devrasa Sikanego.

Devas

należał

do

najgenialniejszych

rewolucjonistów swojej epoki Czemiajew, Zang, Archer i

mudżahedini wierzyli, że osiągną cel za pomocą pocisków i ładunków wybuchowych, natomiast Devras wiedział, że to dowód naiwności i krótkowzroczności.

Dziecinne przekonanie.

Wystarczy spojrzeć na Palestynę i Izrael, Sri Lanke i Tamilskie Tygrysy, Anglię i IRA. Wystarczy spojrzeć na Afrykę.

Oczywiście nie ma nic złego w przemocy, jeżeli używa się jej jak chirurgicznego narzędzia; eliminacja zagrożeń była konieczna. Ale stosować przemoc jako środek do osiągnięcia celów politycznych? To nieskuteczne.

Devras zrozumiał, że osiągnięcie celu, jakim była dla niego niepodległość ukochanego Kaszmiru, wymaga innej, znacznie potężniejszej broni niż ładunki termobaryczne, snajperzy i zamachowcy samobójcy.

Co to za broń? Potrzeba, pragnienie, żądza.

Na Cambridge i potem, Devrasowi Sikariemu - wraz z jej ojcem i ich indyjskim kolegą - naprawdę udało się odtworzyć technologię miedzianej bransolety, którą udoskonalili Niemcy podczas drugiej wojny światowej. Okłamała Middletona i

resztę.

Ściślej rzecz biorąc, trzech koledzy wyszli znacznie dalej poza pierwotny projekt, opracowując zaskakująco prosty i wydajny system wytwarzania ciężkiej wody.

Zdając sobie jednak sprawę z jego potencjału i możliwego sposobu wykorzystania, Devras upierał się, by opatentować tylko część technologii, wyłączając kluczowe elementy teoretyczne, bez których nie sposób było uruchomić systemu.

W teczce Jana miała zaszyfrowane schematy, wzory i dane techniczne głównych elementów, które pominięto we wniosku patentowym.

Plan Devrasa przedstawiał się tak: zamierzał sprzedać technologię miedzianej bransolety głównym krajom OPEC w zamian za ich zobowiązanie, że nakłonią Indie, Chiny i Pakistan do wyrażenia zgody na niepodległość Kaszmiru.

Jeżeli trzy okupujące kraje tego nie zrobią, producenci ropy zaczną przykręcać im kurki, w wyniku czego fabryki, infrastruktura i nade wszystko tanie samochody na subkontynencie zaczną konać z pragnienia.

Kraje Bliskiego Wschodu łaknęły technologii jądrowej; Chiny i subkontynent indyjski łaknęły ropy.

Następne kilka godzin miała spędzić na spotkaniach z reprezentantami tych państw, ludźmi, którzy w tym momencie modlili się w meczecie. Ich dusze pragnęły religijnej ekstazy;

ich serca pragnęły materiałów rozszczepialnych.

Allah prawdopodobnie zaspokajał pierwszą z potrzeb,

Jana miała zaspokoić drugą.

Postawiła teczkę na stoliku przed sobą. Wewnątrz tkwiło sześć ośmiogigabajtowych pendrive'ów z zaszyfrowaną technologią. Wiedziała, że jej rozmówcy będą zachwyceni zawartością teczek. Atrakcyjność systemu polegała zwłaszcza na wydajności i niewielkich rozmiarach, dzięki czemu urządzenia mogły pozostać niemal niezauważalne i niewykrywalne przez najbystrzejsze oko z nieba.

Zerknęła na zegarek. Pierwszy reprezentant - z Syrii - miał się zjawić za trzy minuty.

Cóż za radosna chwila!

Gdyby tylko Devras Sikari mógł to z nią przeżyć...

Popijając latte, jeszcze raz spojrzała na siedzącego nieopodal człowieka w turbanie. Wciąż coś mamrotał z ponurą miną.

Brzęknął dzwonek nad drzwiami i do kawiarni wszedł

Arab w zachodnim stroju. Rozpoznała w nim syryjskiego zastępcę attache do spraw rozwoju gospodarki i infrastruktury.

Czytaj: szpiega.

Zwróciła uwagę na kokieteryjnie rozpięte dwa guziki u

koszuli, gołą głowę, narcystycznie przystrzyżoną brodę. Co za hipokryzja, pomyślała. W swoim kraju nie wolno mu tknąć

żadnego alkoholu, żadnej wieprzowiny, żadnych używek,
żadnych kobiet poza żoną lub żonami. Tu, w Londynie, wolno
mu wszystko.

Mimo to uśmiechnęła się do niego: Jana Grover była
równie kompetentną bizneswoman, jak morderczynią.

Arab spojrział na nią, odwzajemniając się przymilnym,
zalotnym uśmiechem. Ruszył w jej stronę.

Nareszcie, Devras. Kaszmir będzie wolny...

Nagle mężczyzna znieruchomiał, patrząc przez okno.

Przed kawiarnią zatrzymały się z piskiem opon radiowozy
policyjne, z których wyskoczyli funkcjonariusze.

Nie! O co chodzi?

Chciał się rzucić do ucieczki, ale w drzwiach zatrzymał go
elegancki mężczyzna w garniturze. Pchnął Syryjczyka na
podłogę.

Jana zrozumiała, że ją namierzono, że odkryto cały plan!

Zerwała się od stolika, sięgając po dwudziestkędwójkę
high standard ukrytą pod bluzką.

Ale czyjaś silna ręka chwyciła ją za przegub i boleśnie
wykręciła do tyłu. Pistolet poleciał na podłogę.

Obejrzała się. Stał za nią ten Arab w turbanie,
przykładając jej lufę do szyi. Szarpnęła się z wściekłością.

- Niech cię cholera, złotko. Wydział Specjalny. Może
trochę spokojniej, co?

Mówił z akcentem Alego G.

- Należy do ciebie - powiedział Harold Middleton do Iana Barrett - Bone'a, który pobrudził sobie spodnie podczas zdejmowania Syryjczyka. Zirytowanym ruchem potarł jakąś plamę.

Stali na chodniku przed Cafe Nero. Janę Grover aresztowano i miała zostać odwieziona do New Scotland Yardu na przesłuchanie w wydziale antyterrorystycznym policji stołecznej, jednym z najlepszych na świecie.

Middleton był jedynym Ochotnikiem obecnym przy akcji, choć Wiki Chang siedział w laboratorium MI5 na Euston Road, przygotowując się do złamania szyfru pendrive'ów.

Z dokumentów znalezionych w teczce Jany wynikało, że przenośne pamięci zawierają szczegóły technologii miedzianej bransolety - tajne elementy, dzięki którym system mógł zacząć funkcjonować.

- Trafiłeś bez pudła, Harry. Muszę cię zapytać, jak na to wpadłeś? Middleton zastanowił się przez chwilę.

- Można powiedzieć, że pomyślałem o czymś, czego nie mieliśmy przed nosem.

- To znaczy?

- O pytaniach. Ciągle wracałem do pytań bez odpowiedzi.

Po pierwsze do kwestii e - maila.

- Którego?

- Od Sikariego do Balana. Znaleźliśmy e - mail w komputerze Balana, który Sikari i Jana bardzo chcieli zniszczyć. - Zacytował mu fragment. - Napisał: „Pamiętasz, co zaplanowałem dla »Wioski«. To się musi stać niedługo - zanim zajmujemy się resztą. Zostało nam najwyżej kilka tygodni”.

- Ach, zanim zajmujemy się resztą.

- Otóż to. Wynikało stąd, że planują coś po zamachu na zaporze.

- Ale jak to skojarzyłeś z Londynem?

- To druga rzecz, która nie dawała mi spokoju: na samym początku mieliśmy zamiar na ten meczet, ale nic z niego nie wyszło. Wiedzieliśmy, że to na pewno nie jest fałszywy trop, bo informacja była w komputerze, który wysadzili. Za pierwszym razem nie mogliśmy jednak ustalić, jaki może mieć związek ze sprawą. Wynikało stąd, że meczet ma coś wspólnego z tym, co Sikari zaplanował po zaporze.

- Dlaczego sądziłeś, że chodzi o system produkcji ciężkiej wody?

- Przyznaję, że to były domysły. Ale zacząłem tak przypuszczać dzięki uprzejmości gospodarza, który gościł mnie przed kilkoma dniami: pana Bezimiennego - z Grupy.

- Aha, od tych stukniętych nazistów?

- Zgadza się. Bardzo im zależało na informacjach o tej

technologii, więc chyba musieli wiedzieć, że Sikari poszedł dalej w pracy nad systemem ciężkiej wody, niż się wydawało.

Widzieli patenty i wiedzieli, że miedziana bransoleta nie będzie działać. Dlaczego więc tak bardzo chcieli mnie porwać i wytropić Skorpiona? Podejrzewali, że Sikari zataił część badań.

Middleton skontaktował się wtedy z Barrett - Bone'em, który polecił ścisłą obserwację meczetu i okolic, co było stosunkowo łatwe w mieście, w którym na trzech mieszkańców przypada jedna kamera monitorująca.

Spostrzegawczy zespół policji stołecznej natychmiast rozpoznał kilku dyplomatów do spraw kultury i gospodarki z głównych państw OPEC, którzy modlili się w meczecie. Nie mieli żadnego powodu, by przyjeżdżać do Londynu, tym bardziej do tej dzielnicy, chyba że coś tu zaplanowano.

Middleton miał przeczucie, że w okolicy pojawi się Jana Grover. I dziś wreszcie przyjechała. Okrążyła meczet, po czym weszła do Cafe Nero. Agent Wydziału Specjalnego pakistańskiego pochodzenia wpadł tam na herbatkę, żeby potwierdzić, czy to rzeczywiście ona i żeby mieć na nią oko.

Kiedy do kawiarni wstąpił urzędnik syryjskiego konsulatu, zatrzasnęli pułapkę.

Nagle kobiecy głos krzyknął z wściekłością:

- Nigdy nas nie pokonacie!

Jana Grover patrzyła na niego, gdy wsadzano ją do radiowożu.

- Nigdy nie wygracie!

Chyba właśnie wygraliśmy, pomyślał Middleton, ale nie zareagował.

- Przypuszczam, że chcesz ją przesłuchać - rzekł Barrett - Bone. - Mogę ci to załatwić.

Amerikanin spojrzał na zegarek. Barrett - Bone, szpieg gustujący w marce Patek Philippe, nie mógł powstrzymać grymasu politowania na widok timexa.

Middleton zaśmiał się z jego miny.

- Później. Na razie jestem zajęty. - Zmarszczył brwi. - Ale chyba mógłbyś coś dla mnie zrobić, Ian.

- Cokolwiek to ma być, przyjacielu, wystarczy tylko słowo.

Światła na widowni przygasły. Publiczność w sali koncertowej z wolna ucichła. Ale kurtyna wciąż się nie podnosiła. Po chwili światła rozblęły, a głos w głośnikach oznajmił:

- Panie i panowie, proszę o chwilę uwagi. Dyrekcja z żalem informuje, że nastąpi krótkie opóźnienie. Koncert rozpocznie się za piętnaście minut.

Stojąca za kulisami Felicja Kamińska westchnęła. Nie doszła jeszcze do siebie po porwaniu, ranach i horrorze

psychicznym. Ani po stracie ukochanych skrzypiec Beli Szepessyego (w ręku miała funkcjonalny, lecz nieciekawym instrument wypożyczony od muzyka Londyńskiej Orkiestry Symfonicznej).

Poza tym czuła się samotna. Nie widziała Harolda Middletona, odkąd wrócił do Londynu aresztować kobietę, która ją porwała. Nie widziała też Nory Tesli ani Charley.

Felicja wiedziała, że przed takim koncertem potrzebuje stu pięćdziesięcioprocentowej koncentracji. W tych warunkach nie miała jednak na to szans. A teraz to niedorzeczne opóźnienie jeszcze pogarszało sprawę.

Wiedziała, że koncert będzie katastrofą.

Skąd to opóźnienie? - zastanawiała się z rozpaczą.

Odpowiedzi udzielił jej niski głos Amerykanina, który odezwał się za jej plecami.

- Cześć.

Felicja odwróciła się i wydała stłumiony okrzyk na widok Harolda Middletona. Odłożyła skrzypce i podbiegła, żeby go uściskać.

- Słyszałam, że nic ci się nie stało. Ale bardzo się martwiłam. Ze łzami w oczach oglądała rany i sińce.

- Wszystko w porządku - zapewnił ją ze śmiechem. Też się jej przyjrzał. - Świetnie wyglądasz.

Wzruszyła ramionami.

- Wiesz - ciągnął Middleton - że łączy nas teraz coś jeszcze?

- Co, Haroldzie?

- Oboje zostaliśmy porwani. I uciekliśmy. Odsunęła się od niego, ocierając oczy.

- Pewnie to ty jesteś odpowiedzialny za to opóźnienie?

Uśmiechnął się.

- Wydedukowałaś. Skinęła głową.

- Chodzi o zagrożenie bezpieczeństwa.

- Nie! Co się stało? - Felicja spojrzała na zatłoczoną widownię.

- Nie mówię o ich bezpieczeństwie - odrzekł. - Mówię o twoim sercu.

- Co masz na myśli?

- Straciłaś w moim domu Belę Szepessyego. To moja wina.

- Proszę, Haroldzie...

- Mogłabyś zagrać na dziecięcej zabawce i wrzucić do łez anioły. Ale pomyślałem, że powinnaś mieć instrument wart twojego talentu. Wypożyczyłem dla ciebie skrzypce, dopóki nie naprawią ci Beli. Poprosiłem dyrekcję o opóźnienie koncertu, żebyś się mogła do nich przyzwycząić.

Podał jej pakunek. Otworzyła go. I zaniemówiła.

- Przecież to... mój Boże! - Trzymała skrzypce

zbudowane przez Giuseppe Guarneri del Gesu - ten sam instrument, którego słuchała w domu Harolda tuż przed porwaniem. Na świecie było ich około trzystu, o połowę mniej od skrzypiec słynnego Stradivariiego. Nie sposób było znaleźć Guarneriego w cenie poniżej miliona dolarów.

Każdy skrzypek marzył, by choć raz w życiu zagrać na takim instrumencie.

- Jak to zrobiłeś, Haroldzie? Nie da się ich nawet znaleźć.

- Podczas sprawy zaprzyjaźniłem się z pewnym człowiekiem, urzędnikiem państwowym, wyobraź sobie, który prowadzi jednak dość wykwintne życie, jak to określił.

Zadzwoił do kilku osób... Proszę cię tylko, żebyś już więcej nie posługiwała się nimi jak obuchem wobec porywaczy.

- „Obuchem”? Aha, żeby nikogo nie waliła po głowie?

- Owszem.

- Od dzisiaj będę używać tylko kijów do krykieta.

- Idź je nastroić czy przygotować. Publiczność zaczyna się niecierpliwić.

Felicja trzymała w dłoniach wonne drewno, lekkie jak piórko.

- Och, Haroldzie. - Wyciągnęła z futerału smyczek, naciągnęła końskie włosie i szarpnęła struny, które miały idealny strój koncertowy.

Odwróciła się, żeby mu podziękować.

Ale już zniknął.

Po dziesięciominutowych ćwiczeniach zauważyła, jak światła na sali znów przygasają. Orkiestra zajęła miejsca na scenie, potem wszedł dyrygent. Wreszcie ukazała się Felicja, solistka, przy wtórze jeszcze głośniejszych braw.

Ukloniła

się publiczności, potem dyrygentowi i pozostałym muzykom, i stanęła po lewej stronie sceny.

Dyrygent postukał batutą w pulpit, pochylił się i rozpoczął koncert. Odliczając takty i czekając na swoją partię, Felicja rozglądała się po sali.

Wreszcie ich zobaczyła, w dwudziestym którymś rzędzie.

Charley, Harolda i Norę Teslę, którą trzymał za rękę. Posłała

Haroldowi nieznaczny uśmiech i mimo ostrego blasku reflektora, wydawało się jej, że odpowiedział uśmiechem.

Orkiestra zagrała ciszej, dając jej znak. Felicja przyłożyła do podbródka bezcenny instrument.

Dyrygent zerknął na nią przelotnie, a Felicja zamknęła oczy i zaczęła grać, oddając się bez reszty muzyce, która opływała publiczność jak łagodna fala.